Urbańczyk:
Co wiemy o Chrobrym?

Laskowski:
Rady także na uniwersytetach

Kawalerski:
Granice interdyscyplinarności

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich **Nr 4/2025** PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)



Tysiącletnia Korona

Skorwider:
Życie z plakatem

Wołk:
Czarna legenda KPN

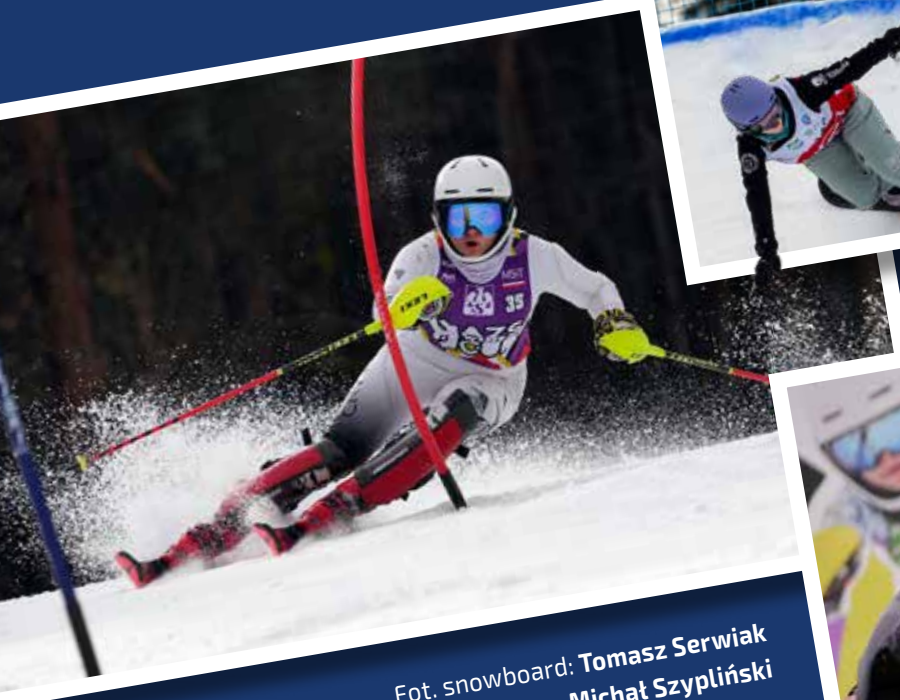
Krajewski:
Mem ignorancji

Akademickie Mistrzostwa Polski i AZS Winter CUP

znamy studenckie gwiazdy sportów zimowych

czytaj na str. 17









Fot. snowboard: **Tomasz Serwiak**
Fot. narciarstwo: **Michał Szypliński**

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia . . . 2
Japonia to dobre miejsce do promocji polskiej nauki
– *Mariusz Karwowski* . . . 6
Umiędzynarodowienie – strategiczna zmiana na lepsze
– *Zofia Sawicka* . . . 8
Zewnętrzne rady ekspertów również na uniwersytetach
– *Wiesław Laskowski* . . . 10
Ponad 100 mln zł na nowe centra doskonałości . . . 11
Studia online – biznes czy prawdziwa edukacja?
– *Wojciech Kiełbasiński* . . . 12
FIRST TEAM: 64 mln zł dla młodych naukowców . . . 13
Misja, wyzwanie, element oceny instytucjonalnej
– *Katarzyna Świerk* . . . 14
Jak zostałem wydawcą
– *Marek Kosmulski* . . . 15
Nowi profesorowie . . . 16
Znamy studenckie gwiazdy sportów zimowych . . . 17
Spotkajmy się po latach! – artykuł sponsorowany
– *Magdalena Nieczuja-Goniszewska* . . . 18
XIII Studencka Wiosna Teatralna . . . 53
Kuźnia Młodych Talentów
– Łukasz Sadowski . . . 68

ROZMOWA FORUM

Nie wiemy, jak wyglądał Chrobry
– *rozmowa z prof. Przemysławem Urbańczykiem, archeologiem i historykiem, badaczem początków państwa polskiego* . . . 20

TYSIĄCLETNIA KORONA

Siła korony
– *Agnieszka Januszek-Sieradzka* . . . 24
Kontekst prawny koronacji Bolesława Chrobrego
– *Maciej Mikuła* . . . 29
Czy Piastowie są sexy?
– *Przemysław Wiszewski* . . . 32

ŻYCIE NAUKOWE

Litteris et Artibus?
– *Paweł Kawalerski* . . . 38

Z archiwum nieuczciwości naukowej (213)

Problemy trzech przyjaciół. Cz. I
– *Marek Wroński* . . . 41
Sprostowanie
– *Michał Zasada* . . . 45

ŻYCIE AKADEMICKIE

Akademicka odwaga
– *Zbigniew Drozdowicz* . . . 46
Myślenie plakatem
– *rozmowa z prof. Eugeniuszem Skorwiderem, kierownikiem Pracowni Plakatu II na UAMA w Poznaniu* . . . 49
Czytelnia czasopism
– *Aneta Zawadzka* . . . 80

Publikuj lub giń

Wyroby naukopodobne
– *Marek Misiak* . . . 53

Z LABORATORIÓW

Szaleńcy, realiści i antykomuniści
– *Grzegorz Wołk* . . . 56
Estetyka relacyjna
– podróż donikąd i z powrotem? – *Łukasz Białkowski* . . . 60
Zbrojna opozycja wewnątrz Federacji Rosyjskiej
– *Olga Wasiuta* . . . 64

W STRONĘ HISTORII

Teodor Opęchowski (1853–1914)
– *Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało* . . . 69

OKOLICE NAUKI

Mem ignorancji
– *Artur Krajewski* . . . 73

Książki

Biurko pośrodku świata
– *Marek Misiak* . . . 77
Trudna tożsamość
– *Bogdan Bernat* . . . 77
Pisanie z prześwitu
– *Zbigniew Chojnowski* . . . 78
Świat pokawałkowany
– *Juliusz Gałkowski* . . . 78
Rzetelność i niejasności
– *Andrzej Młodak* . . . 79
Książki nadesłane . . . 79

Projekt okładki – *Sławomir Makal*

FORUM AKADEMICKIE **Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich** **Rok XXXII Nr 4 (377) Kwiecień 2025**

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr. hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit" Sp. z o.o.

© Wszelkie prawa zastrzeżone.

Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MNiSW

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki w ramach Programu Społeczna odpowiedzialność nauki II

Społeczna Odpowiedzialność Nauki II

Polskie odkrycie w „Nature”

WARSZAWA Na łamach „Nature” ukazała się przełomowa praca polskich naukowców, która wyjaśnia mechanizmy skuteczności leków mRNA i toruje drogę do nowych terapii. To pierwsza wyłącznie polska publikacja w dziedzinie nauk o życiu opublikowana w tym prestiżowym



Fot. MIBMiK

czasopiśmie w XXI wieku. Autorami są naukowcy z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN oraz Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Jako pierwsi na świecie opisali kluczową rolę enzymu TENT5A w wydłużaniu ogona poli(A) cząsteczek terapeutycznego mRNA. Jest on niezbędny dla stabilności mRNA oraz efektywnej produkcji białek. Dotąd zakładano, że może się tyko skracać. Jego wydłużanie jest jak odwrócenie klepsydry: „kupuje” dodatkowy czas, dzięki czemu mRNA działa znacznie dłużej w komórkach. TENT5A sprawia, że cząsteczki mRNA stają się stabilniejsze, co pozwala na bardziej długotrwałą i efektywną produkcję antygenów – substancji wyzwalających reakcję odpornościową organizmu. Badania pozwoliły również zrozumieć, że to makrofagi odgrywają najważniejszą rolę w działaniu szczepionek mRNA. Te komórki odpornościowe odpowiedzialne są za wychwytywanie i neutralizowanie „intruzów”. Po podaniu szczepionki podążają one do miejsca wkłucia, pobierają mRNA przenoszone w specjalnych molekułach lipidowych i następnie produkują zapisany w nich antygen.

Rozszerzony Komitet

WARSZAWA Minister Marcin Kulasek dokonał zmian w składzie Komitetu Polityki Naukowej w kadencji 2022–2027. Do tego gremium szef resortu powołał sześcioro nowych członków: prof. **Roberta Hołysta** z Instytutu Chemii Fizycznej PAN, dr. hab. inż. **Andrzeja Klepkę** z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, prof. **Mariusza Piskułę** z Instytutu Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności PAN, dr. hab. **Izabelę Skórzyńską** z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, dr hab. inż. **Annę Sylwię Tarczyńską** z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie i dr hab. **Joannę Zajkowską** z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Dołączyli oni do zasiadających w KPN od maja ubiegłego roku: dr. hab. **Piotra Bajora** z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. **Jakuba Fichny** z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, prof. **Ewy Gruzy** z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. **Wojciecha Wolańskiego** z Politechniki Śląskiej, dr hab. **Joanny Wolszczak-Derlacz** z Politechniki Gdańskiej i dr. hab. inż. **Jacka Wróbla** z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. KPN jest organem pomocniczym ministra. Przeprowadza ewaluację realizacji polityki naukowej państwa oraz opiniuje dokumenty przedstawione przez szefa resortu.



Fot. MNiSW

Nowi członkowie Rady NPRH

WARSZAWA Minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek zmienił skład Rady Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Do gremium, którego czteroletnia kadencja rozpoczęła się 3 lipca ub.r., powołano nowych członków: dr hab. **Aleksandrę Bernatowicz** (Instytut Sztuki PAN), dr. hab. **Rafała Chwedoruka** (Uniwersytet Warszawski), dr. hab. **Rafała Górskiego** (Uniwersytet Jagielloński), dr **Urszulę Iwaszczuk** (Instytut Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN), dr. hab. **Roberta Kasperskiego** (Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN), prof. **Magdalenę Pastuch** (Uniwersytet Śląski w Katowicach), dr. hab. **Igora Piotrowskiego** (UW). Przewodniczącym pozostał prof. Mikołaj Sokołowski. W Radzie NPRH nie zasiada już dr hab. Iwona Kurz z Uniwersytetu Warszawskiego.

Większe pieniądze dla instytutów PAN

WARSZAWA Inicjatywa Doskonałości – Instytut Naukowy PAN to nowy program, którego powstanie zapowiedział minister Marcin Kulasek. Dziesięć jednostek wyłonionych w konkursie otrzyma dofinansowanie wyższe o 10%, pozostałe, które spełnią warunki, też mogą liczyć na dodatkowe środki (+2%). IDIN będzie odpowiednikiem uruchomionego w 2019 r. programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza (IDUB). Ma ruszyć w przyszłym roku. Do udziału będą zapraszane instytuty naukowe PAN, które mają kategorię A i A+ w co najmniej połowie dyscyplin naukowych, w których prowadzą działalność naukową. To oznacza, że w IDIN może uczestniczyć 51 z 67 instytutów PAN. Wnioski konkursowe zawierające części opisową i wskaźnikową oceni – podobnie jak w przypadku IDUB – międzynarodowy zespół ekspertów. Każda z edycji programu ma trwać cztery lata, z czego trzy pierwsze lata będą przeznaczone na realizację planu, a rok na utrzymanie efektów projektu. Budżet programu ma wynosić 50 mln zł rocznie.

Prof. Piotr Warszyński prezydentem-elektem IACIS

WARSZAWA Dyrektor Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni im. Jerzego Habera PAN został wybrany na prezydenta-elekta International Association of Colloid and Interface Scientists. Jest pierwszym Polakiem, który stanie na czele tej organizacji. Stery przejmie w 2028 roku. Od trzech lat kieruje IKiFP PAN. Jego zainteresowania badawcze obejmują szeroki zakres tematów z zakresu chemii koloidów i interfejsów, w tym adsorpcję surfaktantów i polimerów na interfejsach, syntezę nanocząstek i nanokapsułek, zjawiska elektrokinetyczne i właściwości cienkich warstw. Prowadzi badania m.in. nad molekularnym opisem adsorpcji, pomiarami napięć powierzchniowych i metodami enkapsulacji. W latach 2007–2011 był członkiem Rady IACIS. W latach 2013–2019 zasiadał w Zarządzie European Colloid and Interface Society, pełniąc również funkcję prezesa tej organizacji w latach 2015–2017. IACIS to stowarzyszenie zrzeszające naukowców zajmujących się fizykochemią koloidów oraz zjawiskami na granicach faz.



Fot. IKiFP PAN

Badaczka z UW z Nagrodą im. Steinhausa

WARSZAWA Prof. Urszula Foryś z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego otrzymała Nagrodę Główną PTM im. Hugona Steinhausa. Doceniono ją za zastosowanie układów dynamicznych i teorii sterowania do modelowania dynamiki i leczenia nowotworów oraz za wkład w rozwój biologii matematycznej w Polsce.


Fot. Piotr Kieraciński

Jej badania wytyczają kierunki nowych metod terapeutycznych i stanowią podstawę teoretyczną badań klinicznych. Ich znaczenie polega na umiejętnym wykorzystaniu rzeczywistych danych pacjentów i szacowaniu w oparciu o wyniki modelu skuteczności terapii i doboru dawek terapeutycznych, i w ten sposób wychodzi naprzeciw postulatom medycyny spersonalizowanej. Nagroda im. Hugona Steinhausa to jedno z głównych wyróżnień Polskiego Towarzystwa Matematycznego. Wcześniej przyznano Nagrodę Główną PTM im. Stefana Banacha. Otrzymali ją ex aequo: dr Mikołaj Frączyk i dr hab. Adam Kanigowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jedyna z Polski

WARSZAWA Natalia Bednarek, studentka Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, znalazła się w gronie dwudziestu młodych badaczek z całego świata, które otrzymały prestiżowe stypendium Optica Women Scholars. Licencjat zrealizowała na Międzywydziałowych Indywidualnych Studiach Matematyczno-Przyrodniczych UW, łącząc studiowanie fizyki i informatyki. Obecnie kontynuuje studia magisterskie na kierunku Quantum Physics and Chemistry – Individual Research Studies. Zajmuje się optyką fourierowską oraz fizyką kwantową. Pracuje nad grzebieniami częstotliwości – niezwykle precyzyjnymi sygnałami, których pomiar jest wyzwaniem dla standardowych detektorów. W tym celu konstruuje układ zdolny do osiągnięcia wymaganej precyzji. Od momentu uruchomienia programu wsparciem objęto już 80 młodych badaczek. Natalia Bednarek jest drugą Polką, która zdobyła stypendium. W premierowej odsłonie (2022) sięgnęła po nie Klaudia Dilcher (UW).


Fot. UW

Prawie 2,5 tys. km nowej linii brzegowej

WROCŁAW W pierwszych dwóch dekadach XXI wieku recesja lodowców na półkuli północnej spowodowała powstanie niemal 2500 km nowej linii brzegowej. W tym samym czasie pod lodowcami zniknęło jedynie nieco ponad 50 km wybrzeża – wynika z badań naukowców z Centrum Badań Regionów Zimnych im. Alfreda Jahna Uniwersytetu Wrocławskiego. W wyniku zestawienia nowej glacjologicznej bazy danych ze zdjęciami satelitarnymi dla wszystkich lodowców uchodzących do morza półkuli północnej ustalono, że średnio każdego roku przybywa ponad 120 km linii brzegowej. Za dwie trzecie tej wartości odpowiada Grenlandia, pokryta jedynym na półkuli lądolodem. Ponadto zidentyfikowano 35 dużych wysp, które lodowce odsłoniły w okresie badań, z których 13 opisano po raz pierwszy. Wykryto też znaczące różnice między poszczególnymi lodowcami, jak również między regionami. Lodowce Ziemi Baffina, Alaski i południowo-wschodniej Grenlandii okazały się znacznie efektywniej tworzyć nowe wybrzeża niż lodowce pozostałych regionów. Drugą skrajność zaobserwowano na wyspach Arktyki Rosyjskiej, gdzie, mimo znaczącej powierzchni objętej recesją lodowców, powstało niewiele nowych wybrzeży.

AGH polskim liderem europejskich patentów

MONACHIUM Akademia Górniczo-Hutnicza (23), Politechnika Warszawska (15) oraz Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Mikołaja Kopernika (po 9) to uczelnie, które w ubiegłym roku wysłały najwięcej zgłoszeń do Europejskiego Urzędu Patentowego. W czołówce były także: Uniwersytet Warszawski (8), Gdański Uniwersytet Medyczny i Politechnika Gdańska (po 7). Polska znalazła się na 26 miejscu wśród wszystkich krajów zgłaszających do EPO. Zanotowaliśmy wzrost (piąty rok z rzędu) o 3,4%. Wiodącą dziedziną dla zgłoszeń z Polski była technologia medyczna (57), chociaż odnotowała spadek r/r o 26,9%. W sumie firmy i wynalazcy z całego świata dokonali 199 264 zgłoszeń patentowych w EPO. Co czwarte pochodzące z Europy powstało w wyniku pracy kobiet wynalazców. W przypadku Polski wskaźnik ten wyniósł 32%. Prawie połowa wszystkich europejskich patentów przyznanych polskim innowatorom została objęta wnioskiem o przekształcenie w jednolite patenty.

Nowi liderzy

WARSZAWA Ponad 70 mln zł na realizację projektów badawczo-rozwojowych otrzyma 41 młodych naukowców wyłonionych w XV konkursie LIDER Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. W gronie laureatów są przedstawiciele 23 podmiotów, w tym dwóch instytutów należących do Sieci Badawczej Łukasiewicz, dwóch instytutów Polskiej Akademii Nauk oraz dwóch instytutów badawczych. Najwięcej projektów zrealizują młodzi badacze z Politechniki Warszawskiej, Politechniki Śląskiej i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (po 4). Maksymalna wysokość dofinansowania jednego projektu wyniosła 1,8 mln zł. Najwyższe oceny otrzymała dr inż. Agnieszka Wdowiak-Postulak z Politechniki Świętokrzyskiej za technologię wzmacniania belek stropowych z otworami, zapewniającą wysoką odporność ogniową wraz z metodą detekcji ich defektów. Celem programu lider jest poszerzenie kompetencji młodych naukowców w samodzielnym planowaniu prac badawczych oraz zarządzaniu własnym zespołem, podczas realizacji projektów, których wyniki mogą mieć zastosowanie praktyczne i posiadają potencjał wdrożeniowy. Od 2009 r. odbyło się już 15 konkursów, w wyniku których granty otrzymało ponad 600 młodych naukowców. Przyznano im ok. 800 mln zł na autorskie projekty badawcze.

Prof. Maciej Żylicz z CEBioForum Award

WARSZAWA Prof. Maciej Żylicz, prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, został uznany za osobę o największym wpływie na rozwój sektora biotechnologicznego w Polsce. Nagrodę wręczono podczas Central European BioForum 2025 – to największe wydarzenie tej branży w naszym kraju. Prof. Żylicza doceniono za wkład w naukę i biotechnologię w Polsce, a także jako lidera i inspiratora. Jest autorem przeszło 82 prac naukowych, cytowanych w literaturze światowej już ponad 7 tys. razy (sumarycznie), 25 z tych prac cytowano już powyżej 100 razy. Zajmuje się biochemią i biologią molekularną białek szoku termicznego. Wyizolował i opisał pod względem biochemicznym pierwsze białka szoku termicznego, wykazał ich udział w replikacji DNA oraz wraz z współpracownikami opisał ich rolę opiekuńczą w dysocjacji agregatów białkowych, zwijaniu się i degradacji białek. Odkrył ich udział w transformacji nowotworowej. W 1999 roku otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Od 2005 roku piastuje stanowisko prezesa Zarządu FNP, które w tym roku przekaże prof. Krzysztofowi Pyrciowi.


Fot. Adam Piasecki

Zmiana na czele IFiS PAN

WARSZAWA Dr hab. Valentina Lepri z początkiem kwietnia objęła stanowisko dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Zastąpiła prof. Andrzeja Rycharda, który kierował placówką nieprzerwanie od 2012 roku, a wcześniej w latach 1991–2000. Jest ósmą osobą stojącą na czele instytutu, a pierwszą kobietą. Dr hab. Valentina Lepri jest historykiem idei, a jej badania dotyczą renesansu. Swój doktorat obroniła na


Fot. IFiS PAN

Uniwersytecie w Pizie (wcześniej ukończyła tam z wyróżnieniem studia z historii filozofii) oraz w Narodowym Instytucie Badań nad Renesansem we Florencji. Habilitację zrobiła w IFiS PAN. Jest pierwszą zagraniczną badaczką, która wygrała konkurs na stałe stanowisko profesora w tym instytucie (2017) od czasu jego założenia w 1956 roku. Obecnie **kieruje w instytucie Centre for the History of Renaissance Knowledge**. W 2019 r. zdobyła ERC Consolidator Grant.

Uczelnie, które umieją w promocję

ŁÓDŹ Stowarzyszenie PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom" jak co roku nagrodziło działania komunikacyjne, informacyjne i promocyjne prowadzone przez i na rzecz uczelni w Polsce. W tym roku do konkursu zgłoszono 54 inicjatywy, z których do decydującego etapu przeszło 51. Wyniki



Fot. Maciej Andrzejewski

ogłoszono podczas XXVII Konferencji Stowarzyszenia „PRom" na Uniwersytecie Łódzkim. W poszczególnych kategoriach nagrodzono: podcast „Pogadajmy o nauce" Politechniki **Śląsk**iej (Media relations), kampanię „Przerwij krąg przemocy" Uniwersytetu SWPS (Nowe media), „Fantastyczny UAM" Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (Popularyzacja nauki), Międzynarodowy Kongres Marii Curie-Skłodowskiej „Innowacja jest kobietą. Nauka – Biznes – Edukacja" Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (Kreacja). Nagrodę specjalną otrzymali autorzy projektu „Celuj w UMK. Box celów edukacyjnych" realizowanego na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Przyznano także wyróżnienia. Pełna lista na naszej stronie internetowej.

Bibliotekarze łączą siły

POZNAŃ Dr Małgorzata Dąbrowicz, dyrektorka Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu, została wybrana na prezesa Stowarzyszenia Bibliotek Szkół Wyższych. Organizacja rozpoczęła działalność na początku tego roku. Skupia obecnie 30 bibliotek z całej Polski. Jej główne cele to podnoszenie standardów działania bibliotek szkół wyższych, wspieranie rozwoju zawodowego pracowników oraz dbanie o pozytywny wizerunek tych instytucji. Stowarzyszenie zajmuje się również reprezentowaniem interesów bibliotek i ich personelu oraz budowaniem więzi w środowisku zawodowym. Wszystkie działania organizacji mają na celu wspieranie współpracy i rozwoju bibliotek akademickich, by mogły one jeszcze skuteczniej realizować swoje zadania na rzecz uczelni.



Fot. Władysław Gardasz

Doktorat h.c. – prof. Piotr Hofmański

BIAŁYSTOK Sędzia oraz pierwszy Polak piastujący funkcję prezesa Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze (2021–2024) odebrał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku. Jest 24 osobą, której Senat największej podlaskiej uczelni nadał tę godność. To jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego świata prawniczego zarówno w wymiarze akademickim, jak i praktyki sądowej. Jego aktywność na trwałe wpisała się w dorobek nauki prawa karnego, procesu karnego



Fot. UwB

oraz międzynarodowego prawa karnego. Kierował Zakładem Prawa Karnego na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Białymstoku, a w latach 1991–1993 pełnił funkcję prodziekana Wydziału Prawa. Był członkiem i przewodniczącym Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego. Jest autorem kilkuset prac z zakresu prawa karnego, procedury karnej, praw człowieka i prawa karnego międzynarodowego. MTK pod jego przewodnictwem wydał nakaz aresztowania Władimira Putina i rosyjskiej rzeczniczki praw dziecka Marii Lwowej-Biełowej.

Doktorat h.c. – prof. Leszek F. Demkowicz

POZNAŃ Specjalista z zakresu metod komputerowych w nauce i inżynierii został doktorem honoris causa Politechniki Poznańskiej. Jest 46 osobą z najwyższą godnością akademicką nadaną przez wielkopolską uczelnię techniczną. Doceniono jego dorobek naukowy, dydaktyczny i organiza-



Fot. PP

cyjny oraz szeroko rozumianą współpracę z uczelnią. W orbicie zainteresowań naukowych prof. Demkowicza znajdują się metody komputerowe w nauce i inżynierii, w szczególności: analiza numeryczna, adaptacyjne metody elementów skończonych, obliczeniowa akustyka i elektromagnetyzm, drgania układów sprężystych i lepkosprężystych oraz obliczeniowa mechanika płynów. Obecnie pracuje na Uniwersytecie w Austin w Teksasie (USA), gdzie pełni funkcję zastępcy dyrektora Instytutu im. J.T. Odena. Jest autorem lub współautorem dziewięciu książek i monografii oraz ponad 260 publikacji naukowych.

Promuje Polskę

WARSZAWA Dagmara Słota ze Szkoły Doktorskiej Politechniki Krakowskiej, prowadząca interdyscyplinarne badania z zakresu inżynierii materiałowej, biotechnologii oraz inżynierii chemicznej, została laureatką konkursu „Młody Promotor Polski" organizowanego z inicjatywy Agaty Kornhauser-Dudy, małżonki prezydenta RP. Ma na celu uhonorowanie młodych Polaków, którzy dzięki szczególnym dokonaniom w działalności naukowej, kulturalnej i sportowej, a także aktywnej postawie i zaangażowaniu społecznemu, przyczyniają się do umacniania pozytywnego wizerunku naszego kraju oraz popularyzowania wiedzy o Polsce poza jej granicami. Zainteresowania naukowe D. Słoty skupiają się na tematyce szeroko pojętych biomateriałów, ze szczególnym uwzględnie-


Fot. Grzegorz Jakubowski

niem kompozytów przeznaczonych do regeneracji tanki kostnej i chrzęstnej. Kieruje obecnie projektem, który ma na celu opracowanie innowacyjnego materiału drukowalnego 3D do wykorzystania w implantologii. Dwa lata temu za swoje osiągnięcia została nagrodzona w XIII konkursie „Student-Wynalazca".

Uniwersytet zamiast Collegium

WARSZAWA Collegium Civitas zmieniło swój szyld. Od 8 kwietnia uczelnia jest oficjalnie Uniwersytetem Civitas. Zmiana statusu stała się możliwa po dołączeniu tej uczelni do Federacji Naukowej WSB-DSW Merito w styczniu tego roku. Kilka miesięcy wcześniej CC weszło w skład Grupy Merito. Federacja i Collegium Civitas w ostatniej ewaluacji jakości działalności naukowej uzyskały łącznie 5 kategorii A i 5 kategorii B+. To umożliwiło starania o nowy szyld. Uniwersytet Civitas to uczelnia niepubliczna powstała w 1997 roku z inicjatywy naukowców z Instytutu Studiów Politycznych PAN. Oferuje 13 kierunków i kilkadziesiąt specjalności na studiach licencjackich, magisterskich i jednolitych magisterskich prowadzonych w języku polskim, ukraińskim i angielskim. Kształci obecnie około 3 tys. studentów i słuchaczy, z czego 1/3 to studenci zagraniczni pochodzący z 60 krajów. Przez 28 lat mury uczelni opuściło ponad 12 tys. absolwentów.

Powstał „Leksykon getta łódzkiego"

ŁÓDŹ *Leksykon getta łódzkiego* opracowali badacze z Centrum Badań Żydowskich im. Filipa Friedmana Uniwersytetu Łódzkiego. Prace nad nim trwały sześć lat, a celem było stworzenie zbioru informacji umożliwiających poznanie losów „dzielnicy zamkniętej" w Łodzi (Litzmannstadt). W efekcie powstał pierwszy tak kompleksowy zbiór wiedzy na temat getta łódzkiego. Hasła przygotowane przez specjalistów z dziedziny historii, socjologii i literaturoznawstwa obejmują wszelkie aspekty funkcjonowania getta i życia jego mieszkańców, zwłaszcza unikalnych i specyficznych cech oraz zjawisk, występujących wyłącznie w tym miejscu. Za podstawę służy bogaty i w znacznym stopniu zachowany zbiór świadectw, dokumentów archiwalnych i przygotowanych w getcie opracowań znajdujących się w Archiwum Państwowym w Łodzi, Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie oraz wielu instytucjach zagranicznych. Getto w Łodzi zostało utworzone przez Niemców w lutym 1940 roku. Było jednym z pierwszych na ziemiach polskich oraz najdłużej istniejącym. Przeszło przez nie ponad 200 tys. Żydów z Łodzi i okolic, a także Czech, Niemiec, Austrii i Luksemburga.

UJ najlepszy na egzaminach na aplikacje

KRAKÓW Podobnie jak w latach wcześniejszych absolwenci Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego uzyskali najlepsze wyniki na egzaminach na aplikacje: adwokacką, radcowską, notarialną i komorniczą. Przystąpiły do nich 5584 osoby, tj. o blisko pół tysiąca mniej niż rok wcześniej. Egzaminy zdało 3988 osób, czyli 71,4% ogółu kandydatów. Najlepiej poszło zdającym na aplikację adwokacką, z których aż 74,2% ukończyło egzamin z powodzeniem. Najlepiej wypadli absolwenci UJ (90% zdawalności). Zaraz za nimi, tak jak w roku ubiegłym, uplasował się Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (80,9%). Awans na trzecie miejsce (z 8.) zanotował Uniwersytet Łódzki (80,6%), spychając z podium Uniwersytet Warszawski (80,5%). W pierwszej dziesiątce ponadto: Uniwersytet Gdański (79,2%), Uniwersytetu Śląski (77,1%), Uniwersytet Wrocławski (75,6%), Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu (74,7%), Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie (73,1%), Uniwersytetu w Białymstoku (73%). Spośród tych, którzy studia prawnicze ukończyli w ub.r., tylko lider podium jest taki sam – UJ (95,4%). Na kolejnych miejscach znaleźli się absolwenci UG (87,8%) i UW (86,5%).

Nauka pod rękę z biznesem

WARSZAWA Minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek oraz minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz podpisali porozumienie na realizację projektu „Science4Business – Nauka dla biznesu". Jego celem jest zwiększenie efektywności


Fot. MNiSW

działań centrów transferu technologii i spółek celowych należących do organizacji badawczych w zakresie współpracy z biznesem. W ramach przedsięwzięcia 86 uczelni, instytutów oraz spółek celowych będzie prowadzić aktywną działalność w obszarze komercjalizacji wyników badań naukowych i prac rozwojowych. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju przeprowadzi z kolei specjalistyczne szkolenia i warsztaty dla pracowników organizacji badawczych bezpośrednio zaangażowanych w transfer technologii. Powstanie także platforma internetowa, dzięki której przedsiębiorcy zyskają łatwy dostęp do aktualnej oferty naukowo-badawczej. Budżet projektu, którego realizację zaplanowano do końca 2029 roku, wynosi 296,7 mln zł.

Złoci badmintoniści z Gdyni

OPOLE Zwycięstwem zawodników Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni zakończył się turniej finałowy Akademickich Mistrzostw Polski w badmintonie. Zespół z Trójmiasta przerwał tym samym trzyletnią hegemonię Politechniki Gdańskiej. AMW wygrała decydujące starcie z Akademią Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach 4:0. Wyróżniono również najlepszą zawodniczkę i zawodnika turnieju. Nagrody im. Henryka Hołodnika, czyli działacza i trenera Uniwersytetu Opolskiego, odebrali Kornelia Marczak i Dominik Kwinta, reprezentanci Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni.


Fot. Tomasz Serwiak

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Agnieszka Fiedorowicz, Katarzyna Górowicz-Maćkiewicz, Iwona Ptaszek-Zielińska, Anna Radecka

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki .

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X

Japonia to dobre miejsce do promocji polskiej nauki

Od 13 kwietnia na wybudowanej na wodach Zatoki Osaka wyspie Yumeshima trwa Wystawa Światowa Expo. Japonia już po raz trzeci jest gospodarzem tego największego i najważniejszego wydarzenia gospodarczo-kulturalnego na świecie. Poprzednie odbywały się również w Osace (1970) i w prefekturze Aichi (2005). Tegoroczną edycję, według zapowiedzi organizatorów, ma odwiedzić blisko 30 mln osób.

W poświątecznym tygodniu zorganizowano Dni Polskiej Nauki i Edukacji. Zainaugurowała je prof. Maria Mrówczyńska, podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Każdy dzień poświęcony był innemu tematowi (kosmos, internacjonalizacja, kobiety w nauce, medycy dla planety). Uczestnicy mogli wziąć udział w tematycznych konferencjach, warsztatach, interaktywnych pokazach oraz spotkaniach z uczonymi i studentami.



Fot. MNiSW

Profr .Maria Mrówczyńska, podsekretarz stanu w MNiSW i dr Wojciech Karczewski, dyrektor NAWA w Osace .

Polskie uczelnie pozostaną jednak ze swoją ofertą na Expo znacznie dłużej. Wyjazd do Japonii zaplanował już dr hab. inż. Krzysztof Fic z Politechniki Poznańskiej, który z tamtejszymi badaczami współpracuje od wielu lat. Kontakty, jeszcze wówczas nieformalne, nawiązał w 2011 roku na jednej z konferencji w stolicy Wielkopolski. Pod koniec poprzedniej dekady po raz pierwszy pojechał do Kraju Kwitnącej Wiśni na dłużej. Od razu znalazł z miejscowymi wspólny język. I to dosłownie, o czym mogli się przekonać uczestnicy ubiegłorocznej uroczystości wręczenia Nagrody NCN w Centrum Manggha w Krakowie. Przyznając wyróżnienie w kategorii nauk ścisłych i technicznych (dr. hab. Wiktorowi Lewandowskiemu), powitał zebranych właśnie po japońsku. W tym też języku, przy użyciu znaków kanji, zapisał też swoją japońską afiliację w stopce maila.

– Myślę, że umysł otwarty na ten kontekst kulturowy jest bardzo ważny w relacjach z Japończykami. Oczywiście, to są tacy sami ludzie jak my, natomiast ich podejście do pracy, szacunek do samych siebie i do innych ludzi są zupełnie inne. Rzuca się w oczy także brak zorientowania na konkretne wyniki: nie muszę być najlepszy, ani tym bardziej wybitny – mam być użyteczny dla innych. Moim zdaniem to klucz do sukcesu we współpracy z nimi – zauważa profesor wizytujący w Kansai University w Osace.

Przypomina, że tamtejszy system naukowy bardzo długo pozostawał z różnych powodów dość hermetyczny. Z czasem doszli jednak do wniosku, że warto otworzyć się na nowe. „Made in Japan" jest tam nadal bardzo istotne i stanowi znak jakości, ale dostrzeżono – i japoński rząd dużo robi w tym względzie – że poza Japonią jest coś jeszcze, z czego można czerpać. Poza tym, jak dodaje badacz z PP, nauka w ostatnich dekadach przyspieszyła na tyle, że nie da się już robić jej tylko lokalnie, trzeba było więc wyjść poza wyspy. Prof. Fic jest najlepszym przykładem takiej owocnej współpracy. Wraz z japońskim zespołem zajmuje się „nieśmiertelnymi" magazynami energii elektrycznej, a więc ogniwami z ulepszonym procesem jej przechowywania.

– Świadomość pracy nad tematami, które mogą się przerodzić w wielkie rzeczy, a także szacunek i zaufanie społeczne, to jest to, w czym Japonia w mojej ocenie przewyższa nas naukowo. Bez względu na to, czy zajmujemy się kwestiami, które – mówię o badaniach fundamentalnych – dla zwykłego Japończyka nie mają praktycznie żadnego znaczenia, czy już nad konkretnymi aplikacjami, mającymi szansę pojawić na rynku za rok czy dwa, towarzyszy temu poczucie, że jest to ważne dla społeczeństwa – przyznaje.

Brzmi znajomo

Szukając podobieństw z polskim systemem, wskazuje na… niedofinansowanie nauki. Wprawdzie ich wydatki na B+R sięgają 3,41% PKB (w Polsce to ok. 1,5%, licząc środki publiczne i prywatne), ale w kontekście prowadzonych tam wysoko specjalistycznych badań, pieniędzy też jest za mało – zauważa polski badacz. Jego zdaniem, równać się możemy z nimi także w administrowaniu nauką. Regulacje sprawiają, że i tam system jest mało elastyczny. Zwraca uwagę, że w trakcie realizacji projektu dokonywanie jakichkolwiek zmian, w szczególności finansowych, jest dosyć problematyczne. Można je zrobić, o ile się dobrze uzasadni, lecz nie jest to łatwy proces na zasadzie jednego wniosku o zmianę. W tych porównaniach nie brakuje także różnic.

– Japoński system jest zdecydowanie bardziej stabilny, zasady finansowania nauki rzadko się zmieniają, co pozwala im planować badania czy ścieżki rozwoju w dłuższej perspektywie czasowej. Stąd właśnie wziął się sukces Japonii – daje się naukowcom swobodę działania w dłuższym czasie, nie zmieniając przy tym warunków gry w takcie jej trwania.

Dodaje też, że nauka w Japonii w o wiele większym stopniu wspierana jest przez sektor przemysłowy. U nas ta synergia dopiero raczkuje.

– Wspólnym mianownikiem, zarówno dla Europy, jak i Japonii, jest konkurencyjność, która powoduje, że nauka może się rozwijać, iść do przodu. Natomiast cała reszta, w tym kultura pracy, jest już zupełnie inna. Bardzo wielu ludzi z Zachodu, którzy zaczynają pracę w tamtejszych laboratoriach, jest zaskoczonych, że przed wejściem do niektórych trzeba zdjąć obuwie i założyć… kapcie. U nas się tego aż tak nie

wymaga. Oni dbają o czystość, miejsce pracy. Niby to proste, a jednak w Europie rzadkie – mówi.

On sam za każdym razem przebywając w Japonii czuje się bardzo dobrze. Nie ma wątpliwości, że to dlatego, iż jest tam doceniany za kompetencje i umiejętności.

– Jeżeli działamy razem, to każda nowa osoba, która wchodzi do ekosystemu, stanowi wartość dodaną. W zachodniej nauce, tak to zazwyczaj odbierałem, ktoś nowy może potencjalnie destabilizować. W Japonii nigdy tego nie odczułem. Stając się maleńkim trybikiem systemu, mam wewnętrzne poczucie, że trafiłem na właściwe miejsce, potrzebują mnie, nie jestem tylko kwiatkiem do kożucha, ale jednym z ważnych ogniw łańcucha prowadzącego do wielkich rzeczy – podkreśla.

Uczyć się na błędach

Przez całe trwające pół roku Expo, polska nauka będzie bardzo widoczna. Dzięki programowi „Kierunek Expo" Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej swoją ofertę i dokonania prezentują m.in. Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu, Gdański Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet Śląski, Politechnika Warszawska, Uniwersytet Gdański, Uniwersytet Warszawski, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Uniwersytet Jagielloński. Swoją obecność zaznaczy również Polska Akademia Nauk i jeden z jej instytutów: Instytut Maszyn Przepływowych im. Roberta Szewalskiego. Zapytany o to, czy Japonia, jeśli chodzi o promocję nauki, jest odpowiednim do tego miejscem, prof. Krzysztof Fic nie zastanawia się ani chwili.

– Bezsprzecznie i ponad wszelką wątpliwość. Kraj ten jawi się wielu jako potentat technologiczny, również w moim obszarze naukowym, ale warto pokazać, że i my potrafimy robić ciekawe rzeczy. I bez żadnych kompleksów możemy się nimi chwalić – uważa.

Jego zdaniem, Europa, czy – szerzej – Zachód, nie odstaje od poziomu naukowego Japonii. Przy czym kontakty z Azjatami, również w przypadku polskich uczonych, w największym stopniu determinuje jednak konieczność dostosowania się do warunków dyktowanych przez tamtejszą kulturę pracy. A nie jest to łatwe.

– Żeby współpraca była efektywna i układała się dobrze, trzeba zrozumieć ich system działania. Pracują ciężko, długo, czasem zarywają noce, ale nie dlatego, że upatrują w tym sens życia. Po prostu mają poczucie, że nie mogą zawieść, bo inaczej cała machina przestanie działać. Taka presja nakładana na człowieka w dobie zmian kulturowych, które dzieją się obecnie w Europie, może być dosyć rażącym dysonansem – zaznacza mój rozmówca.

W kontekście uwarunkowań kulturowych należy też rozpatrywać ewentualne efekty promocji na Expo. Odwiedzić je ma prawie 30 mln ludzi z całego świata, ale nie ulega wątpliwości, że to Japończycy są głównymi adresatami działań promocyjnych. W ich przypadku zainteresowanie ofertą to nie wszystko.

– Dużo zależy od nawiązania nici porozumienia. Mam tam sporo przyjaciół, ale to są relacje długofalowe, o które oni bardzo dbają. Nie tak, że na Expo coś pokażemy i Japończycy od razu wpadną w ekstazę. Owszem, przyjdą, porozmawiają, ale o relację z nimi trzeba zabiegać. Zatem w moim przekonaniu bardziej istotna niż to, co się zadzieje na Wystawie, będzie polityka prowadzona przez nas po Expo. Japończycy i w ogóle cała kultura wschodnio-azjatycka bazuje na długofalowych relacjach, tylko te, które są podtrzymane w odpowiedni sposób, mają szansę powodzenia – podpowiada badacz z Politechniki Poznańskiej.

Nasz pawilon na Expo jest zorganizowany wokół hasła „Polska. Dziedzictwo, które napędza przyszłość". Chodzi o pokazanie światu, że nasze dziedzictwo, zarówno kulturalne, historyczne, jak i naturalne, może się stać inspiracją do poszukiwania rozwiązań i odpowiedzi na wyzwania współczesnego świata. Mój rozmówca odnajduje w tym również nawiązanie do nauki.

– Nauka to też sztuka uczenia się na błędach, a więc tego, w którą stronę lepiej nie podążać, bo nigdzie nas to nie zaprowadzi. Ilekroć przebywam w Japonii bardzo cenię ich podejście, zgodnie z którym nawet jeżeli popełni się błąd przy planowaniu, to nie stanowi to żadnego problemu. To pokazuje bowiem innym, którą drogą nie dojdzie się do celu. Straciłem czas, nie otrzymałem rezultatów, których oczekiwałem, daję w ten sposób wskazówkę innym, by nie powtórzyli mojego błędu. Rozszerzyłbym tę filozofię: nie pracuję w projekcie, żeby spełnić określone wskaźniki, osiągnąć kamienie milowe, tylko po to, żeby stworzyć coś naprawdę istotnego – kończy Krzysztof Fic.

Na Expo wybiera się w maju. Będzie promował Politechnikę Poznańską jako miejsce z potencjałem dla naukowców czy studentów z Japonii. Oczywiście nie omieszka też odwiedzić swoich przyjaciół z Kansai University.

Mariusz Karwowski



Umiędzynarodowienie – strategiczna zmiana na lepsze

Dr Zofia Sawicka z SIRIS Academic S.L., wieloletnia wicedyrektor Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, przedstawia zmiany, jakie zaszły w obszarze umiędzynarodowienia polskiej „akademii" w ostatnich latach i rysuje perspektywy kolejnych potrzeb i zadań w tym obszarze.

Wobec toczących się dyskusji o przyszłości polskiej nauki, a szczególnie wobec wątpliwości związanych z ewaluacją i w obliczu pojawiających się doniesień o nieetycznym wykorzystywaniu systemu, można mieć poczucie, że wszystko poszło nie tak i że przyjęliśmy błędne paradygmaty rozwoju. Nie pokuszę się o dyskusję nad całokształtem funkcjonowania polskiej nauki i szkolnictwa wyższego, ale chciałabym zwrócić uwagę na jeden obszar, który przez ostatnie lata bardzo się rozwinął i pozytywnie wpływał na funkcjonowanie polskich instytucji akademickich i naukowych. Twierdzę, że umiędzynarodowienie nauki i szkolnictwa wyższego jest tym obszarem, w którym polskie środowisko akademickie zrobiło wielki krok naprzód, a dalsze jego wzmocnienie jest konieczne także wobec wyzwań, przed jakimi stoi Europa.

Przez ostanie osiem lat, jako zastępca dyrektora Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, miałam możliwość obserwowania zmian, jakie zachodziły w obszarze umiędzynarodowienia i w pewnej mierze mogliśmy też z całym zespołem NAWA wpływać na ich kierunek. Warto te zmiany podsumować i docenić wielki, niebywale efektywny wysiłek, jakie polskie środowisko akademickie zrobiło na polu współpracy międzynarodowej.

Zacznijmy od projektów i publikacji, mimo że te ostatnie są dzisiaj często na cenzurowanym. Punktowy system ewaluacji, choć jest jasne, że nie może być wyznacznikiem przy ocenie indywidualnej i nie powinien być traktowany jako jedyny punkt odniesienia, w obszarze umiędzynarodowienia działalności naukowej wymusił pozytywną zmianę, która skutkowała znacznym wzrostem liczby publikacji z zagranicznymi współautorami. W 2017 roku artykuły powstałe z zagranicznymi partnerami ujęte w bazie OpenAlex stanowiły 20%, a w roku 2024 odsetek ten wyniósł ponad 38%. Warto przypomnieć, że wskaźnik FWCI (ważony wskaźnik cytowań dla danego obszaru badawczego) jest dla publikacji międzynarodowych wyższy niż dla tych z afiliacją tylko jednego kraju. FWCI dla artykułów z wyłącznie polską afiliacją w omawianym okresie osiągnął wartość powyżej 1 (gdzie 1 oznacza średnią cytowalność dla danego obszaru) tylko dla 23% publikacji, a powyżej 40% dla artykułów opublikowanych z przynajmniej dwoma różnonarodowymi afiliacjami. Nawet jeśli nałożymy na te dane margines wypaczeń i zwykłych oszustw, nie zaburza to wyraźnego trendu i nie podważa zależności między umiędzynarodowieniem badań a ich publikacyjnym wpływem.

Dane związane z projektami finansowanymi w ramach programów ramowych UE też obrazują wzrost liczby beneficjentów z Polski. Choć oczywiście nie jest on satysfakcjonujący, pozostajemy płatnikiem netto i jesteśmy w ogonie UE, to porównanie między Horyzontem 2020 a Horyzontem Europa pokazuje poprawę w liczbie i kwotach sfinansowanych projektów, a nasze miejsce w rankingu grantów ERC podniosło się z 20 na 16 (de facto są to trzy miejsca różnicy, ze względu na Brexit). Dodajmy, że te wskaźniki uległy poprawie mimo praktycznie stałego poziomu wydatków na naukę. Oznaczają więc wyraźny wzrost efektywności polskich badaczy i ich coraz lepsze poruszanie się w międzynarodowych systemach grantowych.

Powyższe dane, choć pokazują rozwój w obszarze międzynarodowej publikacyjności i finansowania, nie mogą być pewnie uznane za zmianę całościową. Międzynarodowa oddolna współpraca badaczy istniała od zawsze, a system ewaluacji po prostu nadał jej większy priorytet, wzmocnił trend, utrwalił pewne wzorce. Natomiast systemową zmianę w obszarze umiędzynarodowienia widzę w ewolucji od postrzegania go wyłącznie jako pola samoistnej współpracy badaczy i pozyskiwania studentów zagranicznych do traktowania umiędzynarodowienia jako zadania instytucjonalnego, przenikającego do praktycznie wszystkich obszarów funkcjonowania uczelni. Co konkretnie się zmieniło:

Strategiczna współpraca instytucjonalna. Umowy międzyuczelniane istniały od zawsze, ale zdecydowanie ewoluowało podejście do ich realizacji. Programy finansujące współpracę międzyuczelnianą oferowane przez NAWA, czy w ramach Erasmus+ pozwoliły wypełniać je treścią i podejść do współpracy międzynarodowej jako wyzwania strategicznego. Oczywiście w mniejszych uczelniach było to łatwiejsze, w większych nadal jest to bardziej współpraca na poziomie wydziałów. Ale patrząc na rosnące z roku na rok liczby wniosków w programie Partnerstwa strategiczne NAWA, mogliśmy obserwować, że uczelnie i instytuty widzą w tego typu narzędziach ważny instrument rozwoju. Programy te przygotowały nas też do udziału w inicjatywie uniwersytetów europejskich, gdzie wyznaczanie celów i obszarów współpracy odbywa się na najwyższym, rektorskim poziomie. Współpraca międzynarodowa zaczęła być postrzegana jako strategiczna nie tylko z punktu widzenia rozwoju kariery danego badacza, ale także dla rozwoju instytucji. Ale czy zmiana postrzegania wystarczy, żeby uczelnie i instytuty zaczęły funkcjonować jako umiędzynarodowione? I tu pojawiają się dwie bardzo ważne inicjatywy, które wyraźnie wzmacniają tę zmianę: Międzynarodowe Agendy Badawcze finansowane przez FNP i centra Dioscuri finansowane przez NCN. To one zmieniają, w miejscach gdzie są tworzone, sposób funkcjonowania jednostek, dostosowując je do międzynarodowych standardów. Umiędzynarodowienie zaczyna dotyczyć kolejnego bardzo ważnego obszaru – procesów, które realizowane są w instytucjach naukowych i akademickich.

Umiędzynarodowienie procesów. Tam, gdzie dzięki uniwersytetom europejskim, strategicznej współpracy, MAB-om, centrom Dioscuri czy zapewne wielu innym inicjatywom obecnym na uczelniach, tworzy się masa krytyczna umiędzynarodowienia. Wymusza ona, co jest wspierane także przez regulacje tych programów, zatrudnianie cudzoziemców, poddawanie się zewnętrznej międzynarodowej ocenie, pozyskiwanie międzynarodowych grantów. To procesy twarde. Ale zmiana dotyczy też „miękkich" obszarów. Pojawia się m.in. system wsparcia zagranicznych pracowników i ich rodzin, wewnętrzne dokumenty instytucjonalne tłumaczone są na angielski (Welcome to Poland NAWA jest tu nie do przecenienia), w tym języku prowadzone są też wewnętrzne seminaria naukowe. Skalę tych zmian dobrze obrazuje projekt UniWeliS, w którym zebraliśmy i opisaliśmy 65 dobrych praktyk związanych z przyciąganiem i obsługą zagranicznych badaczy. Ten obszar uległ znacznej profesjonalizacji, co powoduje, że z jednej strony naukowiec z zagranicy przestał być „problemem" wyłącznie osoby, która go zaprosiła (a wiemy, że problemów administracyjnych związanych z pobytem mobilnych naukowców nie brakuje), a jedno-



cześnie (co pewnie ważniejsze) oddziaływanie zagranicznych pracowników przestało się ograniczać do współpracy z jednym zaprzyjaźnionym profesorem. Umiędzynarodowienie zmienia też często kulturę pracy, narzuca wyższe standardy współpracy.

Zmiany strukturalne. Postrzeganie umiędzynarodowienia jako obszaru istotnego dla rozwoju instytucji przyniosło też zmiany strukturalne na uczelniach. W ostatnich latach na wielu z nich pojawili się prorektorzy ds. umiędzynarodowienia, a pamiętam, że gdy powstawała NAWA, tak opisany obszar odpowiedzialności prorektora był rzadkością. I choć wiemy, że umiędzynarodowienie powinno dotyczyć wszystkich obszarów działania uczelni i w związku z tym jego wydzielenie powoduje podwójne przyporządkowanie niektórych zadań i wymaga rozstrzygnięć kompetencyjnych, to twierdzę, że w okresie rozwoju i przy konieczności nadania odpowiedniego priorytetu temu obszarowi wydzielenie go może być pomocne. Wiele zachodnich uczelni ma także prorektorów ds. europejskich, co podkreśla wagę europejskiej współpracy i często jej inne cele od umiędzynarodowienia na poziomie globalnym. Instytucjonalne podejście do umiędzynarodowienia zmieniło też strukturę i funkcje biur współpracy międzynarodowej (tę nazwę nosiły na ogół już dość długo), które przestały zajmować się obsługą zagranicznych podróży pracowników i wyszły daleko poza organizowanie erasmusowych mobilności. Stały się kluczowymi siłami w napędzaniu umiędzynarodowienia, aplikując o środki na jego wzmocnienie, realizując międzynarodowe projekty, wspierając cudzoziemców, a przede wszystkim stały się ambasadorami doceniania roli umiędzynarodowienia w rozwoju uczelni. Rosnąca liczba międzynarodowej kadry i studentów wymuszała też zmianę funkcjonowania wszystkich innych biur (rekrutacyjnych, pracowniczych, organizacyjnych, dziekanatów), które zaczęły działać także w międzynarodowym kontekście. Nowością strukturalną, która dopełniła przeobrażeń, jakie miały miejsce na uczelniach, było utworzenie w 2022 roku komisji umiędzynarodowienia przy Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich.

Promocja i komunikacja. W tym obszarze dzięki umiędzynarodowieniu dużo się zmieniło. I nie chodzi tylko o to, że anglojęzyczne uczelniane strony internetowe nie są już tylko dla studentów i kandydatów, ale coraz częściej są w całości prowadzone w tym języku. To bardzo ważna zmiana, ale za jeszcze istotniejszą uważam umiejętność przedstawiania za granicą tego, co u nas najlepsze, umiejętność krytycznego wyboru tego, czym warto się pochwalić. Potrafimy spojrzeć na przekaz z punktu widzenia zagranicznego odbiorcy. Nie zawsze tak było. Pamiętam pierwsze wyjazdy z NAWA, na których prezentowały się polskie instytucje naukowe i akademickie. Odbiorcy zasypywani byli informacjami o liczbach profesorów, doktorów habilitowanych, liczbach wydziałów, katedr i prowadzonych kierunków. Wszystko było najważniejsze. Teraz wygląda to zupełnie inaczej. Przekaz został dostosowany do odbiorcy zagranicznego, jest zróżnicowany geograficznie, a także inny dla studentów, inny dla badaczy. Uczelnie wykonały zadanie: to nie tylko opracowanie tych materiałów, ale przede wszystkim doprowadzenie do konsensusu wewnętrznego co do treści, które chcemy pokazywać za granicą i czym się chcemy pochwalić, gdy mamy 5 minut na prezentację. To się udało.

Teraz trzy zastrzeżenia. Po pierwsze na pewno nie omawiam tu wszystkich zmian, które się dokonały w polskim świecie akademickim i naukowym z powodu, dla i w wyniku umiędzynarodowienia. Zapraszam do kontynuowania tej listy. Po drugie: mam pełną świadomość, że te przeobrażenia nie zaistniały wszędzie. Jak zawsze mamy liderów zmiany i ich naśladowców, a także uwarunkowania, które wymuszają różną skalę i zakres zmian. Ale pozytywne zmiany dotyczyły tak wielu jednostek, że powoli stają się standardem, do którego inni będą równać, jeśli będziemy się dzielić dobrymi praktykami. I trzecie zastrzeżenie, pewnie najważniejsze: mówiąc o umiędzynarodowieniu, nie zapominam o zagranicznych studentach. Większość z czytających widziała pewnie wykresy prezentowane przez Fundację Edukacyjną Perspektywy, które pokazują stały wzrost liczby zagranicznych studentów w Polsce, co niewątpliwie jest wynikiem wysiłku i determinacji uczelni. Jednocześnie postrzegam ten obszar, jako taki, w którym pozostaje dużo do zrobienia. Nie wynika to z procedowanych zmian w systemie wizowym, które mają charakter proceduralny i uczelnie przy swoich możliwościach adaptacyjnych szybko się do niego dostosują, a NAWA na pewno sprosta oczekiwaniom administracyjnym w tym zakresie. Myślę, że nadal na wielu uczelniach to działanie nie jest podporządkowane strategicznym celom instytucji (niezależnie czy sformułowanym formalnie, czy nie). Potrzeba tutaj więcej refleksji o pożądanym profilu studenta zagranicznego, jego integracji z polskimi studentami (a więc też umiędzynarodowienia w domu dla polskich studentów) i przemyślanej polityki współpracy z zagranicznymi alumnami. Staliśmy się mistrzami promocji w tym obszarze, ale musimy sobie odpowiedzieć na pytanie o wartość dla całościowego funkcjonowania jednostki.

Jako podsumowanie nie wystarczy powiedzieć, że zrobiliśmy duży postęp i że polski świat akademicki jest bardziej obecny w międzynarodowym obiegu myśli i talentów. Trzeba też zapytać, co dalej i czy ten wysiłek przyniesie konkretne efekty, skoro świat się nacjonalizuje i każdy dostrzega tylko własne poletko. Na pewno jest ryzyko, że te tendencje będą dotykać coraz mocniej świata nauki. Unia Europejska jest ostrożna w naukowej współpracy z Chinami, amerykańscy partnerzy nabierają wody w usta i przewidują, że dotykające ich cięcia budżetowe będą dotyczyć właśnie międzynarodowej współpracy. Zerkając do naszych zachodnich sąsiadów też widzimy, że klimat się zmienia. Lektura nowej strategii DAAD i ogłoszone przez tę instytucję cięcia w programach stypendialnych czy założenia konkursu inicjatywy doskonałości pokazują, że wartość jest prezentowana z perspektywy niemieckiej. Z drugiej jednak strony mamy raport Draghiego, który wyraźnie wskazuje na konieczność silniejszej integracji między krajami UE i postawienia na wzmocnienie struktur akademickich, także międzynarodowo. Polska, szczególnie w czasie prezydencji, może mieć wpływ na to, na ile te rozwiązania będą wdrażane. A my nie przestawajmy wierzyć w słuszność rozwoju nauki poprzez umiędzynarodowienie i bądźmy gotowi na jeszcze ściślejszą integrację.

Zewnętrzne rady ekspertów również na uniwersytetach

W środowisku Polskiej Akademii Nauk toczy się dyskusja o potrzebie i roli międzynarodowych eksperckich rad doradczych instytutów naukowych. Prof. Wiesław Laskowski, fizyk, prorektor Uniwersytetu Gdańskiego ds. badań naukowych, argumentuje za potrzebą powołania tego rodzaju gremiów dla jednostek uczelni i przywołuje przykład UG, gdzie to zrobiono.

Każda dyskusja o ewaluacji jakości działalności naukowej rozpoczyna się od próby odpowiedzi na pytanie: jaki powinien być jej cel? Czy projektując ją mamy na uwadze podział krajowych środków na naukę, czy nadanie uprawnień do nadawania stopni naukowych, a może prowadzenia kierunków studiów? Każda z tych spraw wymaga nieco innego spojrzenia na to, co i w jaki sposób oceniać. W dyskusjach nad ewaluacją pomijany jest jednak zwykle bardzo ważny wątek, a mianowicie mobilizowanie jednostki naukowej do rozwoju w taki sposób, by w coraz większym stopniu stwarzała sprzyjające warunki do prowadzenia badań naukowych.



Na ten właśnie aspekt chciałbym zwrócić uwagę. Nie ma chyba wątpliwości, że obecna formuła ewaluacji w żaden sposób nie przyczynia się do doskonalenia ani pracy naukowej, ani funkcjonowania instytucji. „Wypełnianie slotów" i „zdobywanie punktów" nie ma wiele wspólnego ze specyfiką badań. Budowanie zaś „na siłę" pozycji w świecie naukowym na podstawie wskaźników bibliometrycznych może prowadzić do naruszeń rzetelności naukowej. Na Uniwersytecie Gdańskim potrzeba zmiany w tym zakresie była tak duża, że nie chcieliśmy czekać na efekty zapowiadanych reform systemu ewaluacji. Naszą odpowiedzią na ten problem jest powołanie zewnętrznych rad ekspertów na każdym z wydziałów.

Rady ekspertów czy komitety doradcze pełniące funkcję oceniającą nie są nowym pomysłem. Takie rozwiązania stosuje się powszechnie w międzynarodowych instytutach czy na prywatnych uczelniach. Jest to jednak temat obcy publicznym uniwersytetom w Polsce, choć ostatnio zaczyna pojawiać się w różnych dyskusjach, m.in. w kontekście instytutów Polskiej Akademii Nauk. Oczywiście, w pewnym stopniu funkcję oceniającą mogłyby sprawować obecne już rady wydziałów czy dyscyplin, ale przez to, że są to gremia złożone wyłącznie z pracowników uniwersytetu, nie zawsze widzą sprawy, które miałyby oceniać, z odpowiednim dystansem. Z kolei rady uczelni, w skład których wchodzą osoby spoza wspólnoty akademickiej, mają zupełnie inne zadania.

Na Uniwersytecie Gdańskim mamy już doświadczenie z międzynarodowymi komitetami doradczymi w trzech jednostkach: Międzyuczelnianym Wydziale Biotechnologii UG i GUMed oraz w dwóch międzynarodowych centrach badawczych finansowanych ze środków programu MAB Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Warto wspomnieć, że w takim komitecie jednego z nich – Międzynarodowego Centrum Teorii Technologii Kwantowych – pracuje dwóch Noblistów (prof. Alain Aspect i prof. Anton Zeilinger). We wszystkich tych przypadkach komitety odegrały i nadal odgrywają kluczową rolę w kształtowaniu strategii rozwoju naukowego, a same jednostki należą do wiodących w uczelni. Ocena ekspercka ma szansę uwzględnić specyfikę każdego wydziału, nie poprzez dostosowanie poziomów mierników, lecz dzięki zupełnie innemu podejściu do każdej z dyscyplin. Jest to niezwykle trudne, a być może wręcz niemożliwe w parametrycznym systemie ewaluacji.

Nie czekając na reformę systemu ewaluacji i chcąc uzyskać płynące z zewnątrz impulsy rozwoju, postanowiliśmy w Uniwersytecie Gdańskim rozszerzyć koncepcję rad na wszystkie nasze wydziały. W ubiegłym roku wpisaliśmy je do statutu jako obligatoryjne ciało doradczo-oceniające na każdym wydziale. Rady tworzą eksperci z dyscyplin naukowych reprezentowanych na wydziałach. W ich skład wchodzą tylko naukowcy spoza uczelni, w tym co najmniej dwie osoby zatrudnione w zagranicznych instytucjach naukowych. Na niektórych wydziałach rady składają się jednak wyłącznie z ekspertów z zagranicy, co docelowo powinno stać się standardem we wszystkich jednostkach. Eksperci nie będą pobierali wynagrodzenia za pracę w radzie, a dla wielu z nich, nawet tych najbardziej prominentnych, uczestnictwo w takim przedsięwzięciu stanowi zarówno wyzwanie, jak i źródło satysfakcji i prestiżu. Dla nas z kolei to wielki zaszczyt.

Głównym zadaniem rad jest przeprowadzanie raz na dwa lata ewaluacji działalności naukowej wydziału. Interesuje nas ocena całościowa, z lotu ptaka, ale obejmująca nie tylko samą dyscyplinę czy wydział jako całość, lecz także poszczególne jednostki wydziałowe: katedry i zakłady. Nie chcemy uzyskać jedenastu laurek. Chcemy dowiedzieć się, czy to, co odbieramy jako sukcesy, jest również tak widziane z zewnątrz. Przyzwyczajamy się również łatwo do operowania pewnymi schematami szkodliwymi dla rozwoju badań. Mamy nadzieję, że eksperci je dostrzegą i wypunktują. Dobierając skład tych gremiów kierowaliśmy się nie tylko dorobkiem naukowym, ale także doświadczeniem członków, zdobytym na więcej niż jednej uczelni oraz praktyką w zarządzaniu wydziałem lub instytucją akademicką.

Pierwsza taka ocena odbędzie się jesienią 2026 roku. Kolegia dziekańskie i kierownicy jednostek przygotują raporty z postępów pracy naukowej. Rady przeanalizują je i odbędą wizyty na wydziałach. Obowiązkowym elementem wizyty będzie seminarium, podczas którego kierownicy jednostek zaprezentują efekty pracy. Więcej nie precyzujemy, oddając pole samym radom. Wyobrażam sobie jednak, że rady odbędą rozmowy z pracownikami i doktorantami, obejrzą laboratoria i poznają warunki pracy. Na tej podstawie opracują raporty, których najważniejszą częścią będą rekomendacje dla władz wydziałów i uniwersytetu. Na koniec rady wydziałów zostaną zobligowane do przeprowadzenia dyskusji nad raportem i opracowania planów wdrożenia rekomendacji.

W tej chwili, dzięki wsparciu grantu CoARA Boost, przygotowujemy się do pierwszego spotkania z przewodniczącymi rad, podczas którego przedyskutujemy ostateczną formułę działania ich zespołów i sposób ewaluowania wydziału.

Na koniec ośmielę się stwierdzić, że nie miałbym nic przeciwko temu, by tak właśnie wyglądała w przyszłości ewaluacja jakości działalności naukowej w Polsce. Skład rad mógłby zostać uzupełniony o przedstawicieli ministerstwa i w taki sposób dokonać szybkiej, taniej, ale wnikliwej i merytorycznej oceny instytucji naukowej.

Ponad 100 mln zł na nowe centra doskonałości

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej otworzyła kolejny – drugi w tym roku – nabór wniosków na finansowanie Międzynarodowych Agend Badawczych. Środki umożliwią wybitnym naukowcom z Polski i zagranicy stworzenie w naszym kraju nowoczesnych centrów zdolnych do prowadzenia innowacyjnych projektów na światowym poziomie. Aplikacje można wysyłać do 12 maja.

Międzynarodowe Agendy Badawcze skupiają się na przełomowych badaniach, które wykorzystując najświeższe odkrycia i wiedzę naukową mają rozwiązywać realne problemy współczesnego społeczeństwa. Do tej pory utworzono 15 tego typu centrów, które łącznie zatrudniły ponad pół tysiąca naukowców, w tym połowę z zagranicy. Szansa na dołączenie do tego elitarnego grona otwiera się właśnie przed kolejnymi zespołami badawczymi.

– W Polsce potrzebujemy centrów doskonałości, czyli takich miejsc, które dają możliwość prowadzenia badań na światowym poziomie i współpracy z międzynarodową społecznością naukową. Są one nam potrzebne, aby przyciągać najlepszych badaczy z Polski i z zagranicy. Takich centrów powinno być w naszym kraju jak najwięcej, jeżeli chcemy, żeby nauka uprawiana w Polsce była naprawdę konkurencyjna – przekonuje prof. Maciej Żylicz, prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

MAB to model wsparcia dla wybitnych naukowców z Polski i zagranicy, którzy chcą stworzyć w naszym kraju nowoczesne centra badawcze, zdolne do prowadzenia innowacyjnych projektów na światowym poziomie. Każda jednostka MAB działa we współpracy z zagranicznym partnerem naukowym i skupia się na wybranym, strategicznym obszarze badawczym. Projekty wybierane są w drodze konkursu.

O dofinansowanie mogą się ubiegać organizacje badawcze, które wraz z międzynarodowym partnerem planują realizację projektów B+R (badania przemysłowe i eksperymentalne prace rozwojowe) w obszarze Krajowych Inteligentnych Specjalizacji (KIS). Wnioskodawca wskazuje lidera/liderkę projektu, odpowiedzialnego za koncepcję i realizację zadań merytorycznych.

Wnioski można składać do 12 maja. Maksymalne dofinansowanie dla pojedynczego projektu wynosi 30 milionów złotych. Łączny budżet naboru to 120 mln zł. Szczegółowe informacje dostępne są na stronie internetowej Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

MK

MAB-y w praktyce

W wyniku dotychczasowych konkursów na uruchomienie Międzynarodowych Agend Badawczych powołano 15 takich jednostek, a szesnasta, wyłoniona w ostatnim konkursie, powstanie w najbliższym czasie. Ze środków Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój w wysokości ponad 500 mln zł FNP sfinansowała stworzenie 14 MABów. Osiem z nich zdobyło finansowanie w nowej perspektywie finansowej Unii Europejskiej już ze środków programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki. Dodatkowo ze środków FENG Fundacja przyznała finansowanie dwóm nowym projektom: Race-Prime, który jest realizowany w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie oraz Centrum Wiarygodnej Sztucznej Inteligencji przy Politechnice Warszawskiej. Dotychczas ze środków FENG Fundacja przyznała ponad 306 mln zł na funkcjonowanie Międzynarodowych Agend Badawczych.



Maciej Wojtkowski

◀ Wśród działających już tego typu jednostek jest ICTER – Międzynarodowe Centrum Badań Oka, stworzone przy Instytucie Chemii Fizycznej PAN w Warszawie. Opracowywane są tam przełomowe systemy pozwalające na diagnozowanie schorzeń oczu na poziomie pojedynczej komórki. Badacze zajmują się też terapiami genowymi leczącymi utratę wzroku oraz precyzyjnymi, zrobotyzowanymi narzędziami chirurgicznymi pozwalającymi na przeprowadzanie niezwykle delikatnych operacji na oku pacjenta.



Tomasz Dietl

Z kolei w centrum MagTop z Instytutu Fizyki PAN w Warszawie powstaje zupełnie nowa klasa materiałów, tzw. materiały topologiczne. Ich zastosowanie może być szerokie: od konstrukcji komputerów kwantowych przez wykorzystywanie do odzyskiwania energii cieplnej w silnikach czy budowy superczułych noktowizorów. ▶



Marek Żukowski

◀ Natomiast ośrodek SWIFT, stworzony na Uniwersytecie Gdańskim, pracuje nad wprowadzeniem do powszechnego użycia klinicznego spersonalizowanych, dostosowanych do fizjologii konkretnego pacjenta terapii raka płuca, w ramach których komórki rakowe są niszczone przez układ odpornościowy chorego.

Studia online – biznes czy prawdziwa edukacja?

Pandemia koronawirusa znacząco przyspieszyła proces cyfryzacji szkolnictwa wyższego i nauki. Uczelnie zostały zmuszone do natychmiastowego przejścia na zdalny tryb kształcenia. Doświadczenia z tego okresu sprawiły, że wiele z nich zdecydowało się kontynuować tę formę kształcenia studentów w całości lub w wybranych elementach.

Rozważając możliwość prowadzenia studiów z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość w pierwszej kolejności trzeba odnieść się do prawnej dopuszczalności takiego rozwiązania w polskim systemie szkolnictwa wyższego i nauki. Pod pewnymi warunkami jest to możliwe. Żeby tak było, to przede wszystkim pozwalać na to powinna specyfika kształcenia na określonym kierunku. Po drugie należy to przewidzieć w programie studiów. Ponadto prowadzenie zajęć z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość musi nastąpić przy wykorzystaniu infrastruktury i oprogramowania zapewniających synchroniczną i asynchroniczną interakcję między studentami i prowadzącymi zajęcia. Bardzo ważne jest to, że jedynie część efektów uczenia się objętych programem studiów może być uzyskana podczas takich zajęć. W przypadku studiów o profilu praktycznym liczba punktów ECTS, jaka może być uzyskana w trakcie zajęć z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość, nie może być większa niż 50% ogólnej liczby punktów ECTS koniecznej do ukończenia studiów na danym poziomie. Z kolei w przypadku studiów o profilu ogólnoakademickim jest to nie więcej niż 75% ogólnej liczby punktów ECTS koniecznej do ukończenia studiów na danym poziomie. Warto także zwrócić uwagę, że w przypadku zajęć kształtujących umiejętności praktyczne, metody i techniki kształcenia na odległość mogą być wykorzystywane pomocniczo. Powyższe zasady mają charakter generalny. Jednocześnie jednak pamiętajmy, że w okresie pandemii obowiązywały przepisy szczególne w tym obszarze.



Szczegółowe warunki nauki zdalnej zostały doprecyzowane na gruncie rozporządzenia w sprawie studiów. Zostały one sformułowane w sposób bardzo ogólny, co pozostawia w pewnym zakresie pole do interpretacji w zakresie spełnienia poszczególnych wymagań. Kluczowe wydaje się odpowiednie przygotowanie nauczycieli akademickich i innych osób prowadzących zajęcia do ich realizacji z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. Dobrą praktyką jest prowadzenie kursów lub szkoleń dotyczących narzędzi wykorzystywanych w procesie zdalnego nauczania, a także metodyki tej formy kształcenia. Realizacja zajęć realizowanych zdalnie powinna być przez uczelnię na bieżąco kontrolowana. Uwagę zwraca się również na dostęp do infrastruktury informatycznej i oprogramowania umożliwiającego synchroniczną i asynchroniczną interakcję między studentami a prowadzącymi zajęcia. Weryfikacja osiągnięcia przez studentów efektów uczenia się odbywać się powinna przez bieżącą kontrolę postępów w nauce.

Bardzo ważne jest także odpowiednie przygotowanie głównych interesariuszy procesu kształcenia, czyli studentów. Powinni oni odbyć szkolenia przygotowujące do udziału w zajęciach prowadzonych on-line. Na uczelni ciąży obowiązek zapewnienia materiałów dydaktycznych w formie elektronicznej oraz umożliwienia osobistych konsultacji z wykładowcami prowadzącymi tego typu zajęcia w siedzibie uczelni lub w jej filii. Nie można również zapominać o dobrych praktykach w zakresie uwzględniania różnorodności potrzeb studentów, w tym osób ze szczególnymi potrzebami. Istotne jest przede wszystkim dostosowanie materiałów i narzędzi dydaktycznych oraz odpowiednie przygotowanie wykładowców.

Dobrą praktyką jest opracowanie prawa wewnętrznego dotyczącego przedmiotowego zagadnienia. Powinno ono w odpowiedni sposób uszczegóławiać zasady prowadzenia zajęć z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość.

Powyższą teorię odnieść trzeba do praktyki prowadzenia kształcenia zdalnego w Polsce. W pewnym momencie ta forma edukacji stała się bardzo dochodowa. W przestrzeni medialnej nadal możemy odnaleźć reklamy zachęcające do podjęcia studiów prowadzonych w pełni online, co jest oczywiście niedozwolone. Zdarza się, że uczelnie starają się obchodzić regulacje prawne, np. poprzez masowe udzielanie studentom zgody na indywidualną organizację studiów, pozwalającą na w pełni zdalną edukację. Z punktu widzenia prawnego wydaje się to niedopuszczalne. W połączeniu z wyrażaniem zgody na realizację studiów w krótszym czasie aniżeli zakładany w programie studiów staje się to niebezpiecznym zjawiskiem, czego efekty już w Polsce obserwowaliśmy. Niebagatelną rolę w monitorowaniu oraz przeciwdziałaniu nadużyciom powinna odgrywać Polska Komisja Akredytacyjna, dbając o jakość kształcenia w polskich uczelniach.

Wydaje się, że dostępne narzędzia informatyczne pozwalają obecnie na przygotowanie zajęć zdalnych charakteryzujących się wysokim poziomem merytorycznym, jak również odpowiednim zaangażowaniem studentów oraz prowadzących zajęcia. To jednak od poszczególnych uczelni zależy, czy zainwestują odpowiednie środki finansowe oraz czas w opracowanie i wdrożenie mechanizmów pozwalających na prowadzenie wysokiej jakości studiów on-line, które pozwolą na osiągnięcie zakładanych efektów uczenia się.

Wydaje się nieuniknione to, że w pewnym momencie staniemy przed wyzwaniem związanym z dopuszczalnością prowadzenia niektórych kierunków studiów w całości z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. Już teraz powinno się podjąć działania ukierunkowane na przygotowanie się do tego. Przede wszystkim obecne regulacje dotyczące kształcenia zdalnego wydają się być zbyt ogólne. Poprzez ich doprecyzowanie należałoby niejako zmusić uczelnie do wdrożenia mechanizmów zapewniających wysoką jakość kształcenia zdalnego. Rozważyć należałoby również uregulowanie kompetencji Polskiej Komisji Akredytacyjnej do dokonywania oceny przygotowania danych podmiotów do prowadzenia zajęć w tej formie. Projakościowe podejście połączone z zewnętrzną oraz wewnętrzną ewaluacją mogłoby w przyszłości pozwolić na efektywne prowadzenie studiów zdalnych. Kluczowe

jest podejście, które powinno być ukierunkowane przede wszystkim na zaoferowanie studiów zdalnych o wysokiej jakości kształcenia, a nie być nastawione na aspekt gospodarczy. W krótszej perspektywie będzie to zdecydowanie łatwiejsze na uczelniach publicznych aniżeli niepublicznych.

Nadszedł czas, by przejść do konstruktywnego wykorzystania formuły kształcenia zdalnego. Niemal każdy kto studiował, pamięta przynajmniej jeden mało interesujący wykład, prowadzony w sposób niezrozumiały lub monotonny, na którym studenci zajmowali się innymi sprawami. Z drugiej strony wystarczy tylko spojrzeć, jak wiele osób słucha ciekawych podcastów czy audiobook'ów w drodze do pracy, szkoły lub wykonując obowiązki domowe. W upływem czasu zmienił się także profil studenta. Aktualnie sporo osób idzie na studia na dalszych etapach swojej kariery, aby podnieść swoje kwalifikacje lub łączy pracę z kształceniem wyższym – nawet w trybie stacjonarnym. Wykłady i zajęcia w formule zdalnej mogą stanowić właśnie odpowiedź na potrzeby współczesnych studentów, którzy chcą efektywnie wykorzystać czas, bez konieczności pozostawania w sali wykładowej. Forma ta wydaje się też szczególnie pomocna dla osób ze szczególnymi potrzebami. Wreszcie, formuła on-line to szansa na kontynuowanie nauki dla studentów będących rodzicami, co w perspektywie alarmujących wskaźników dzietności w Polsce może stanowić metodę podtrzymującą aktywność zawodową czy społeczną tych osób. Trzeba również pamiętać, że zajęcia prowadzone z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość to nie tylko formuła wykładowa, ale szereg gier i zadań interaktywnych. Pozostaje pytanie: na ile i jak są one wykorzystywane? Zajęcia zdalne na wzór nużących wykładów stacjonarnych rzeczywiście nie będą pomagać, a jedynie utrwalać negatywne konsekwencje funkcjonowania w świecie wirtualnym.

Wskazując na korzyści i zalety płynące z kształcenia on-line nie można zapominać również o niebezpieczeństwach, jakie niesie za sobą „przeniesienie" studiowania w całości czy w większości do sfery wirtualnej. Wielu ekspertów oceniających skutki pandemii COVID-19 oraz społecznej izolacji w tym okresie, w szczególności w odniesieniu do ludzi młodych, wskazywało na wycofanie społeczne, problemy psychiczne powodowane m.in. osamotnieniem i brakiem interakcji społecznych. Dlatego należy stanowczo podkreślić, że studia stanowią część kultury akademickiej, stanowią przestrzeń, w której tworzą i kształtują się relacje międzyludzkie. Uczymy się na nich słuchać, zadawać pytania oraz na nie odpowiadać. Studia to nie tylko wiedza z książek, ale formowanie postaw społecznych i zawodowych. Nie powinny one być więc traktowane instrumentalnie i utylitarnie sprowadzane do roli „papierka". Z tego względu formy zdalne mogą, a wręcz powinny uzupełniać kształcenie wyższe, jednak nie powinny całkowicie zastąpić nauki stacjonarnej. Znalezienie złotego środka z pewnością nie będzie łatwe.

Osobną kwestią, do której warto się również odnieść. są studia podyplomowe – prowadzone bardzo często w całości lub części z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. W polskim porządku prawnym znajdują się one co do zasady poza kontrolą ze strony organów odpowiedzialnych za jakość kształcenia. Także w tym przypadku konieczne jest podjęcie przez ustawodawcę odpowiednich kroków, które w efekcie zapewnią wysoką jakość kształcenia. Warto w tym zakresie podjąć ogólnokrajową debatę nad zagadnieniem oceny jakości kształcenia na studiach podyplomowych, w tym w szczególności prowadzonych zdalnie. Oczywistym jest, że z racji liczby i różnorodności prowadzonych programów podyplomowych na poszczególnych uczelniach, niemożliwym byłoby dokonanie ewaluacji wszystkich w krótkim czasie. Rozważyć można jednak takie modele oceny, które w pierwszej kolejności skupiałyby się, np. na przyznawaniu przez organy państwowe certyfikatów jakości prowadzonych studiów podyplomowych.

Powyższe rozważania pokazują, że obecne regulacje prawne wydają się być niewystarczające w kontekście prowadzenia zdalnego kształcenia na poziomie wyższym oraz zdalnych studiów podyplomowych, charakteryzujących się wysoką jakością. Przede wszystkim brak jest odpowiedniej kontroli ze strony odpowiednich organów, które nie posiadają właściwych narzędzi prawnych do prowadzenia ewaluacji w przedmiotowych zakresach. W przyszłości nieuniknione będzie prowadzenie niektórych kierunków studiów w całości z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. Warto już w tym momencie rozpocząć ogólnokrajową dyskusję nad tym zagadnieniem, celem przygotowania regulacji prawnych w tym obszarze. Problem w wykorzystaniu tych form związany jest również z tym jak efektywnie przekazywać wiedzę młodemu pokoleniu, które inaczej patrzy na świat aniżeli 10 czy 20 lat temu.

r.pr. Wojciech Kiełbasiński,
współpraca merytoryczna: r.pr. Barbara Pietrzyk-Tobiasz

FIRST TEAM: 64 mln zł dla młodych naukowców

Do końca maja trwa nabór wniosków w konkursie Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej FIRST TEAM.

Jest on skierowany do młodych naukowców (od 2 do 9 lat po doktoracie) z całego świata, której celem jest zachęcenie ich do pracy w polskich organizacjach badawczych oraz rozwój współpracy międzynarodowej i gospodarczej. Naukowcy mogą się ubiegać o środki – do 4 mln zł - na założenie nowego zespołu badawczego i prowadzenie prac B+R we współpracy z zagranicznym partnerem naukowym i krajowym partnerem gospodarczym. Działanie FIRST TEAM ma przyczynić się do zwiększenia konkurencyjności polskich wniosków składanych do konkursów ERC.

Wnioskodawcami mogą być organizacje badawcze, które wskazują osobę pełniącą rolę głównego wykonawcy projektu - autora koncepcji badawczej przedstawionej we wniosku. Finansowanie można otrzymać na oryginalne prace badawczo-rozwojowe, które posiadają potencjalną wartość wdrożeniową oraz znaczenie w kontekście rozwiązywania problemów gospodarczych lub społeczno-ekonomicznych. Zakres tematyczny projektów nie jest ograniczony do poszczególnych dziedzin nauki, lecz odnosi się do priorytetów ujętych w wykazie Krajowych Inteligentnych Specjalizacji. Finansowanie nie obejmuje badań podstawowych.

Środki mogą być przeznaczone na m.in. wynagrodzenia i zakupy aparatury naukowo-badawczej niezbędnej do realizacji projektu. Łączny budżet konkursu wynosi 64 mln zł. Wnioski można składać do 30 maja. Szczegółowe informacje na stronie internetowej FNP.

Do 2029 roku ze środków FIRST TEAM Fundacja sfinansuje ponad 70 projektów o łącznej wartości około 290 mln zł. Pierwszy nabór rozstrzygnięto w czerwcu ub.r. Spośród 202 nadesłanych wniosków wyłoniono 27 o łącznej wartości ponad 101 mln zł.

MK

Misja, wyzwanie, element oceny instytucjonalnej

Dr Katarzyna Świerk, dyrektor Biura Nauki Uniwersytetu Gdańskiego, ekspertka Instytutu Rozwoju Szkolnictwa Wyższego, pisze o kontekstach wpływu społecznego nauki.

Dynamika zmian na poziomie globalnym nabrała szczególnego tempa w ostatnich kilku latach. Stare chińskie przekleństwo „Obyś żył w ciekawych czasach" stało się niezwykle aktualne. Ostatni Raport Eurobarometru, obejmujący 27 krajów Unii Europejskiej, który bazuje na badaniach ankietowych ponad 34 tys. uczestników, pokazuje bardzo wyraźnie, że społeczeństwo czerpie wiedzę z telewizji lub mediów społecznościowych, w Polsce to 61%. Jako źródło wiedzy wymienia czasopisma naukowe tylko 6% obywateli naszego kraju. Najbardziej niepokojący jest jednak fakt, że 54% Polaków uważa, że wiedza naukowa nie jest przydatna w codziennym życiu, a nawet 50% badanych określa samych naukowców jako aroganckich czy ograniczonych (42%). Jednocześnie Międzynarodowe Badania Umiejętności Dorosłych (PIAAC), koordynowane przez OECD, pokazują, że 39% badanych Polaków ma problem ze zrozumieniem tekstu czytanego. Zatem nie powinno dziwić to, że rosną w siłę w naszym kraju takie ruchy, jak „Polskie Nie dla 5G" czy „Polska Ziemia bez cenzury".



Odpowiedź na pytanie o wpływ społeczny badań naukowych można odnieść do 3 powiązanych ze sobą perspektyw: jako elementu misji, wyzwaniu oraz elementu oceny instytucji akademickich.

Badania naukowe i ich rezultaty są elementem większego procesu, który ostatecznie przyczynia się do poprawy dobrostanu społeczeństwa: rozwoju technologii, rozwoju cywilizacyjnego, kulturowego, budowania zasobów, ograniczania strat, przeciwdziałania katastrofom, minimalizacji ryzyka itp. Myślę, że jako naukowcy doskonale to rozumiemy i każdy z nas widzi głębszy sens swoich prac badawczych niż jedynie opublikowanie wyniku i zebranie określonej liczby punktów. Problemem jest natomiast brak odpowiedniej komunikacji na zewnątrz. Przedstawione wyniki raportów międzynarodowych pokazują, że nasza praca nie znajduje uznania wśród ogółu społeczeństwa. Wpływ społeczny badań naukowych powinien stać się bardziej widoczny, odpowiednio komunikowany, wbudowany w wewnętrzne procesy zarządzania uczelniami jako element ich misji. Dla przykładu, uczelnie zrzeszone w LERU (League of European Research Universities) rekomendują uwzględnianie społecznego wpływu nauki poprzez włączenie misji społecznej do agendy uniwersytetu, przy założeniu, że jest to kompatybilne z historyczną tradycją kreowania i transferu wiedzy, a także rozwijanie misji społecznej oraz szukanie dla niej wsparcia w ramach otwartego procesu opartego na współpracy sieciowej, kultury zaangażowania i koprodukcji wiedzy.

Wyzwaniem jest już samo zdefiniowanie „wpływu społecznego". Nie ma jednej definicji, nie ma horyzontu czasowego, trudno też na samym początku przewidywać zasięg czy znaczenie planowanych badań. Bo taka jest przecież nauka. Tym bardziej wdrożenie na poziomie jednostek akademickich systemu identyfikacji wpływu badań jest trudnym zadaniem. Możemy jednak znaleźć dobre praktyki, które przyniosły oczekiwane efekty. Uniwersytet w Limerick ma jasno zdefiniowane zasady określania wpływu społecznego, a do planowania wykorzystuje model Canvas. Według tego podejścia, oprócz rezultatów badań naukowcy już w trakcie procesu badawczego zbierają dowody, że ich wyniki zostały wykorzystane przez przedstawicieli otoczenia zewnętrznego. Jest to element oceny indywidualnej pracy naukowca. Sama zmiana systemu oceny pracy naukowej jest teraz dyskutowana w szerokim kontekście przez członków CoARA (Coalition for Advancing Research Assessment), więc to dobry moment, żeby się do tej dyskusji włączyć i uwzględnić ocenę wpływu społecznego także na poziomie indywidualnego badawcza.

W polskim systemie ewaluacji jakości działalności naukowej mamy element oceny wpływu społecznego w tzw. trzecim kryterium. Problemy, jakie miały uczelnie z odpowiednim przygotowaniem opisów wpływu w poprzednim okresie ewaluacyjnym, pokazały, że nie byliśmy jeszcze gotowi, zbyt słabo przygotowani, a może trochę nieświadomi tego wyzwania. Obecnie uczelnie przygotowują się do przedstawienia kolejnych opisów wpływu do ewaluacji, próbując uwzględnić uwagi i doświadczenia z poprzedniej oceny. Obserwując te przygotowania można odnieść wrażenie, że działania skupione są na wypełnieniu formalnych wymagań ewaluacyjnych bez głębszych zmian w całym procesie przygotowawczym. Jeśli wpływ społeczny badań naukowych potraktujemy jako część misji instytucji akademickich, to nie możemy tego sprowadzić do wypełnienia raz na cztery lata formularza, który na dodatek ogranicza liczbę znaków, czyli długość opisu. Niezbędne jest podejście procesowe, zakładające realizację wielu złożonych działań na poziomie strategicznym uczelni, a nawet całego systemu szkolnictwa wyższego i nauki.

Zbliżamy się szybkim krokiem do kolejnej ewaluacji. Jej wyniki pokażą, czy jesteśmy do niej lepiej przygotowani. Natomiast najtrudniejszy sprawdzian jeszcze przed nami. To społeczeństwo w kolejnych raportach o przydatności wiedzy naukowej i ocenie roli naukowców pokaże nam, czy odrobiliśmy tę lekcję.

www.forumakademickie.pl

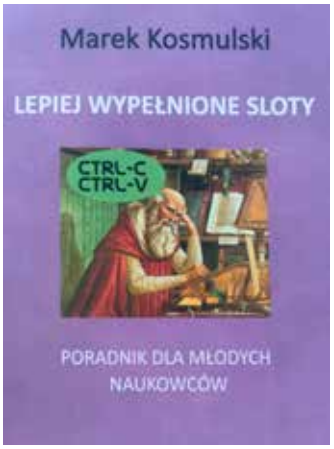
@ForumAkad

@ForumAkademickie

Jak zostałem wydawcą

Prof. Marek Kosmulski, chemik z Politechniki Lubelskiej, opisuje swoje doświadczenia z wydawania książki własnym sumptem.

W cieniu awantury o *Chłopki* chciałbym poruszyć pokrewny temat: relacje między autorem i wydawcą w odniesieniu do monografii naukowych, skryptów i specjalistycznych publikacji popularnonaukowych (w odróżnieniu od wysokonakładowych książek, które można kupić w standardowej księgarni). Jest wiele różnic między typowymi książkami pisanymi przez naukowców, a np. beletrystyką, przewodnikiem turystycznym czy książką kucharską. Grono potencjalnych czytelników ogranicza się do kilkuset, a w najlepszym razie do paru tysięcy osób. Dlatego też nakłady są na poziomie 50-100 egz. Strategie marketingowe użyteczne w promocji standardowych książek nie mają zastosowania do publikacji naukowych.



W związku z powyższym autorzy:

- nie liczą na to, że mogliby na takiej publikacji zarobić;
- mają możliwość pokrycia kosztów publikacji z pieniędzy publicznych, chociaż nie zawsze;
- uzyskują dobra niematerialne. Z jednej strony możliwość wypowiedzi bez cenzury ze strony redaktora i recenzentów (w odróżnieniu od artykułów w czasopismach, gdzie autorzy często muszą iść na kompromis). Z drugiej – prestiż (wydrukowana książka robi lepsze wrażenie niż dokument istniejący tylko w formie elektronicznej), lepszą ochronę praw autorskich, a nawet punkty w takiej lub innej ewaluacji.

Z punktu widzenia łowcy ministerialnych punktów, publikowanie monografii jest absurdem, gdyż znacznie mniejszym nakładem sił można uzyskać te punkty publikując artykuły w czasopismach. Niemniej, nie samymi punktami człowiek żyje. W latach 1990-2022 opublikowałem w Polsce pół tuzina książek. Mam też doświadczenia (pozytywne) z publikowaniem w wydawnictwach Marcel Dekker i CRC, i stąd biorą się wysokie oczekiwania pod adresem krajowych wydawców. Moje główne zastrzeżenia do polskich wydawców, z którymi bardziej lub mniej skutecznie próbowałem współpracować, to:

- długi czas oczekiwania pomiędzy przedstawieniem wydawcy ostatecznej wersji manuskryptu a wydrukowaniem książki;
- ingerencje wydawcy w treść;
- nieudolne „korekty językowe" (najlepszy polonista niewiele pomoże, gdy nie rozumie treści i nie zna naukowego żargonu);
- wygórowane oczekiwania finansowe względem autorów.

Chociaż zapewne istnieją pozytywne wyjątki, te doświadczenia są raczej typowe, gdyż potwierdzają je inni autorzy publikujący u innych wydawców. Z roku na rok jest coraz gorzej, co niezbyt dobrze wróży na przyszłość. Na przełomie lat 2024/25 przy próbie wydania kolejnej książki miarka się przebrała i po stracie kilku miesięcy na bezowocne negocjacje z wydawcami postanowiłem wziąć sprawy we własne ręce. Rejestracja wydawcy w Bibliotece Narodowej jest bajecznie prosta, tzn. nie wymaga żadnej szczególnej wiedzy, wiele czasu ani nakładów finansowych. Po 2 dniach roboczych wydawca dostaje do wykorzystania 10 numerów ISBN. Przypisanie numeru ISBN do książki i wypełnienie stosownego formularza zajmuje 15 minut i w razie potrzeby można ten rekord poprawiać do skutku. Skład komputerowy książki za pomocą pakietu Libre Office zajął mi 3 dni. Podobne funkcjonalności są dostępne w MS Word i w innych edytorach tekstu. Robiłem to po raz pierwszy w życiu i z obecnymi doświadczeniami zapewne zrobiłbym to szybciej. Projekt okładki to kolejne 2 dni i 20 próbnych wydruków. Ostatecznie drukarnia zakwestionowała mój projekt i za skromną opłatą dostosowała go do swoich standardów. Wybór drukarni zajął mi tydzień, przy czym nie kierowałem się najniższą ceną, lecz stosunkiem ceny do jakości. Ostatecznie od zerwania pertraktacji z ostatnim potencjalnym wydawcą do odebrania wydrukowanych książek z drukarni minęły równo 3 tygodnie. Wydanie 100 egz. 165-stronicowej książki w formacie A5 (od ostatecznego manuskryptu do wydruku) kosztowało niecałe 1600 złotych brutto, wliczając w to usługi grafika z drukarni. Wydawnictwa żądały 5-10 tysięcy.

Na podstawie jednostkowego doświadczenia gorąco polecam takie rozwiązanie wszystkim autorom, nie tylko naukowcom, którzy mają równie przykre doświadczenia z krajowymi wydawcami. Wyżej opisany proces można zmodyfikować zlecając skład komputerowy i projekt okładki wykwalifikowanej osobie. Zapewne wykonawca zaangażowany bezpośrednio przez autora będzie lepszy i tańszy niż ten narzucony przez wydawnictwo. Wydawcom nie spodoba się ten tekst. Współczuję im rosnących kosztów i spadku zainteresowania kupnem książek, ale konsekwencji tych zjawisk nie mogą po prostu przerzucić na autorów. Powinni też zrozumieć, że zapewnienie wydawcom dobrostanu nie jest zadaniem autorów, zwłaszcza jeżeli ci wydawcy nie spełniają ich oczekiwań.

Prenumerata „Forum Akademickiego" w 2025 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego",
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego" w 2025 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 250 zł;
prenumerata numerów 1-6: 132 zł, a 7-12: 118 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 180 za cały rok
i 90 zł za pół roku.

Redakcja



Nowi profesorowie

19 marca 2025 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Katarzyna Anna Jaździewska** (IFiS PAN), **Tomasz Kłys** (UŁ), **Paweł Jacek Kras** (KUL), **Beata Iwona Kuryłowicz** (UwB), **Lidia Małgorzata Michalska–Bracha** (UJK), **Piotr Sobotka** (IS PAN), **Antoni Szwed** (UPKEN)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Mohamed Alwaeli** (PŚ), **Artur Jerzy Badyda** (PW), **Sławomir Cellmer** (UWM), **Kazimierz Ćmielewski** (UPWr), **Paweł Dariusz Domański** (PW), **Katarzyna Anna Kosek–Szott** (AGH), **Piotr Krawczyk** (PW), **Adam Piotr Kruk** (AGH), **Monika Izabela Kwoka** (PŚ), **Aneta Elżbieta Łuczkiewicz** (PG), **Łukasz Henryk Makowski** (PW), **Andrzej Marcin Młyniec** (AGH), **Jakub Jerzy Montewka** (PG), **Jacek Paweł Nurzyński** (ITB), **Marek Ochowiak** (PP), **Andrzej Piotr Pacana** (PRz), **Tomasz Stanisław Rogalski** (PRz), **Katarzyna Rzeszut** (PP), **Norbert Michał Skoczylas** (AGH), **Zbigniew Ryszard Stępień** (INiG – PIB), **Szymon Szott** (AGH), **Tomasz Grzegorz Trzepieciński** (PRz)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Barbara Sabina Bednarczyk–Cwynar** (UMP), **Olga Ciepiela** (WUM), **Jarosław Daniluk** (UMB), **Jerzy Marian Dropiński** (UJ), **Marek Ryszard Durlik** (PIM MSWiA), **Andrzej Jerzy Jakubczyk** (WUM), **Radosław Januchowski** (UZ), **Maria Klatka** (UML), **Jan Maria Konarski** (AWFP), **Marcin Radosław Lener** (PUM), **Eligiusz Stefan Małolepszy** (UJD), **Agnieszka Beata Młynarska** (SUM), **Agnieszka Nikiforuk** (IF PAN), **Agnieszka Paradowska–Gorycka** (NIGRiR), **Jakub Karol Pawlikowski** (UML), **Nadia Sawicka–Gutaj** (UMP), **Dorota Sikorska** (UMP), **Łukasz Dariusz Sobotta** (UMP), **Magdalena Maria Staniszewska** (KUL), **Anna Teresa Straburzyńska–Lupa** (AWFP), **Andrzej Śliwczyński** (ULaz), **Michał Tomczyk** (UMB)

NAUKI ROLNICZE: **Justyna Batkowska** (UPL), **Beata Feledyn–Szewczyk** (IUNiG – PIB), **Andrzej Jakubczak** (UPL), **Katarzyna Kozłowicz** (UPL), **Grzegorz Łysiak** (UPP), **Alicja Niewiadomska** (UPP), **Anna Nogalska** (UWM), **Małgorzata Podwyszyńska** (IO), **Jacek Sosnowski** (UPHS), **Joanna Trafiałek** (SGGW), **Wiesław Wiczkowski** (IRZiBŻ PAN), **Karolina Wójciak** (UPL)

NAUKI SPOŁECZNE: **Katarzyna Chałubińska–Jentkiewicz** (ALK), **Bartosz Adam Wojciechowski** (UŁ)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Aleksander Maria Astel** (APS), **Łukasz Chrzanowski** (PP), **Wojciech Jakub Dobiński** (UŚ), **Anders Martin Jönsson–Niedziółka** (IChF PAN), **Arkadiusz Michał Józefczak** (UAM), **Tomasz Jacek Sarnowski** (IBiB PAN), **Elżbieta Tomaszewicz** (ZUT), **Konstantin Tretiakov** (IFM PAN), **Michał Arkadiusz Zieliński** (UAM)

NAUKI TEOLOGICZNE: **Jacek Bronisław Bramorski** (AMSMG)

SZTUKI: **Roma Ambroziewicz–Owsińska** (ZPSM Kielce), **Bartosz Rafał Piotrowski** (ASPW), **Piotr Stefan Szwiec** (UAP), **Dominik Wania** (AMKPK), **Dorota Jolanta Wójcik** (AMGKBŁ)

25 marca 2025 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Joanna Dembińska–Pawelec** (UŚ), **Agnieszka Kłosińska–Nachin** (UŁ), **Krystyna Barbara Pieniążek–Marković** (UAM), **Maria Jolanta Piotrowska** (UJ), **Dariusz Andrzej Skórczewski** (KUL), **Aliaksandr Smalianchuk** (UW), **Małgorzata Świder** (UPKEN), **Jacek Sławomir Tylicki** (UMK), **Maciej Stanisław Witek** (USz)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Artur Mariusz Andruszkiewicz** (PWr), **Maciej Władysław Jaroszewski** (PWr), **Radosław Wiesław Jasiński** (PŚ), **Małgorzata Elżbieta Kopytko** (WAT), **Krzysztof Michał Lejcuś** (UPWr), **Przemysław Orłowski** (ZUT), **Adam Rosiński** (PW), **Przemysław Stanisław Rybiński** (UJK), **Jerzy Robert Sobiecki** (PW), **Paweł Wawrzyniak** (PŁ), **Michał Jan Zielina** (PK), **Aleksandra Jadwiga Ziembińska–Buczyńska** (PŚ)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Krystian Jacek Adrych** (GUMed), **Renata Ewa Bokiniec** (WUM), **Maciej Dawidowski** (WUM), **Beata Janasik** (IMP), **Barbara Alicja Jereczek** (Uniwersytet w Mediolanie, Włochy), **Agnieszka Maria Kapłon–Cieślicka**(WUM), **Arkadiusz Tomasz Kazimierczak** (PUM), **Dorota Bożena Kozieł** (UJK), **Dariusz Mariusz Koziorowski** (WUM), **Wojciech Maciej Marlicz** (PUM), **Ewa Iwona Ozimina–Kamińska** (SUM), **Marcin Tomasz Ożarowski** (IWNiRZ), **Piotr Rogala** (ANSG), **Agnieszka Barbara Siejka** (UMŁ), **Beata Elżbieta Tarnacka** (WUM), **Sławomir Jan Teper** (SUM)

NAUKI ROLNICZE: **Przemysław Bąbelewski** (UPWr), **Dariusz Fey** (MIR), **Bernard Gałka** (UPWr), **Ewa Gondek** (SGGW), **Anna Michalska–Ciechanowska** (UPWr), **Roman Rolbiecki** (PB), **Arkadiusz Terman** (ZUT)

NAUKI SPOŁECZNE: **Agnieszka Małgorzata Hess** (UJ), **Anna Konert** (ULaz), **Paweł Sławomir Księżak** (UŁ), **Robert Suwaj** (PW)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Magdalena Biesaga** (UW), **Zuzanna Janina Brożek–Mucha** (IES), **Maciej Figiel** (IChB PAN), **Barbara Anita Gawdzik** (UJK), **Patrycja Golińska** (UMK), **Joanna Nina Izdebska** (UG), **Oleksii Kulyk** (PWr), **Agnieszka Napiórkowska–Krzebietke** (IRŚ – PIB), **Marta Olejniczak** (IChB PAN), **Robert Podgajny** (UJ), **Beata Podkościelna** (UMCS), **Jan Rodzik** (UMCS), **Jakub Dalibor Rybka** (UAM), **Sergey Samsonov** (UG), **Paweł Jan Schlichtholz** (IO PAN), **Yuriy Stepanenko** (IChF PAN), **Agnieszka Wacławik** (IRZiBŻ PAN), **Adrian Ryszard Wiater** (UMCS), **Katarzyna Wojczulanis–Jakubas** (UG), **Błażej Jan Wróbel** (UWr), **Hanna Paulina Zbroszczyk** (PW), **Yaroslav Zhydachevskyy** (IF PAN)

NAUKI TEOLOGICZNE: **Marcin Rafał Wysocki** (KUL)

SZTUKI: Szymon **Jerzy Bywalec** (AMKSK), **Aleksandra Maria Chrapowicka** (PWSFTviT), **Sławomir Piotr Cichor** (AMGKBŁ), **Ewa Lucyna Guzowska** (AMIJPP), **Gabriela Karin Konkol** (AMG), **Aleksander Janusz Kościów** (UMFC), **Robert Artur Kwiatkowski** (AMG), **Paweł Antoni Solecki** (AMKPK), **Tomasz Jerzy Szczęsny** (ASPSz), **Katarzyna Szymańska–Stułka** (UMFC), **Sławomir Leonard Toman** (UMCS), **Marcin Jan Wolniewski** (AMGKBŁ)

Znamy studenckie gwiazdy sportów zimowych

AZS Winter Cup

Rywalizacja w Akademickim Pucharze Polski AZS Winter Cup odbyła się na stokach szczawnickiej Palenicy. W zawodach wzięło udział 61 zawodników z całego kraju.

W gigancie kobiet zwyciężyła Magdalena Bańdo (Uniwersytet Śląski w Katowicach), uzyskując łączny czas 1:45.29. Drugie miejsce zajęła Maja Chyla (Uniwersytet Jagielloński, Kraków) z wynikiem 1:46.75, wyprzedzając Maję Woźniczkę z Uniwersytetu Warszawskiego (1:49.00).

Najszczęśliwszym człowiekiem w Szczawnicy był Juliusz Mitan. Student AGH Kraków wygrał zmagania w gigancie z czasem 1:44.12. Na drugim miejscu znaleźli się ex-aequo Mateusz Bucki z AKF Kraków oraz Jakub Toporowski z Politechniki Krakowskiej, którzy uzyskali czas 1:45.47.

W slalomie kobiet najlepsza okazała się ponownie M. Bańdo, która uzyskała czas 1:22.26. Na kolejnych miejscach znalazły się M. Chyla (1:25.60) i Adriana Borowik z UW (1:31.42). Wśród mężczyzn najszybszy był Michał Czerwiński z Politechniki Krakowskiej z wynikiem 1:22.62. Drugie miejsce zajął zwycięzca klasyfikacji generalnej Juliusz Mitan (1:22.76), a trzecie Kacper Grudnik z UMCS Lublin (1:24.48).

W klasyfikacji generalnej AZS Winter Cup 2024/2025 w gigancie kobiet wygrała Maja Chyla (UJ Kraków) przed Mają Woźniczką (UW Warszawa) i Magdaleną Bańdo (UŚ Katowice). W slalomie kobiet na podium znalazły się kolejno: M. Bańdo przed M. Chylą i M. Woźniczką. W gigancie mężczyzn triumfował Juliusz Mitan (AGH Kraków) przed Kamilem Koralewskim (UEK Kraków) i Mateuszem Buckim (AKF Kraków). W slalomie mężczyzn najlepszy był J. Mitan przed Michałem Czerwińskim (PK Kraków) i J. Toporowskim (PK Kraków).

M. Bańdo i J. Mitan jako zwycięzcy finałowego dwuboju otrzymali w użytkowanie na trzy miesiące samochód osobowy przekazany przez salon Toyota W&J Wiśniewski. M. Bańdo i K. Koralewski zdobyli nagrody dla najlepszych debiutantów sezonu. Otrzymają narciarskie gumy (stroje) startowe w barwach AZS Winter Cup.

AMP w narciarstwie alpejskim

Akademickie Mistrzostwa Polski w narciarstwie alpejskim rozegrano na zakopiańskiej Harendzie. Wystartowało w nich ponad 400 zawodniczek i zawodników z 48 uczelni. W wyniku eliminacji w gigancie i slalomie wyłoniono po 50 najlepszych narciarzy i narciarek.

W gigancie kobiet Magdalena Bańdo (UŚ Katowice) zwyciężyła z łącznym czasem 1:18.18. Drugie miejsce zajęła obrończyni tytułu Maja Chyla (UJ Kraków) z wynikiem 1:18.98, a trzecia była Patrycja Florek z AWF Katowice (1:19.94).

W gigancie mężczyzn najlepszy okazał się debiutant, Wojciech Głuszka z AKF Kraków, który uzyskał łączny rezultat 1:15.58 i o 0.22 sekundy wyprzedził obrońcę tytułu Bartłomieja Sanetrę (AWF Katowice). Trzecie miejsce zdobył kolejny reprezentant katowickiej AWF – Juliusz Kierkowicz z rezultatem 1:17.06.

W slalomie kobiet zawodniczki zamieniły się miejscami na podium. Złoto zdobyła Florek (1:15.98). Drugie miejsce wywalczyła Bańdo (1:17.18), trzecia była Chyla (1:18.52).

Wśród mężczyzn tytuł obronił Sanetra, który po dwóch przejazdach uzyskał czas 1:13.45. Panowie także zrobili roszady na podium, bo w slalomie drugi był zwycięzca giganta – Gałuszka (1:14.54). Dzięki drugiemu przejazdowi na podium awansował zwycięzca dwóch kryształowych kul w cyklu AZS Winter Cup Juliusz Mitan z AGH Kraków (1:15.15).

Nagrodę im. Teresy Kodelskiej-Łaszek dla najlepszej zawodniczki AMP otrzymała Magdalena Bańdo, a nagrodę im. Kazimierza Leskiego dla najlepszego zawodnika przyznano Bartłomiejowi Sanetrze. Wyróżnienia przypominają o historii gwiazd AZS.

W klasyfikacji drużynowej kobiet najlepsze były narciarki Uniwersytetu Warszawskiego, które wyprzedziły narciarki z Politechniki Krakowskiej i Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Wśród mężczyzn zwyciężyła - druga przed rokiem - Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach, wyprzedzając Akademię Kultury Fizycznej i Akademię Górniczo-Hutniczą z Krakowa.

AMP w snowboardzie

Ponad 280 uczestników z 42 uczelni rywalizowało w Akademickich Mistrzostwach Polski w snowboardzie, które odbyły się na stokach Ośrodka Narciarskiego Kotelnica w Białce Tatrzańskiej. Najlepsza była Olga Kaciczak (Uniwersytet Jagielloński), która wyprzedziła Sonię Zapałę (Uniwersytet Rolniczy w Krakowie) oraz Nataszę Piwowarczyk (Uniwersytet Śląski w Katowicach). Najlepsza w kobiecym banked slalomie była Anna Skarbek-Malczewska (Politechnika Krakowska), Kaciczak zdobyła srebro, a brąz przypadł Zuzannie Sokalskiej (Politechnika Wrocławska).

AMP 2025 w slalomie wygrał Jakub Luboński (Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie), uczestnik turyńskiej uniwersjady. Drugi był Michał Lachowicz (Uniwersytet Warszawski), a trzeci Gabriel Seroczyński (Politechnika Warszawska). W banked slalomie zwyciężył natomiast inny reprezentant AGH Kraków, Patryk Urbański. Akademickim wicemistrzem kraju w tej konkurencji został Seroczyński, a na najniższym stopniu podium stanął uczelniany kolega Urbańskiego, Krystian Nowak.

Klasyfikację generalną AMP w snowboardzie kobiet i mężczyzn wygrała Akademia Górniczo-Hutnicza. W uczelnianym rankingu pań drugi był Uniwersytet Jagielloński, a trzecia Akademia Kultury Fizycznej w Krakowie. Z kolei męskie podium uzupełniły kolejno Politechnika Warszawska i Uniwersytet Warszawski.

Źródło: Pasja AZS, opr. PK



Fot.: Michał Szypliński

Spotkajmy się po latach!

Światowy Zjazd Absolwentów Uniwersytetu Gdańskiego

W ciągu 55 lat istnienia Uniwersytetu Gdańskiego jego mury opuściło ponad 200 tys. absolwentów. Dla nich przygotowano specjalne wydarzenie, zaplanowane na sobotę 31 maja.

W gronie absolwentów są artyści (m.in. reżyser **Krzysztof Babicki**, muzyk **Tymon Tymański, Adam Darski** czyli Nergal, aktorka **Julia Kamińska**), pisarki i pisarze (m.in**. Paweł Huelle**, **Stefan Chwin, Aleksander Jurewicz**, **Hanna Cygler, Dorota Karaś, Magdalena Grzebałkowska**), samorządowcy (prezydentki: Gdańska – **Aleksandra Dulkiewcz**, Sopotu – **Magdalena Czarzyńska-Jachim** i Gdyni – **Aleksandra Kosiorek**) i politycy, którzy w znaczący sposób zmienili bieg historii naszego kraju.



Około dwa miesiące po zainaugurowaniu pierwszego roku akademickiego w nowym uniwersytecie, Gdańsk i pobliska Gdynia stały się widownią demonstracji i zamieszek. Absolwenci i pracownicy uczelni: **Aleksander Hall, Lech Kaczyński, Maciej Płażyński, Donald Tusk, Wiesław Walendziak**, by wspomnieć tylko niektórych, odegrali dużą rolę w antykomunistycznej opozycji. To w niemałej mierze dzięki nim i rzeszy bezimiennych pracowników i studentów UG możliwy był „wiatr od morza" i późniejsze przemiany ustrojowe w kraju. Opozycyjna działalność pracowników i studentów uczelni to z całą pewnością jedna z najpiękniejszych kart w jej historii. W opozycji działał również prezes Zarządu FNP prof. **Maciej Żylicz**, absolwent, późniejszy prorektor i doktor honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego: „Na UG studiowałem dwa kierunki – zacząłem od fizyki, a po roku, w ramach studiów indywidualnych, rozpocząłem także biologię. Pod koniec studiów, kiedy planowałem zapisać się jeszcze na matematykę, mój opiekun naukowy prof. Karol Taylor powiedział mi, że to już przesada. Wytłumaczył, że najważniejsze jest, by zrobić dobry doktorat, nieważne, ile kierunków ma się na koncie. Ostatecznie ukończyłem fizykę, byłem bliski ukończenia biologii, a matematykę zostawiłem i zabrałem się za doktorat. (…) W trakcie studiów działałem w opozycji, przez co nie mogłem pracować nad doktoratem na Uniwersytecie Gdańskim. Wybrałem Akademię Medyczną – podlegała ona resortowi zdrowia, a uniwersytet resortowi edukacji i ubecy nadzorujący obie uczelnie nie komunikowali się ze sobą na temat studentów. Dzięki brakowi przepływu informacji formalnie przyjęto mnie na studia doktoranckie na Akademii Medycznej w Gdańsku, ale nadal pracowałem nad doktoratem w zespole prof. Karola Taylora na Uniwersytecie Gdańskim. (…) Od 1973 r. działałem w opozycji, jednak pod koniec lat 70. musiałem się trochę wyłączyć z tych aktywności, aby móc skończyć doktorat. Później z kolei – po sierpniu 1980 r. – zaniedbałem naukę i zabrałem się za tworzenie Solidarności w Uniwersytecie Gdańskim. Byłem wiceprzewodniczącym, a później przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność. To było ogromne obciążenie" – wspomina prof. Żylicz.

Ale absolwenci to w zdecydowanej większości zwykli ludzie, którzy na co dzień pracowali i pracują w wielu instytucjach, urzędach i zakładach nie tylko regionu, ale w Polsce i na świecie.

„Drodzy Absolwenci, to Wy również pisaliście historię tego miejsca – tymi słowami zwraca się do nich rektor Uniwersytetu Gdańskiego prof. **Piotr Stepnowski**, również absolwent uczelni. – Wy także nosicie w sobie „gen uniwersytecki". Przekazywaliście go i przekazujecie swoim dzieciom i wnukom, którzy kontynuują tradycje studiowania, często właśnie tu, w Uniwersytecie Gdańskim".

Rzeczywiście jest tak, że w UG studiują kolejne pokolenia. Różne są drogi, które przywiodły młodych ludzi, przyszłych absolwentów, na uczelnię: „Germanistykę wybrałam, ponieważ znałam język niemiecki. Trochę ze szkoły, ale głównie dlatego, że moja rodzina jest z Gdańska od pokoleń – wspomina aktorka **Julia Kamińska**. – Byłam ciekawa tego języka, historii regionu. Do dziś jestem zafascynowana historią Gdańska, rodziny i rodzin znajomych, którzy tutaj zostali, ponieważ byli bardziej przywiązani do miejsca niż do nazw. Chciałam zgłębić tę wiedzę. Dlatego germanistyka".

Niezależnie od czasów, kiedy studiowali, zwykle absolwenci uniwersytetu z dużym sentymentem wspominają czas studiów jako najlepsze lata życia towarzyskiego. Tak jak była Pierwsza Dama RP **Jolanta Kwaśniewska**, absolwentka prawa UG: „To od nas wymagało mnóstwo wysiłku, ale trzeba też przyznać, że byliśmy wyjątkowym rocznikiem. Kiedy spotykaliśmy się później z prezydentem Lechem Kaczyńskim i wspominaliśmy uczelnię, to często mówił: „wasz rocznik był najlepszy". Zebrała się wyjątkowa grupa ludzi. Oprócz tego, że ta nauka była dla nas szalenie ważna, tak, że nie odpuszczaliśmy, to robiliśmy spotkania „Pół żartem, pół serio", które prowadziła Magda Krzyżanowska, córka Olgi Krzyżanowskiej. Była rok niżej. Skrupulatna, dociekliwa, zadawała ciekawe pytania. Była Hanka Dobrowolska, która genialnie grała na pianinie i miała świetny głos i w związku z tym stworzyliśmy hymn Wydziału Prawa i Administracji, który brzmiał „Formula arbitraria cogito ergo sum" i do tej pory część tego hymnu znam. Był Marek Lubowicki, Wojtek Drożdżał i wielu innych. Nam się chciało robić coś dla siebie i dla całej tej społeczności, żeby ludzie poczuli się wspólnotą. Kiedy przychodziły Neptunalia i trzeba było przygotować występy podczas Ligii Wydziałów, mieliśmy nadmiar chętnych do pracy. Świetny krąg poezji prowadzili „Mały" z administracji, który był oczywiście duży i „Partyzant" – takich dwóch brodatych facetów, trochę jak Pat i Pataszon. W kręgu poezji tłum ludzi siedział przy świecach. To było coś niesamowitego. Wspólnie pisaliśmy typowo kabaretowe scenki, które odgrywaliśmy podczas tej imprezy. Wszyscy nam tego zazdrościli. Stanowiliśmy grupę, która sobie wzajemnie pomagała, robiliśmy notatki, wymienialiśmy się nimi, opracowywaliśmy materiały. Wspominam to z wielkim rozrzewnieniem" – mówi J. Kwaśniewska.

Uniwersytet Gdański dawał wiele możliwości kolejnym pokoleniom studentów i otwierał im, czasem niespodziewane, drogi już po zakończeniu studiów.



„Praca magisterska mnie nie pociągała, ale ją napisałam. Tematem była *Polonia sopocka w latach 33–39*. Na seminarium było śmiesznie, bo co czytałam rozdział pracy, to prof. Mrozek mówił: „pani Grzebałkowska, ale pani to pisze jakby była pani dziennikarką. Bardziej naukowo niech pani pisze!" No i wykrakał (…) – wspomina pisarka i dziennikarka **Magdalena Grzebałkowska**. – W czasie studiów marzyłam o dziennikarstwie, ale myślałam, że być może będę pracować w archiwum. Wtedy otwierały się archiwa prywatne. To było strasznie nudne, bo się gromadziło archiwa zakła-

dów pracy i spisywało je. Myślałam, że może to, ale jednak bardzo chciałam pisać".



Dwieście tysięcy absolwentów w ciągu 55 lat Uniwersytetu Gdańskiego to ogrom historii życia każdego z nich. To nie tylko barwne wspomnienia, ale też kontakty i przyjaźnie, które przetrwały lata. To również sentyment do miejsc, sal, w których odbywały się zajęcia, do profesorek i profesorów, którzy nie tylko przekazywali wiedzę, ale też kształtowali młodych ludzi. Wielu z nich kontakty i przyjaźnie tu zawarte procentowały w dorosłym życiu: „Jednym z ważniejszych dla mnie momentów życia studenckiego był ten, kiedy jako działacza Rady Studentów przydzielono mnie do komisji zagranicznej i dostałem za zadanie opiekowanie się grupą studentów zagranicznych studiujących na UG. Byli to głównie młodzi ludzie z Afryki. Wiele barwnych historii towarzyszyło ich pobytowi – wspomina prezes Navimor International Sp. z o.o. **Romuald Kinda**, który jest absolwentem Wydziału Ekonomiki Transportu. – Nigdy nie sądziłem, że ten epizod, moje pierwsze kontakty z Afrykańczykami nabiorą potem takiego znaczenia w moim życiu zawodowym. Znaczna część mojej kariery zawodowej była bowiem związana bezpośrednio z Afryką. Po studiach, po kilkuletnim stażu w Polsce wyjechałem na kilka lat do pracy do Nigerii. Tam spotkałem studenta i doktoranta naszego wydziału Raymonda Dokpesi, Nigeryjczyka, który wykorzystując wiedzę zdobytą w Polsce zrobił w swoim kraju nieprawdopodobną karierę, zostając magnatem medialnym i multimilionerem. Nasze drogi, które skrzyżowały się na Uniwersytecie Gdańskim – zeszły się ponownie w Afryce. On pomógł naszej firmie Navimor uzyskać pierwszy duży kontrakt".

Z okazji Jubileuszu 55-lecia Uniwersytet Gdański przygotował specjalnie dla wszystkich absolwentów **Światowy Zjazd Absolwentów** – dzień pełen atrakcji, wspomnień i niespodzianek.

„To będzie wydarzenie, jakie nie miało jeszcze miejsca w naszej uczelni. W sobotę 31 maja zapraszamy wszystkich naszych absolwentów na dwa spotkania: pierwsze na wydziałach, z którymi byli związani, gdzie spotkają swoje koleżanki i kolegów z czasów studiów – mówi rektor Stepnowski. – Ci, którzy opuścili mury uczelni wiele lat temu, będą mieli okazję poznać nowe budynki, zobaczą, jak zmieniła się uczelnia i ich wydział. Potem spotkamy się wszyscy na Kampusie w Oliwie na pikniku, w towarzystwie oprawy muzycznej przygotowanej przez Akademickie Centrum Kultury. Będzie można tańczyć, przekąsić coś typowo piknikowego i napić się piwa Mrongowiusz uwarzonego specjalnie na nasz jubileusz w browarze Amber. Chcemy też zaprosić wszystkich do rodzinnego zdjęcia absolwentów. Mamy nadzieję, że pogoda dopisze, ale przygotujemy się też na opcję gorszej pogody. Wydziały już zbierają zgłoszenia. Będziemy zachęcać do uczestnictwa, promując wydarzenie w mediach".

W Uniwersytecie Gdańskim działają dwa stowarzyszenia skupiające absolwentów: Stowarzyszenie Absolwentów Wyższej Szkoły Handlu Międzynarodowego, Wyższej Szkoły Ekonomicznej i Wydziałów Ekonomicznych UG oraz skupiające przede wszystkim absolwentów Wydziału Prawa i Administracji – Stowarzyszenie Absolwentów UG. Prężnie działa Biuro Karier UG, które śledzi losy absolwentów od 2021 roku i nawiązuje z nimi współpracę, żeby dzięki ich wiedzy i doświadczeniu wspierać obecnych studentów w planowaniu i realizacji ich kariery zawodowej.

Z myślą o wszystkich kończących studia w UG powołano też Klub Absolwentów, który we współpracy z miastami regionu ma wypracować system zniżek dla absolwentów uniwersytetu, a także wspomagać organizację zjazdów i innych aktywności służących integracji absolwentów oraz ich rozwojowi zawodowemu i osobistemu.

Jak widać, Uniwersytet Gdański pamięta o tych, którzy ukończyli uczelnię. Część z nich pracuje w UG, część jest z uniwersytetem w stałym kontakcie, np. zasiadając w radach wydziałów czy współpracując w obszarach gospodarczych. Zjazd Absolwentów ma zachęcić również tych, którzy od czasu ukończenia studiów nie mieli okazji do powrotu w mury Alma Mater, żeby odwiedzili ją, spotkali wykładowców, swoje dawne koleżanki i kolegów. Studia to jeden z piękniejszych okresów w życiu młodych ludzi, to początek dorosłego życia i nowe otwarcie. Dlatego zwykle wspominamy je z sentymentem. 31 maja będzie okazja do wielu wzruszeń. Zapraszamy wszystkich absolwentów uniwersytetu. Spotkajmy się, wspominajmy i bawmy w gościnnych murach uczelni. Rejestracja na zjazd na stronie jubileuszowej Uniwersytetu Gdańskiego trwa do 10 maja 2025.

Magdalena Nieczuja-Goniszewska, rzeczniczka prasowa UG

(W artykule wykorzystano fragmenty wywiadów zamieszczonych na stronie Uniwersytetu Gdańskiego w cyklu Absolwenci UG)



Rozmowa z prof. Przemysławem Urbańczykiem,
archeologiem i historykiem, badaczem początków państwa polskiego

Nie wiemy, jak wyglądał Chrobry

Archeologia ma tę przewagę nad historią, że jej „podziemne archiwa" są niewyczerpywalne, a równocześnie nasze umiejętności wyciągania z nich informacji ciągle rosną .Na przykład w tej chwili są prowadzone bardzo szeroko badania paleoklimatyczne .Z pewnością coraz więcej będziemy mogli się dowiedzieć o klimacie, o gospodarce, o demografii państwa Bolesława Chrobrego, aczkolwiek nie o nim samym jako o osobie, bo do tego nie mamy źródeł .

Skąd czerpiemy wiedzę o Bolesławie Chrobrym i jego czasach?

Tak, jak w przypadku innych postaci historycznych, czerpiemy ją ze źródeł historycznych, czyli z tekstów pisanych, bo są jedynymi, które mogą nam przekazać imiona, nazwiska i informacje o ważnych wydarzeniach. Natomiast uzupełniamy ją w przypadku czasów średniowiecznych o świadectwa materialne, czyli pozostałości po dawnych czasach, które odkrywają archeolodzy. I dopiero połączenie jednego z drugim daje nam w miarę poprawny obraz tej odległej rzeczywistości.

Skąd wiemy, że w czasach Bolesława Chrobrego w Kijowie nie było Złotej Bramy?

Właśnie z wyników badań archeologicznych. Potwierdziły one, że tzw. Złota Brama w Kijowie powstała dopiero kilkadziesiąt lat po zdobyciu tego miasta przez Bolesława Chrobrego. Na pewno w czasach, kiedy wjeżdżał on do Kijowa tej murowanej budowli jeszcze nie było. Natomiast później stała się ona tak słynna, że uznano, iż tak wielki władca musiał przez nią przejeżdżać. Jedno z drugim złożono w legendę przejazdu Chrobrego przez tę Złotą Bramę i uderzenia w nią słynnym mieczem Szczerbcem, który później służył w trakcie koronowania władców Polski. Może Bolesław faktycznie uderzył jakimś mieczem w jakąś bramę, przez którą wjechał do Kijowa, ale to na pewno nie była ani ta brama, ani ten miecz, bo nasz Szczerbiec został wykonany dopiero w XIII w.

Na pytanie o źródła wiedzy, powiedział pan, że czerpiemy głównie ze źródeł pisanych, tymczasem na tych przykładach widać, że mamy w nich mnóstwo informacji, które należy uznać za mitologiczne, czy po prostu nieprawdziwe?

Nie można przykładać do tego takich kategorii jak prawda i fałsz, dlatego że w tamtym czasie kronikarzom i komentatorom nie chodziło o to, żeby obiektywnie opisać rzeczywistość. Oni mieli za zadanie trochę wykreować tę rzeczywistość na taką, jaka ona – wedle wyobrażeń ich samych i ich mocodawców - powinna była być. Oni działali w ośrodkach władzy politycznej i często na zlecenie, czy na zamówienie elit politycznych. Pisali więc tak, żeby opisywana przeszłość była bardziej heroiczna, ładniejsza. Ukrywało się problemy, a rozwijało się opisy czynów chwalebnych. Czasem konstruowało się zdarzenia, które nie miały miejsca. To nie jest szczególny przypadek polskiej historiografii. Wszędzie tak postępowano.

Skąd mamy pewność co do tego, jak było naprawdę?

Znamy tylko pewne fragmenty całej układanki. Na przykład nie wiemy dokładnie, kiedy Chrobry się urodził, oceniamy to na podstawie szacunków, ale wiemy kiedy objął władzę, kiedy jeździł na zjazdy cesarskie. Wiemy, że w roku tysięcznym cesarz Otto III przyjechał do Gniezna, a w 1018 r. Bolesław zdobył Kijów. W tej układance brakuje większości elementów puzzla, ale krok po kroku historycy, a dzisiaj raczej archeolodzy, gdyż historycy nowych źródeł dla tych czasów już nie odkryją, budują wiedzę o tamtych czasach. Dotyczy to także początków państwa polskiego. Archeolodzy co roku dostarczają nowych informacji, nowych danych, nowych świadectw, co powoli pozwala nam budować coraz pełniejszy obraz tamtej epoki. Natomiast chyba nikt już nie ma nadziei, że jeszcze gdzieś pojawią się nowe źródła historyczne o Mieszku I czy Bolesławie Chrobrym. No chyba, że coś się jeszcze kryje w przepastnych archiwach watykańskich, ale one też już zostały dokładnie przeszukane. Szansa jest więc minimalna, byłaby to niezwykła sensacja.

Które źródła równoległe życiu Chrobrego o nim mówią?

Niestety są to wszystko źródła spoza Polski. U nas są tylko tak zwane „roczniki polskie", ale one są późniejsze. Żadnych źródeł pisanych oryginalnych polskich z jego czasów nie mamy. Z jednym zastrzeżeniem: monety, które Bolesław Chrobry bił w dużych ilościach, mają inskrypcje, więc są równocześnie źródłami numizmatycznymi i pisanymi. Natomiast wszystkie

źródła narracyjne powstały poza naszymi granicami, przede wszystkim w cesarstwie niemiecko-italskim. To jest w pierwszym rzędzie nieoceniony biskup Thietmar i rocznikarze z różnych miast, z Hildesheim i z Quedlinburga chociażby, ale to są tylko wzmianki, że ktoś gdzieś pojechał, ktoś się z kimś spotkał, ktoś umarł, ktoś się urodził. Najbogatsze źródło, czyli „Kronika" biskupa Thietmara z Merseburga jest obciążone wyraźną, mówiąc delikatnie, niechęcią, a tak naprawdę chyba nienawiścią, jaką autor obdarzał Bolesława Chrobrego, bo był on głównym wrogiem cesarstwa przez przynajmniej piętnaście lat. Zatem tu mamy do czynienia z ową zasadą, o której już wcześniej wspomniałem – wówczas nie pisano tylko po to, żeby coś obiektywnie przedstawić, ale żeby zaprezentować pożądaną wersję wydarzeń, czy obraz postaci. W tym wypadku – zdecydowanie niekorzystnie.

Są też nieco późniejsze źródła zewnętrzne, jak „Kronika" Kosmasa z Czech, czy ruska „Powieść lat minionych", a wreszcie nasza „Kronika" Galla Anonima, ale spisano je dopiero w XII wieku, czyli 100 lat po czasach Bolesława Chrobrego.

Co wiemy na pewno z samych źródeł pisanych?

Wiemy kiedy Bolesław objął władzę i jak to się stało: że po śmierci swojego ojca Mieszka I wypędził swoich dwóch przyrodnich braci i ich matkę, czyli swoją macochę, księżnę wdowę Odę. Mamy opisany Zjazd Gnieźnieński i całą serię wojen z cesarstwem. Mamy opisy męczeńskiej śmierci kilku misjonarzy ze świętym Wojciechem na czele. Mamy informację o tym, że w 1003 roku Chrobry - choć ten przydomek nadano mu dużo później - zasiadł na tronie praskim, ale po kilku(nastu) miesiącach musiał stamtąd uciekać. Mamy wiele takich fragmentarycznych informacji, które obudowujemy i uzupełniamy wiedzą ze znalezisk archeologicznych. Pokazują one, jak szeroki był front inwestycyjny Chrobrego i to, że jako pierwszy wziął się na serio za chrystianizowanie swojego państwa, czego Mieszko I najwyraźniej nie robił. To archeologia odkrywa murowane świątynie oraz przedmioty świadczące o zmianie religijnej, którą widzimy przede wszystkim w zmianie obrządku pogrzebowego – z ciałopalenia na chowanie całych zwłok.

Czy mamy pamiątki po samym Chrobrym?

Mamy oczywiście jedną i to niezwykle ważną, mianowicie kopię włóczni Świętego Maurycego. To jest kopia, którą cesarz Otto III przywiózł do Gniezna w roku tysięcznym, żeby ją wręczyć Bolesławowi. To był zaszczyt wprost niezwykły, bo oryginał był przecież najważniejszym insygnium władzy cesarskiej. I nagle Chrobry dostaje oficjalną kopię! To jest jedyny przedmiot, o którym na pewno wiemy, że nie raz trzymał go w ręce. Natomiast regalia koronacyjne, przede wszystkim korona królewska, którą został ukoronowany równo tysiąc lat temu, w trakcie kryzysu królestwa zostały wywiezione przez Rychezę, żonę Mieszka II, do cesarstwa i tam, niestety, zaginęły. Pewnie korona została przetopiona, bo nigdy nie została odnaleziona. Później na koronację Władysława Łokietka w 1320 roku sporządzono nową koronę, która z czasem obrosła legendą i została nazwana „koroną Bolesława Chrobrego". Znajdowała się ona w skarbcu królewskim aż do 1794 r., kiedy ten skarbiec został rozgrabiony przez Prusaków. Na szczęście sama korona została wcześniej uwieczniona choćby na portrecie Bolesława Chrobrego namalowanym przez Marcello Bacciarellego. Później Jan Matejko też się oparł na tym wizerunku korony Łokietkowej.

Czy my w ogóle wiemy jak Bolesław Chrobry wyglądał?

Właściwie jedyny znany opis jego postaci zostawił biskup Thietmar. To on opisał Chrobrego w 1018 r. jako tak grubego, że trudno było znaleźć konia, który by go uniósł. Pamiętajmy jednak, że Thietmar był wrogo nastawiony do Bolesława i próbował obrzydzić go swoim czytelnikom. Niestety, nie ma żadnych portretów Chrobrego za wyjątkiem czterech wręcz karykaturalnych wizerunków zachowanych na jego monetach. Kolejny jego wizerunek pojawia się dopiero na słynnych Drzwiach Gnieźnieńskich, które wykonano poza Polską dwieście lat po jego śmierci, więc to nie jest żaden portret. Tak naprawdę nie wiemy, więc jak Bolesław I wyglądał. Gdybyśmy mieli chociaż jedną kosteczkę Bolesława, to paleogenetycy z pewnością wyciągnęliby z niej jakieś informacje o jego wyglądzie, np. o kolorze oczu i włosów.

Nie mamy pochówku naszego pierwszego króla. Wiemy, że zarówno on, jak i Mieszko I zostali pochowani w katedrze poznańskiej, ale w 1038 roku Czesi, którzy najechali wówczas Polskę, korzystając z rozpadu królestwa, zniszczyli wszystko, co tam było. Nie był to jakiś szczególny przejaw barbarzyństwa, bo często mszczono się na szczątkach zmarłych wrogów, wyrzucając je z grobów. Do dzisiaj zresztą mamy z tym do czynienia.



Prof. **Przemysław Urbańczyk** (ur. w 1953 r.) jest archeologiem i historykiem. Pracuje w Instytucie Archeologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie kieruje Katedrą Archeologii Pradziejów i Średniowiecza Europy oraz w Instytucie Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się dziejami średniowiecznej Europy ze szczególnym uwzględnieniem Skandynawii oraz początków państwa polskiego. Interesuje się też teorią badań archeologicznych, historią tej dyscypliny i metodyką prac wykopaliskowych. Prowadził wykopaliska w Polsce, Anglii, Kuwejcie, Peru, Norwegii, na Islandii i na Barbudzie. Kierował grantami KBN, FNP, NID, NPRH i NCN. Obecnie kieruje projektem Dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze Puszczy Białowieskiej. Jest autorem ponad 400 publikacji, w tym 15 książek oraz redaktorem 16 tomów zbiorowych oraz serii: „The Past Societies. Polish Lands from the First Evidence of Human Presence to the Early Middle Ages" (2017 – 5 tomów) i „Origines Polonorum" (do 2018 r. wydano 13 tomów). Wypromował 6 doktorów. W roku 2017 był inicjatorem powołania przy Polskiej Akademii Nauk Polskiego Instytutu Studiów Zaawansowanych, który działał pod jego kierownictwem do 2023 roku.

Skoro wspomnieliśmy o koronie, której niestety nie znamy, to jest pytanie o - jak rozumiem – legendę o koronie świętego Stefana, która jakoby została zrabowana przez Węgrów w drodze do Polski.

To są opowiastki, które miały objaśniać jakieś odległe wydarzenia, których już za bardzo nie pamiętano. Chodziło o wytłumaczenie, dlaczego Stefan został ukoronowany ćwierć wieku przed Bolesławem. Warto wspomnieć, że Węgrzy też mają problem z tamtą koronacją. Co prawda nikt nie podważa tego, że Stefan został ukoronowany gdzieś na przełomie 1000 i 1001 roku, ale ta korona, którą nazywają Koroną Świętego Stefana nie mogła być użyta w trakcie tej uroczystości, bo została wykonana kilkadziesiąt lat później. Jest to wiec przykład legendy podobny do opowieści o pochodzeniu naszego Szczerbca.

Co może wnieść archeologia do poznania czasów i działalności Chrobrego?

W naszym dorobku mamy choćby odkrywanie śladów kontaktów międzynarodowych, np. pobytu cudzoziemców, szczególnie Skandynawów, na naszych ziemiach. Nasze wykopaliska wyraźnie pokazują, że Chrobry otworzył dla nich granice swojego państwa, bo nagle na terenie prawie całej Polski pojawiają się charakterystyczne dla ich kultury materialnej znaleziska.

Na co jeszcze możemy liczyć w archeologii?

Na bardzo wiele. Archeologia ma tę przewagę nad historią, że jej „archiwa podziemne" są niewyczerpywalne, a równocześnie nasze umiejętności wyciągania z nich informacji ciągle rosną. Z pewnością coraz więcej będziemy mogli się dowiedzieć o klimacie, o gospodarce, o demografii państwa Bolesława Chrobrego, aczkolwiek nie o nim samym jako o osobie, bo do tego nie mamy stosownych źródeł materialnych.

Wspomniał pan o niezwykłej aktywności budowlanej Bolesława. Co z tego pozostało, co znamy i co nam to mówi o samym władcy, jego planach, zamiarach?

W czasach Mieszka I na pewno powstały dwie budowle murowane: pałace z przylegającymi do nich kaplicami na Ostrowie Tumskim w Poznaniu i na Ostrowie Lednickim, czyli na wyspie na jeziorze Lednickim. Natomiast z czasów Chrobrego mamy dużo więcej tego typu inwestycji: w Gieczu, w Przemyślu, zapewne w Kałdusie, jak też kolejne budowle na Ostrowie Lednickim, w Gnieźnie, w Poznaniu oraz na Wawelu. Zapewne nie wszystko już odkryto. Niewątpliwie książę Bolesław miał wizję przekształcenia swych ziem w nowoczesne państwo i starał się wyposażyć najważniejsze ośrodki w budowle monumentalne, które by świadczyły o potędze jego władzy.

Dlaczego Chrobry koronował się tak późno? Czy coś na ten temat wiemy?

Polska tradycja historiograficzna, oparta na informacjach Galla Anonima utrzymywała, że Chrobry był królem od roku tysięcznego. Mamy jednak inne wiarygodne źródła, które wskazują, że koronacja miała miejsce dopiero w roku 1025, a to, co Gall napisał o roku tysięcznym może być po prostu opowieścią, mającą na celu cofnięcie królewskiego statusu Bolesława o 25 lat. Uznano pewnie, że taki wielki władca po prostu musiał być królem od samego początku. Jednak ani w roku tysięcznym w Gnieźnie, ani w 1013, gdy miały miejsce jakieś gesty Henryka II w Merseburgu, nie mieliśmy do czynienia z formalną koronacją. Ona nastąpiła dopiero w 1025 roku.

Dlaczego właśnie wtedy?

Nastąpiła bowiem wówczas korzystna sytuacja międzynarodowa. Bolesław sprytnie wykorzystał zamieszanie jakie powstało w cesarstwie i w Rzymie w 1024 r. po śmierci cesarza Henryka II i papieża Benedykta VIII, i w nieznanych nam niestety okolicznościach pozyskał tę legalną koronę i został namaszczony na króla Polski. Wiadomo, że jedynym szafarzem koron królewskich był papież, wiec korona musiała być poświęcona bezpośrednio przez niego. To był problem, którego Chrobry przez długie lata nie mógł przezwyciężyć, dlatego że w tamtych czasach papiestwo było pod ścisłą kontrolą cesarstwa. Był to polityczny tandem, a oczywiście żadnemu z cesarzy nie zależało na tym, żeby podnieść akurat księcia Bolesława do godności królewskiej.

Ale kiedy w 1024 roku równocześnie umierają i cesarz, i papież, zanim nowy cesarz z nowym papieżem nawiązali współpracę, wskutek której mogliby dalej wstrzymywać koronację Bolesława, ten wykorzystał ową lukę dyplomatyczną. Chrobry musiał zatem mieć znakomite rozeznanie w sytuacji międzynarodowej, sięgające aż do dalekiego przecież Rzymu. Na pewno natychmiast po powzięciu wiadomości o tej niezwykłej sytuacji, posłał tam poselstwo z dużymi darami, bo papież Jan XIX był znany ze swoich skłonności do przekupstwa. Na pewno spełnił wszystkie wymagania formalne, bo chociaż źródła cesarskie są pełne oburzenia, że Chrobry śmiał się koronować, ale nie podważają legalności tej koronacji.

Dlaczego następni polscy władcy nie mogli od razu koronować się na królów?

Mieszko II został ukoronowany się od razu po śmierci Bolesława. Jego syn Kazimierz Odnowiciel nie mógł się koronować, bo miał ogromne kłopoty z przywróceniem swego państwa na mapę Europy. Ale już jego wnuk Bolesław Śmiały ponownie założył koronę królewską. Potem była bardzo długa przerwa aż do Przemysła II w 1295 r. i Władysława Łokietka w 1320 r.

Późniejsze kłopoty Mieszka II zawdzięczamy sąsiadom?

Tak. Tym, których Chrobry spacyfikował, pokonał, a nawet upokorzył. Oni tylko czekali na jego śmierć, żeby się zemścić za dawne krzywdy. Wykorzystali do tego dwóch braci Mieszka II, Bezprima i Ottona, z którymi nie chciał się on podzielić władzą. Standardowa sytuacja: jest pretendent do władzy, który jedzie do sąsiada i prosi o wsparcie, a ten sąsiad oczywiście z radością organizuje najazd pod pretekstem przywrócenia praw skrzywdzonemu dziedzicowi.

Wciąż mówimy o Chrobrym, ale jego samego nikt tak nie nazywał.

Nazwano go tak dopiero po jego śmierci. Nazywano go też Wielkim, o czym zaświadczają najstarsze źródła: nasz Gall Anonim i ruska „Kronika lat minionych", trochę wbrew temu, czego uczono nas w szkołach, że pierwszym „Wielkim" był Kazimierz III. Moim zdaniem lepiej by było, gdybyśmy właśnie Bolesława I nazywali Wielkim, podobnie, jak mówimy o innych ówczesnych władcach: o węgierskim Stefanie Wielkim i o ruskim Włodzimierzu Wielkim.

Mówił pan o śladach obecności Skandynawów na ziemiach polskich. Byli najemnymi żołnierzami?

Nie sądzę, aby chodziło o ich siłę wojskową. Bolesław chyba nie potrzebował ich w tej roli. Jeżeli był w stanie darować cesarzowi Ottonowi 300 zbrojnych rycerzy, to znaczy, że wojska mu nie brakowało. Dane archeologiczne wskazują natomiast, że sprowadzano do Polski nie tyle wojów, co najlepsze miecze z Europy Zachodniej. Myślę, że Chrobry nie musiał się obawiać jakichś ataków. Sam starannie unikał walnych bitew, poza jedną w 1018 roku, w której gdzieś za Bugiem rozbił ruskie wojska Jarosława Mądrego. Natomiast w trakcie wojen z cesarstwem unikał bezpośrednich starć i stosował bardzo skuteczną wojnę podjazdową.

Pan powiedział, że 300 wojów to było bardzo dużo. Biorąc pod uwagę fakt, że państwo Chrobrego było zbliżone do dzisiejszego obszaru Polski, te 300 osób wydaje się być prawie niczym.

Jeżeli to byli dobrze wyszkoleni konni wojownicy, uzbrojeni odpowiednio, chociażby w te w miecze dobrej jakości, to stanowili bardzo poważną siłę.

Czy to znaczy, że myśmy w Polsce nie potrafili robić dobrego uzbrojenia?

Wbrew pozorom technologia kucia mieczy była bardzo skomplikowana. Niby wykuć odpowiedni kształt to każdy kowal potrafi, ale żeby ten miecz potem spełniał swoje zadania, żeby nie był zbyt elastyczny, ani też zbyt sztywny i kruchy, to nie było takie proste. Trzeba było wielokrotnie skuwać ze sobą różnej jakości żelazo i stal. Centrum produkcji najlepszych mieczy była wówczas Nadrenia, gdzie działał w końcu pierwszego tysiąclecia niejaki Ulberht, który widocznie tak zasłynął jakością swoich mieczy, że potem jeszcze przez dobrych sto lat produkowano głownie z napisem *Ulberht*. Kilkanaście takich okazów z tamtego okresu odnaleziono w Polsce, co dowodzi, że Bolesław Chrobry sprowadzał najlepszą broń, jaka była wtedy dostępna.

A mit szwedzkiej stali i broni Wikingów?

Głownie mieczy były produkowane w Nadrenii, o czym świadczą inskrypcje *Ulberht*. Natomiast były one oprawiane w Skandynawii i przynajmniej część z nich docierała do Polski przez Skandynawię, a to zapewne dlatego, że cesarstwo od czasów Karola Wielkiego stosowało zakaz eksportu najlepszej broni. Więc może te miecze musiały wędrować na północ i dopiero stamtąd docierały do nas. Dziś na rynku broni i niektórych komponentów mamy na świecie do czynienia z podobnym zjawiskiem omijania zakazów eksportowych. Zatem ma ono bardzo stary rodowód.

Czego pan się spodziewa dowiedzieć o Chrobrym z badań prowadzonych obecnie?

Odkryjemy więcej budowli murowanych, zapewne także odkryjemy kościoły drewniane. Mamy poważny problem ponieważ, niestety, nasi poprzednicy w latach 50., 60., 70. skupiali się głównie na budowlach murowanych, bo to się wydawało najbardziej atrakcyjne i było dowodem przystąpienia Polski do cywilizacji zachodnioeuropejskiej. A przecież musiały istnieć kościoły drewniane, tylko że o wiele trudniej je znaleźć. Chciałbym, żeby udało się odkryć trochę kościołów drewnianych, bo ich rozmieszczenie pokazałoby, jak naprawdę wyglądała polityka szerzenia chrześcijaństwa przez Bolesława. Na razie mamy tylko jeden drewniany kościółek, który można chyba przypisać jego czasom. To jest mianowicie kościół Świętego Wojciecha w Krakowie na rynku. To znaczy ten, który obecnie stoi, jest murowany, dużo późniejszy, ale pod nim odkryto dwa kościoły drewniane i zapewne ten najstarszy był z czasów Bolesława Chrobrego.

Mamy oczywiście grody, ale co kilka-kilkanaście lat trzeba było je przebudowywać i poprawiać. To były absolutnie fantastyczne konstrukcje i dzięki nowoczesnym technologiom badania materiałów, w tym datowań radiowęglowych i dendrologicznych, znamy czas budowania i odnawiania tych grodów.

Jakie grody zawdzięczamy Chrobremu?

Najważniejsze od czasów Mieszka I były grody centralne: Poznań, Ostrów Lednicki, Gniezno, Giecz, Grzybowo, Ląd. To



tam skupiały się inwestycje obu pierwszych władców i twórców państwa. Po całym terytorium kraju rozsiane było mnóstwo innych grodów. Nie wszystkie są wydatowane precyzyjnie, bo nie zachowało się drewno, bądź nie mamy środków na takie badania. Trzeba by przeprowadzić wszędzie wykopaliska, które są długie, trudne i bardzo drogie, a poza tym byłoby to trochę sprzeczne z aktualną doktryną konserwatorską, która mówi, że nie należy kopać bez potrzeby, dla zaspokojenia samej tylko ciekawości badawczej. Trzeba w ziemi pozostawić coś przyszłym pokoleniom z tą myślą, że nasi następcy będą mieli lepsze narzędzia badawcze. Może w ogóle nie trzeba będzie kopać, tylko będziemy mieli taką maszynę, którą się przywiezie na stanowisko, ona nam wszystko prześwietli, wszystko pokaże i nie będziemy musieli kopać, bo to oznacza niszczenie oryginalnych śladów z przeszłości.

Czego pan chciałby się dowiedzieć o Chrobrym i jego czasach?

Chciałbym poznać jego wygląd, wiedzieć, co myślał, jaką miał wizję geopolityczną, jak doprowadził do swojej koronacji. Chciałbym mieć mapę wszystkich kościołów i grodów, które zbudował. Chciałbym wiedzieć, czy miał wyrzuty sumienia z powodu swoich niezbyt chlubnych postępków, jak na przykład wypędzenie w 992 r. swoich przyrodnich braci i macochy, oślepienie i uwięzienie w 1003 r. swojego wujecznego brata, czeskiego księcia Boleslava III Rudego, złamanie w 1013 r. porozumienia pokojowego zawartego z Henrykiem II, czy też porwanie w 1018 r. z Kijowa ruskiej księżniczki Przedsławy. Obawiam się jednak, że nigdy się tego wszystkiego nie dowiemy.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Agnieszka Januszek-Sieradzka

Siła korony

Koronacje polskich królów 1025-1764

Korona miała moc sakralną, moc zmieniania zwykłego człowieka w bożego pomazańca i moc czynienia ze zwykłego kraju królestwa .Ale jej siła w dużej mierze zależała od tego, na czyjej głowie spoczywała i w jakich okolicznościach na nią trafiała .

Poczet koronowanych królów Polski liczy 28 monarchów. Od pierwszej królewskiej koronacji Bolesława II Chrobrego w 1025 aż do roku 1764, gdy jako ostatni został koronowany Stanisław August Poniatowski, korona – symbolicznie wciąż ta sama i przekazywana w uświęconym tradycją koronacyjnym misterium – z upływem czasu, nie tracąc swej mocy, zmieniała swą siłę. Miała moc sakralną, moc zmieniania zwykłego człowieka w bożego pomazańca i moc czynienia ze zwykłego kraju królestwa. Ale jej siła w dużej mierze zależała od tego, na czyjej głowie spoczywała i w jakich okolicznościach na nią trafiała. Zawsze jednak wymagała starań i zabiegów o jej uzyskanie, utrzymanie, umocnienie, przekazanie. Niełatwo było ją utrzymać, niełatwo odzyskać, bardzo łatwo osłabić i stracić.

Zadanie i wyzwanie

Królewska koronacja, o którą **Bolesław Chrobry (1025, 1.)** zabiegał przez wiele lat swojego panowania z ważnym dla tych starań zjazdem gnieźnieńskim w 1000 r., odbyła się w 1025 r. w Gnieźnie na krótko przed śmiercią władcy. Ukryta w milczeniu źródeł diametralnie zmieniła status władcy i jego państwa. Dzięki determinacji Bolesława Chrobrego, konsekwentnie budowanej pozycji politycznej oraz umiejętności stwarzania i wykorzystywania szans, Polska wraz z końcem pierwszej ćwierci XI w. stanęła w szeregu europejskich monarchii i na zawsze związała swoje losy z zachodnią cywilizacją chrześcijańską. Młodziutka monarchia straciła swego pierwszego króla krótko po koronacji, ale jego syn i następca **Mieszko II (1025-1031, 2.)** włożył koronę natychmiast i równie odważnie jak ojciec, mimo wrogich pohukiwań zza zachodniej granicy. Pierwsza polska monarchia chronologicznie była tylko epizodem, już w 1032 r. Mieszko II ukorzył się przed cesarzem, zrezygnował z korony i zgodził się na sprowadzenie swojego państwa do rzędu księstw. Ale nie było już odwrotu, korona stała się zadaniem i wyzwaniem dla kolejnych władców, a wymuszoną zgodę na Polskę – niekrólestwo traktowano odtąd jako przejściową i odwracalną. Regnum stało się faktem niepodważalnym. Trzeba było tylko poczekać na władcę, który miałby siłę i determinację, by znów to potwierdzić.

Koncepcję restytucji monarchii odważnie podjął **Bolesław II Śmiały (1076-1079, 3.),** wnuk Mieszka II, który umiejętnie wykorzystał konflikt między cesarzem i papieżem. W Boże Narodzenie 1076 r. w Gnieźnie na skroniach polskiego władcy znów zabłysnęła korona. Ale ponownie na krótko. Dramatyczny konflikt z biskupem krakowskim Stanisławem doprowadził do wygnania z kraju niedawno koronowanego króla, a rok 1079, w którym od koronacji upłynęły zaledwie trzy lata, na długi czas położył kres królestwu. Żaden z kolejnych władców – książąt aż do schyłku XIII w. – nie sięgnął po koronę, choć w świadomości dynastii Piastów, elit polskich i europejskich Polska, mimo braku koronowanego władcy, pozostawała królestwem, a koncepcja ta była trwale i świadomie podtrzymywana – tak pisali w Krakowie Anonim zwany Gallem i mistrz Wincenty Kadłubek, tak pisał praski kanonik Kosmas.

Tęsknota za utraconą koroną, widoczna w ówczesnej twórczości pisarskiej i podsycana przez szerzący się kult kanonizowanego w 1254 r. św. Stanisława, łączyła się z nadzieją na jej odzyskanie. Polska historia drugiego stulecia rozbicia dzielnicowego obfitowała w wybitne jednostki dążące do restytucji monarchii. Śląscy Henrykowie – Brodaty i Pobożny, Leszek Czarny, Henryk IV Probus z Wrocławia szukali dróg zdobycia Krakowa, w którym spoczywały insygnia koronacyjne. Jednak to nie w Krakowie, a ponownie w Gnieźnie korona miała znowu trafić na skronie polskiego króla. Po zjednoczeniu w swym ręku Wielkopolski i Pomorza książę **Przemysł II (1295-1296, 4.)**, uzyskawszy zgodę papieża, 26 czerwca 1295 r. został koronowany przez arcybiskupa Jakuba Świnkę. Na wspaniałej pieczęci majestatycznej króla Przemysła obok jego wizerunku na jednej stronie, na drugiej widniał piastowski orzeł otoczony dumnym napisem „Sam Bóg przywrócił Polakom zwycięskie znaki". Jednak po raz czwarty z kolei, z trudem uzyskana korona bardzo krótko zdobiła głowę władcy. Już w lutym 1296 r. król padł ofiarą skrytobójczego mordu.

Zmarł Przemysł, wraz z nim wygasła wielkopolska gałąź Piastów, a odzyskanie korony znów wymagało czasu i zabiegów. Dzięki zaręczynom z córką Przemysła i szybkiej akcji zbrojnej w 1300 r. na krótko (do swej śmierci w 1305 r.) wszedł w jej posiadanie czeski król **Wacław II (1300-1305, 5.)**. Po koronacji w Gnieźnie na polskim tronie pierwszy raz zasiadał przedstawiciel obcej dynastii Przemyślidów. I choć sam papież nie uznał tej koronacji i zakazał czeskiemu królowi używania tytułu króla polskiego, istotniejsza niż nawoływania z Rzymu była sytuacja nad Wartą i Wisłą, a tu Wacław umacniał swoją pozycję.

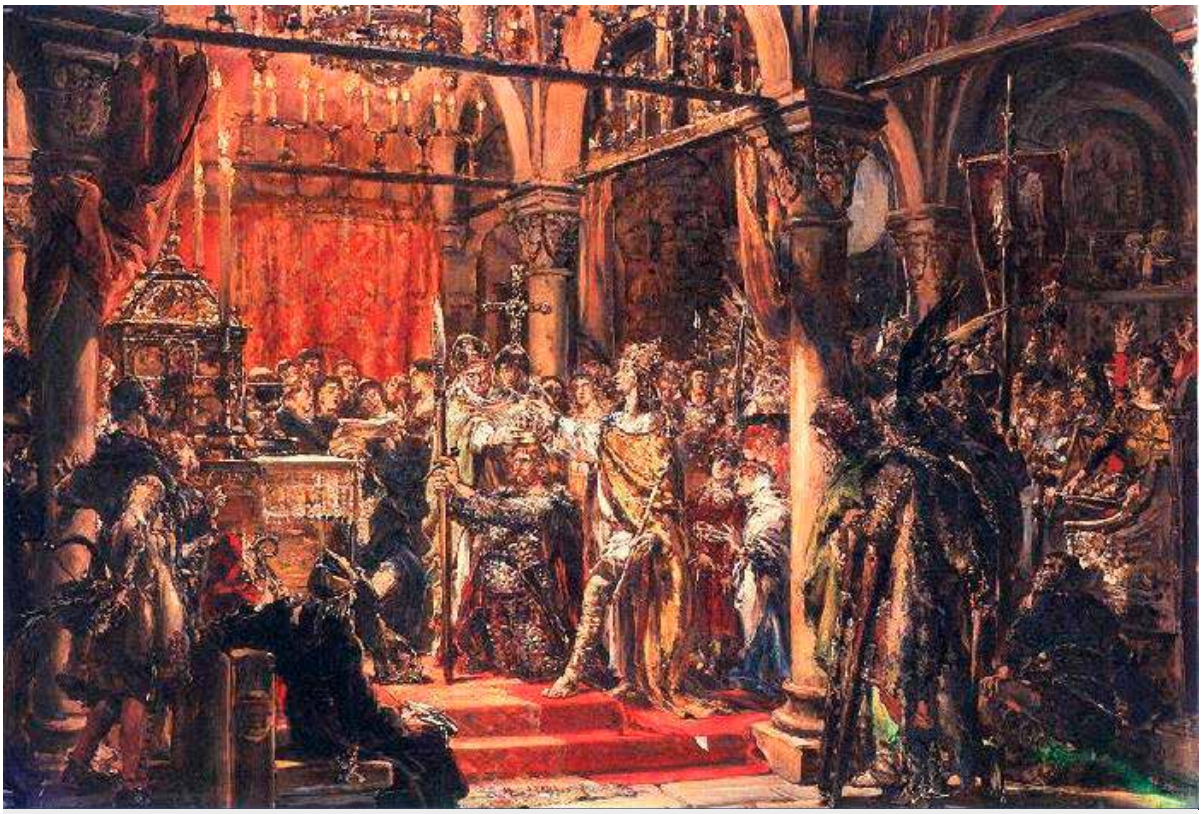
Śmierć monarchy w 1305 r. i zamordowanie jego syna otworzyło szansę na powrót korony w ręce piastowskie. Oczywistym do niej pretendentem był książę kujawski **Władysław Łokietek (1320-1333, 6.),** od lat niestrudzenie dążący do zjednoczenia polskich ziem, podzielonych od niemal dwóch stuleci. Dysponując od schyłku lat 20. XIV w. niemal całością terytorium (poza Śląskiem i Mazowszem), przystąpił do starań o koronę królewską. Sakrę królewską w katedrze krakowskiej Władysław Łokietek, stojący na czele państwa odbudowanego terytorialnie, politycznie i ideowo, otrzymał 20 stycznia 1320 r. Od tej pory Kraków – aż do schyłku I Rzeczypospolitej (z małymi wyjątkami) – stał się miejscem koronacji polskich monarchów. Tam w 1333 r. koronowano syna i następcę Łokietka, **Kazimierza III Wielkiego (1333-1370, 7.)**. Jego koronacja wprowadziła do polskiej tradycji ważny element – powiązanie jej z pogrzebem poprzednika. Od tej pory Polska nigdy nie miała pozostawać bez króla, zmarły monarcha trwał na majestacie aż do momentu, gdy władzę mógł objąć jego następca. Kazimierz jako pierwszy od czasu Mieszka II nie musiał do korony dążyć, lecz przyjąć ją, utrzymać i umocnić. Wszystko to Kazimierz spełnił. Nie udało mu się jednak to, co jego ojcu – przekazać jej synowi.

Wybór i powołanie

Pozbawiony męskiego potomka ostatni Piast na mocy porozumień zapewnił ją królowi Węgier, **Ludwikowi Andegaweńskiemu (1370-1382, 8.)**. Słusznie wątpiący w siłę swej polskiej korony, Ludwik wywiózł na Węgry polskie insygnia koronacyjne, obawiał się, że pod jego nieobecność zostaną użyte do koronacji rodzimego władcy. Panowanie Andegaweńczyka, pierwsze w polskiej historii przedstawiciela tej dynastii, zaowocowało także inną nowością – koronacją na króla kobiety. W wyniku długo negocjowanych umów w 1384 r. w Krakowie odbyła się koronacja na króla Polski **Jadwigi Andegaweńskiej (1384-1399, 9.)**, z tą jednak myślą, że młoda Andegawenka, król, szybko zostanie wydana za mąż za wybranego przez polskie elity rzeczywistego króla. W 1386 r. koronę włożono na skronie litewskiego księcia z dynastii Giedyminowiczów, **Władysława Jagiełły (1386–1434, 10.)**, najdłużej panującego polskiego monarchy i założyciela dynastii Jagiellonów, której przedstawiciele zasiadali na polskim tronie aż do 1572 r. Jagiełło miał jeszcze jedną zasługę – odzyskał polskie klejnoty koronne i w 1412 r. do Polski wróciła korona Władysława Łokietka.

Wbrew powszechnemu przekonaniu, polski tron w jagiellońskiej monarchii nie był dziedziczny, każdy władca był na niego wybierany i powoływany przez polską elitę polityczną. Jagiellonowie mieli jednak poważny atut: dziedziczny tron litewski. Chęć podtrzymywania unii Polski z Litwą, zawiązanej przez obranie na polskiego króla Władysława Jagiełły, wymagała wybierania na polski tron każdego dziedzicznego wielkiego księcia litewskiego. Oczywiście nie bez dodatkowych warunków. O koronę nie trzeba było już jednak walczyć zbrojnie, nie trzeba było jej odzyskiwać, ale każdy Jagiellon musiał ją uzyskać. Każdy z wyjątkiem dwóch, którzy, dzięki zabiegom rodziców, a nie własnych, zostali koronowani jako dziesięcioletnie dzieci. W 1434 r., po śmierci Władysława Jagiełły, na króla został koronowany jego starszy syn, **Władysław III Warneńczyk (1434-1444, 11.)**. Władzę sprawowała w jego imieniu Rada Regencyjna z biskupem Zbigniewem Oleśnickim na czele, a młodziutki król oczekiwał na osiągnięcie lat sprawnych, by rzeczywiście zasiąść na tronie. Tragiczna śmierć Władysława (od 1440 r. także króla Węgier) w bitwie pod Warną w 1444 r., otworzyła drogę do polskiego tronu jego młodszemu bratu.

Kazimierz IV Jagiellończyk (1447-1492, 12.) jako wielki książę litewski długo targował się z polską elitą polityczną, chcąc włożyć koronę na warunkach, które pozwoliłyby mu umocnić królewską pozycję i zachować odrębność Wielkiego Księstwa Litewskiego. Koronacja, która odbyła się w 1447 r., dała początek długiemu panowaniu, a ślub z Elżbietą Rakuszanką w 1454 r. – dużej, królewskiej rodzinie, w której na świat przyszło aż sześciu synów. Wbrew oczekiwaniom, przedłużyła



Jan Matejko, *Koronacja Bolesława Chrobrego*, olej na panelu, 1889



Źródło: Wikipedia

Repliki polskich insygniów koronacyjnych wykonane w latach 2001–2003 w Nowym Sączu

ona rządy Jagiellonów zaledwie o dwa pokolenia. Najstarszy syn króla, Władysław (1456-1516) objął tron czeski (1471), a później także węgierski (1490), Kazimierz (1458-1484), szykowany przez ojca na następcę, zmarł w młodym wieku, najmłodszego Fryderyka (1468-1503) skierowano na drogę kariery duchownej, a z trzech pozostałych synów tylko jeden przedłużył królewski ród. Jagiellońska gałąź niepokojąco traciła gałązki i nie wypuszczała nowych.

Po śmierci Kazimierza Jagiellończyka na polskich królów koronowano dwóch jego kolejnych synów: w 1493 r. **Jana I Olbrachta (1492-1501, 13.)** i w 1501 r. **Aleksandra (1501-1506, 14.)**, ale obaj panowali krótko – odpowiednio 9 i 5 lat – i nie pozostawili potomstwa. Szczególny wydźwięk miała koronacja Aleksandra, królewską koronę, w obecności królewskiej matki, włożył mu na skronie jego młodszy brat, kardynał Fryderyk Jagiellończyk, zresztą główny promotor idei przekazania polskiego tronu właśnie Aleksandrowi. Koronacja **Zygmunta I Starego (1507-1548, 15.)** w 1507 r. odbywała się w warunkach pełnego rozwoju polskiego parlamentaryzmu, regulującego udział szlachty w sprawowaniu władzy, dużego już przywiązania do jagiellońskiej dynastii na polskim tronie i życzeń, i nadziei, by monarcha przedłużył trwanie Domu Jagiellońskiego. Narodziny królewskiego syna w 1520 r. nadzieje te urzeczywistniały, a wobec faktu, że pozostał jedynym synem królewskiej pary, mógł być pewien swojego pierwszeństwa do polskiej korony. Za sprawą głównie rzutkiej i sprawczej matki, włoskiej księżniczki Bony Sforzy, Zygmunt II August **(1530-1572, 16.)** został koronowany na króla Polski jako 10-latek. Jednak, nie jak inny koronowany 10-latek w obliczu śmierci swego ojca, a już za jego życia – w 1530 r. Zygmunt Stary był wówczas jeszcze w sile wieku i miał rządzić kolejnych 18 lat. Jedyna w polskiej historii elekcja i koronacja vivente rege wywołały powszechną niechęć, ale zostały skutecznie przeprowadzone i od tej pory Polska miała dwóch królów: „starego" i „młodego". Ten drugi na objęcie tronu czekał niemal dwie dekady i mimo pozornie komfortowej sytuacji i korony na głowie, przejęcie i ugruntowanie władzy wcale nie przyszło mu łatwo. Wywołujący powszechny sprzeciw ślub z litewską magnatką, Barbarą z Radziwiłłów Gasztołdową, zachwiał królewskim tronem. Łatwiej było go jednak utrzymać z koroną, o którą nie trzeba było dopiero zabiegać. Bezpotomna śmierć Zygmunta Augusta w 1572 r. i reguły wolnej elekcji zmieniły zasady politycznej gry o polską koronę.

Elekcja i umowa

Kształtujący się w dobie pierwszego bezkrólewia tryb wyboru nowego monarchy potrzebował sankcji religijnej. Należało stworzyć nowy model i nadać mu stabilną postać, najlepiej swoistego obrzędu analogicznego do tradycyjnej koronacji. Koronacja, postrzegana jako kontynuacja samej elekcji, miała stanowić zamknięcie rytuału wyboru monarchy. Jednak sakralna koncepcja elekcji została unieważniona przez kolejnych monarchów, najpierw ucieczką, a potem zbrojną walką o tron. Elekcja nie otrzymała sakralnej sankcji, mimo to wciąż w czasie koronacji królowie otrzymywali boskie znamię. Wybrany jako pierwszy w rygorach tego nowego ustrojowego rozwiązania **Henryk Walezy (1573-1574, 17.)** został koronowany w Krakowie 21 lutego 1574 r. Przed włożeniem korony na skronie elekta, ów musiał zatwierdzić dawne i nowe prawa. „Jeśli nie zaprzysięgniesz, nie będziesz rządził" – miało rzekomo paść w czasie uroczystości koronacyjnych, gdy monarcha do końca kluczył w sprawie zapewnienie swobód religijnych. W słowach tych wyłożono ustrojową doktrynę, że władza królewska w Rzeczypospolitej opierała się na umowie między królem a stanem szlacheckim. Elekcja była tylko pierwszym krokiem do tronu. Kluczowe stawało się przeprowadzenie koronacji, która ten wybór sankcjonowała i sakralizowała.

Przekonał się o tym cesarz Maksymilian Habsburg, który co prawda w 1575 r. został oficjalnie obrany polskim królem, ale nigdy nie zdołał tego potwierdzić w akcie koronacji. Masy szlacheckie obwołały królem Annę Jagiellonkę (1575-1586, 18.),

wkrótce wybrały na jej męża księcia Siedmiogrodu **Stefana Batorego (1575-1586, 19.)** i to on, po ślubie z Jagiellonką, koronowaną razem z mężem, miał zostać królem. W obliczu podwójnej elekcji polska korona miała ozdobić głowę tego z kandydatów, który pierwszy zdoła wejść w jej posiadanie i ostatecznie pokonać rywala. Koronacja, która odbyła się w Krakowie 1 maja 1576 r., była niezbędna do zwycięstwa, ale ostatecznie o nim nie decydowała. Dopiero demonstracja zbrojna wojsk batoriańskich zmusiła jego przeciwników do pogodzenia się z nowym władcą – króla uznali zwolennicy Maksymiliana, a niektórzy, jak gdańszczanie, dopiero w grudniu 1577 r., po wojnie i śmierci popieranego przez nich Habsburga. Już druga wolna elekcja przekonała, że koronacja nie wystarczy, by w istocie panować, z koroną na głowie trzeba było walczyć o jej uznanie.

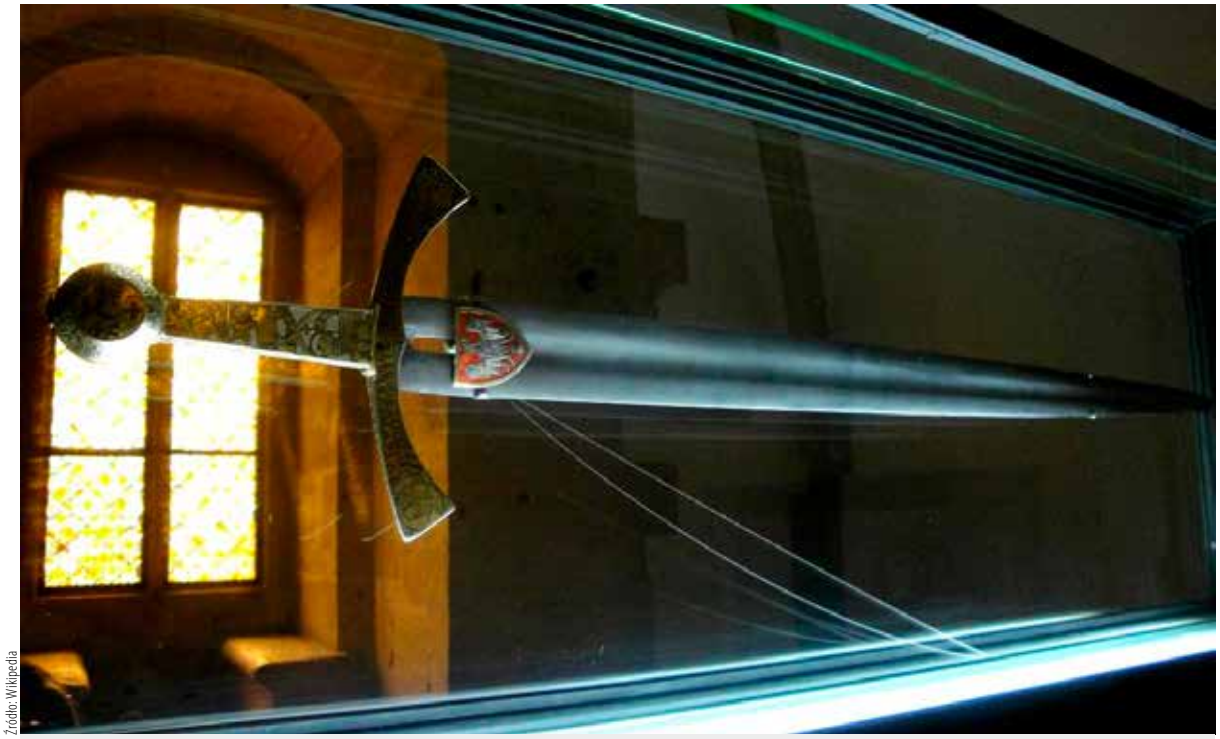
Wstąpienie na tron Rzeczypospolitej i koronacja **Zygmunta III Wazy (1587-1632, 20.),** wnuka szwedzkiego króla Zygmunta I, świadomie nawiązywały do tradycji i związków z Domem Jagiellonów. Szlachta chętnie widziała w nowym władcy kontynuatora wygasłej dynastii. Koronacja, która odbyła się w krakowskiej katedrze 27 grudnia 1587 r., poprzedzona była nie tylko znów podwójną elekcją, która wymagała przekucia jej w realne objęcie tronu, ale także wojną, którą król-elekt musiał stoczyć z drugim królem-elektem, Maksymilianem III Habsburgiem. Kraków został oblężony przez wojska austriackie i dopiero zwycięska bitwa pod Byczyną w 1588 r. i porozumienie z cesarzem w 1589 r. utwierdziły objęcie tronu przez Wazę.

Znacznie łatwiej miał syn i następca Zygmunta III, **Władysław IV Waza (1632-1648, 21.)**, któremu na drodze nie stanął żaden poważny kandydat i po nie budzącym kontrowersji wyborze, jednym z najspokojniejszych w burzliwej historii polskich elekcji, został koronowany 6 lutego 1633 r. Podczas koronacji zdarzył się nietypowy incydent. W pewnym momencie z głowy królewskiej zaczęła zsuwać się korona. Oddawszy berło i jabłko kanclerzowi litewskiemu Albrychtowi Radziwiłłowi, Władysław poprawił ją i, proroczo, jak się okazało, powiedział: „Cięższa jest korona, niż przypuszczałem, ale sądzę, że większy jeszcze ciężar oznacza". Władysław IV nosił ją do końca swego życia, czyli przez 15 lat panowania. Ciężarem nie do udźwignięcia okazała się dla jego młodszego brata, **Jana II Kazimierza (1648-1667, 22.)**. Nim zasiadł na polskim tronie był w jezuickim nowicjacie i otrzymał nominację kardynalską, ale po śmierci w 1647 r. jedynego syna Władysława IV, 7-letniego Zygmunta Kazimierza, to Jan Kazimierz stał się naturalnym kandydatem do polskiej korony. Po zrzeczeniu się godności kardynalskiej, przejął po zmarłym bracie, koronę (został koronowany 17 stycznia 1649 r.), żonę i państwo rozognione wojnami. 20 lat później, 16 września 1668 r., zrzekł się korony, abdykował i opuścił Rzeczpospolitą.

Ciągłość władzy

Podczas koronacji kolejnych władców elekcyjnych zamierzenie starano się podkreślać ciągłość władzy państwowej, której nie podtrzymywała już krew dynastyczna, lecz wola wyrażona na polu elekcyjnym pod Warszawą. W połowie XVII stulecia polska demokracja szlachecka dojrzała do obdarzenia koroną nie przedstawiciela europejskiego rodu dynastycznego, a jednego ze swoich. Godność urzędu królewskiego i majestat Rzeczypospolitej zyskały nowy wymiar. W czasie koronacji **Michała Korybuta Wiśniowskiego (1669-1673, 23.),** króla – rodaka, syna swego wielkiego ojca, uroczyste dekoracje uwypuklały nie tylko jego znamienite pochodzenie, włącznie z genealogią mitologiczną, ale nawiązywały także do poprzedników nowego króla, podkreślając ciągłość władzy. Było to konieczne, nowy król nie był bowiem dynastą, nie pochodził z rodziny królewskiej, nigdy przedtem nie piastował żadnego urzędu i nie wywierał wpływu na życie polityczne Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Z czasem, w obliczu w coraz bardziej komplikującej się sytuacji politycznej i postępującej desakralizacji, koronacja – choć wciąż przecież monarcha panował Dei gratia – nikogo nie przekonywała już, że daje królowi szczególne łaski. **Jan III Sobieski (1674-1696, 24.)** został koronowany dwa lata po elekcji, zabezpieczenie zagrożonych granic musiało ustąpić liturgicznym formalnościom. Nikt też już nie negował władzy króla bez uroczy-



Źródło: Wikipedia

Szczerbiec w Państwowych Zbiorach Sztuki na Wawelu

ście włożonej na jego skronie korony. Co ciekawe, w czasie koronacji Sobieskiego w Krakowie znaleźli się wówczas trzej kolejno panujący królowie. Poprzedził ją pogrzeb Michała Korybuta Wiśniowieckiego i zmarłego we Francji Jana II Kazimierza, co było związane z praktykowaną od pogrzebu Kazimierza Wielkiego tradycją uroczystego pochówku poprzednika przez wstępującego na tron monarchę.

Urządzane z coraz większą pompą uroczystości koronacyjne – z widowiskowymi wjazdami, architekturą okazjonalną, wspaniałymi bramami triumfalnymi, okolicznościowymi mowami, muzyką, fajerwerkami, rozsypywaniem pamiątkowych medali i spektaklami – odbywały się w coraz mniej sprzyjających okolicznościach politycznych. Albo wręcz wbrew nim. Wyśmienicie przygotowana ceremonia koronacji **Augusta II Mocnego (1697-1706, 1709-1733, 25.),** która odbyła się 15 września 1697 r., z trwającym 8 godzin ingresem i zachwycającym przyjęciem, w istocie sankcjonowała zdobycie korony w wyjątkowo kontrowersyjnych okolicznościach. Insygnia koronacyjne, wobec odmowy ich wydania przez mających do nich dostęp senatorów, zostały wyniesione przez dziurę wybitą w murze (wyłamanie drzwi skarbca byłoby świętokradztwem), a koronę na królewską głowę włożył biskup kujawski, bowiem prymas odmówił dokonania koronacji.

Walka o koronę

Konfederacja, zawiązana przeciwko Augustowi II, w 1704 r. doprowadziła do jego detronizacji. Gdy jednak ten pojmał i uwięził głównego kandydata do tronu, Jakuba Sobieskiego, tron tymczasowo powierzono Stanisławowi Leszczyńskiemu. Leszczyński nie uznał jednak tymczasowości swej władzy. Został wybrany na króla w lipcu 1704 r. w czasie elekcji zwołanej w szwedzkim obozie wojskowym pod Warszawą. Koronacja **Stanisława Leszczyńskiego (1704-1709, 26.),** 4 października 1705 r., była pierwszą poza Krakowem, w Warszawie, a obrzędu dopełnił nie prymas, a arcybiskup lwowski. Naruszenie tradycji nie było dobrze widziane w politycznych elitach, ale polityczna skuteczność ważyła więcej. Leszczyński nie tylko w tym łamał dotychczasowy porządek. Przez pewien czas polska korona zdobiła głowę dwóch monarchów – jego i Augusta II Mocnego, a Rzeczpospolita miała dwóch królów. Dopiero we wrześniu 1706 r. August II Mocny w uroczystym ślubowaniu zrzekł się korony polskiej na rzecz Stanisława Leszczyńskiego. Jak się okazało, tylko czasowo. Po klęsce Szwedów, protektorów króla Stanisława, pod Połtawą w lipcu 1709 r. Leszczyński uciekł z kraju, a władzę ponownie uchwycił August II.

Podczas rozdwojonej elekcji w 1733 r. wybrano królem, obok – ponownie – Stanisława Leszczyńskiego, drugiego z przedstawicieli dynastii saksońskiej, **Augusta III Sasa (1733-1763, 27.)**. Wolna elekcja w niczym nie przypominała już koncepcji wypracowanej po śmierci Zygmunta Augusta. Po wyborze Stanisława Leszczyńskiego, pod osłoną rosyjskiego korpusu, stronnicy Sasa ogłosili go królem. Kolejny raz Rzeczpospolita była świadkiem wojny o polską sukcesję. Podobnie jak w przypadku ojca, to sprawność Augusta III w opanowaniu Krakowa zdecydowała o tym, na czyje skronie wkładano polską koronę.

Kraków, jednak, nie witał już króla z dawnym entuzjazmem. Jak zanotował jeden ze współczesnych komentatorów, „żaden z ludu pospolitego vivat król nie odezwał, ale tylko patrzyli się jak na tragiczną jakową scenę, albo akt żałoby". O ile dla jego ojca wydobyto podstępem insygnia koronacyjne, Augusta III koronowano z użyciem nowych, zastępczych, bo puzdra z koronami i ceremonialny miecz zwany Szczerbcem zostały w 1733 r. wywiezione na Jasną Górę. To także poczytywano za złą wróżbę. Pełne przepychu uroczystości koronacyjne, na które specjalną kantatę *Gratulatoria an adventum Regis* skomponował Jan Sebastian Bach, odbyły się 17 stycznia 1734 r. w Warszawie.

Ostatnia koronacja odbyła się 25 listopada 1764 r. w warszawskiej kolegiacie św. Jana. Koronowany wówczas **Stanisław August Poniatowski (1764-1795, 28.)** został obrany królem w istocie w wyniku zamachu stanu. 11 kwietnia 1764 r. Rosja i Prusy podpisały umowę, której celem było przeprowadzenie elekcji w Rzeczpospolitej. Po elekcji dokonanej przy asyście wojsk rosyjskich, cesarzowa Katarzyna II do jednego ze swoich współpracowników napisała: „Gratuluję panu króla, którego wybraliśmy". Król abdykował dokładnie 31 lat po swej koronacji, 25 listopada 1795 r. Akt ten pozostawał w sprzeczności z polskim prawem, gdyż od czasów abdykacji króla Jana Kazimierza w 1668 r. sejm zakazał zrzeczenia się tronu władcom. Wobec układu rozbiorowego podpisanego przez Rosję, Austrię i Prusy w Petersburgu 24 października 1795 r., to naruszenie polskiego prawa nie miało już znaczenia. Rzeczpospolita przestała istnieć.

Skarb i symbol

Pozostały natomiast symbole polskiej władzy królewskiej – insygnia koronacyjne. Najdawniejsze zaginęły, ale od 1412 r. w Polsce były insygnia wykonane na koronację Władysława Łokietka w 1320 r. i wywiezione na Węgry przez Ludwika Andegaweńskiego. Od 1320 r., z wyjątkiem koronacji Jadwigi, Władysława Jagiełły, Stefana Batorego, Stanisława Leszczyńskiego i Augusta III, aż do końca istnienia I Rzeczpospolitej królowie koronowani byli tymi XIV-wiecznymi insygniami. Łokietkowe korona, berło, jabłko i miecz Szczerbiec były nośnikami ciągłości królewskiej władzy i narodowymi skarbami, przez stulecia przechowywanymi w skarbcu i pilnie strzeżonymi. Podczas tłumienia insurekcji kościuszkowskiej, w nocy z 3 na 4 października 1795 r. pruscy żołnierze włamali się do skarbca i wywieźli z niego wszystkie cenne przedmioty, w tym polskie insygnia koronacyjne. Przewieziono je do Berlina i włączono do skarbca Hohenzollernów. 17 marca 1809 r. pokonany w wojnie z Napoleonem i zbankrutowany pruski król Fryderyk Wilhelm III kazał rozbić i przetopić polskie skarby. W 1811 r. przeprowadzono w Królewcu ich komisyjne zniszczenie. Z pozyskanego złota i srebra wybito monety, a kamienie szlachetne sprzedano. Ocalał tylko koronacyjny miecz polskich królów – Szczerbiec, który zrabowany przez Prusaków, cudem ocalony, w niewyjaśnionych okolicznościach znalazł się w Rosji, a następnie, w 1924 r. trafił na Wawel na mocy pokoju ryskiego kończącego wojnę polsko-bolszewicką. Po wojennej odysei, w 1959 r. powrócił z Kanady do Krakowa i pozostaje dziś najważniejszym symbolem państwa polskiego, kluczowym elementem patriotycznej ikonosfery, jednym z najcenniejszych zabytków i unikatowym świadectwem królewskiej tradycji i historii Polski.

Spóźniona organizacja państwowych uroczystości i obchodów upamiętniających tysiąclecie pierwszych koronacji polskich królów i narodzin Królestwa Polskiego, a także niewykorzystanie tej rocznicy do promocji Polski na arenie międzynarodowej tym bardziej skłania do przyjrzenia się historii polskich koronacji. Poza innymi, płynie z nich i ta lekcja, że niepodległość, suwerenność, prawo samostanowienia i wewnętrzna siła, symbolizowane przez wieki przez insygnia koronacyjne i potwierdzane w sakralnym akcie królewskiej koronacji, są nieodzowne dla trwania państwa.

Dr hab. Agnieszka Januszek-Sieradzka, prof. KUL, pracuje w Instytucie Historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.
agnieszka.januszek-sieradzka@kul.pl
https://orcid.org/0000-0002-3227-3797

Maciej Mikuła

Kontekst prawny koronacji Bolesława Chrobrego

Prawo zwyczajowe – prawo stanowione – prawo kanoniczne

Koronacja ze wszystkimi następstwami natury politycznej, uwieńczeniem ambicji politycznych Bolesława, wymiarem symbolicznym i sakralnym, stanowiła jednocześnie wyraz recepcji łacińskiej kultury prawnej .Wehikułem tej recepcji było prawo kanoniczne, nieustannie obecne w kulturze prawnej średniowiecznej Polski piastowskiej i jagiellońskiej .

Znaczenie polityczne koronacji Bolesława Chrobrego było silnie sprzężone ze skutkami prawnymi tego wydarzenia. Pomimo iż w kolejnych trzech stuleciach odbyło się zaledwie kilka koronacji polskich książąt, dzięki tej pierwszej mogło wykształcić się przekonanie o istnieniu Królestwa Polskiego. Koronacja miała zatem wydatny wpływ na ewolucję państwowości polskiej. Gwarantowała szczególną legitymację do sprawowania władzy, niezależną od argumentu siły i sprawnego zarządu, które zapewniały pierwszym Piastom utrzymanie kontroli nad terytoriami przyłączonymi do pierwotnego państwa Polan w drodze podboju. Przebiegu koronacji Bolesława Chrobrego domyślał się już przed 115 laty Stanisław Kutrzeba, wybitny krakowski historyk prawa I połowy XX wieku, wydawca pochodzącego z wieku XVI *Ordo coronandi regis Poloniae*. Jego zdaniem, musiała ona odpowiadać wzorcowi rzymskiemu (kształtowanemu po VII wieku), w szczególności formuła koronacyjna zaczerpnięta została z Rzymu i co najwyżej dostosowana do warunków lokalnych (*Ordo coronandi regis Poloniae*, wyd. Stanisław Kutrzeba, Kraków 1910, nakładem Akademii Umiejętności, s. 135). W niniejszym szkicu proponuję skupić się jednak nie tyle nad samą koronacją jako zdarzeniem przesyconym symboliką religijną, polityczną i prawną, ani nawet podsumować jej następstwa, co zamierzam umiejscowić ją w realiach porządku prawnego państwa wczesnopiastowskiego. W tym celu proponuję przyjrzeć się trzem zagadnieniom, kształtującym kontekst prawny dla tego wydarzenia: znaczeniu prawa zwyczajowego, monarsze jako prawodawcy, wreszcie roli prawa kanonicznego w rozwoju kultury prawnej.

Dawne prawo to dobre prawo

W prawoznawstwie przyjmuje się, że elementem wyróżniającym prawo zwyczajowe od zwyczaju jest przekonanie, że podzielany przez społeczność określony sposób zachowania (usus) jest prawem (opinio iuris). Mam wątpliwości, czy ów podział, wskazujący na istotny etap w procesie normatywizacji prawa, czyli jego oddzielania od innych porządków normatywnych, był oczywisty dla społeczności państwa wczesnopiastowskiego. Najistotniejsza była funkcja, jaką przypisywano normom zachowania. Ich przestrzeganie miało zapewniać pokój wewnętrzny i tym samym przetrwanie społeczności. Doświadczenie pokoleń, które stosowały się do określonych zasad postępowania i osiągnęły przez to sukces, stawało się dziedzictwem przeszłości, werbalizowanym w paremii (maksymie): „dawne prawo to dobre prawo", co w swym błyskotliwym artykule przybliżył Michael T. Clanchy (*Remembering the Past and the Old Good Law*, „History", 55, 1970, s. 172). Jak silne było przywiązanie do dotychczasowego prawa, dowodów dostarczają liczne przykłady z kolejnych stuleci. Nie było dziełem przypadku, że ponad trzy wieki po koronacji Chrobrego Kazimierz Wielki zmierzając do reformy prawa, zdecydował się na odrębne skodyfikowanie prawa zwyczajowego Małopolski i Wielkopolski. Próba przedwczesnego usunięcia występujących między nimi różnic doprowadziłaby do nieuchronnego fiaska akcji kodyfikacyjnej. Przywiązanie do starego prawa – dotychczasowych norm postępowania – można traktować jako swoisty aksjomat średniowiecznej kultury prawnej.

Prawo stanowione: pierwsze kroki

Niektórzy z czytelników zapewne wiążą osobę lwowskiego historyka prawa Oswalda Balzera ze sporem o Morskie Oko między Galicją (częścią Austrii) i Węgrami w latach 1901–1902. Ustalenia jego rzeczywistego wkładu w zapewnienie Polsce tego urokliwego miejsca podjął w swej ostatniej książce Jacek Matuszewski (*Dziwny hrabia i jego proces z pruskim księciem. Władysław Zamoyski – Morskie Oko – Christian Hohenlohe, Galicja – Wiedeń 1907 – 1909*, Kórnik, Fundacja Zakłady Kórnickie, 2024, s. 45), niemniej przypominam tę postać z innego powodu. Wśród swych licznych tekstów Balzer opracował wykaz średniowiecznych statutów (*Corpus iuris Polonici medii aevi. Program wydania zbioru ustaw polskich średniowiecznych oraz rege-*

sta tychże ustaw, Lwów 1891 oraz *Corpus iuris Polonici medii aevi*, oprac. red. Artur Lis, Sandomierz, Armoryka, 2019). Pod tym pojęciem rozumiał ustawę, a więc akt prawny kierowany do zbiorowości i regulujący dane zagadnienie w sposób abstrakcyjny. Statuty nie były więc wydawane w celu załatwienia konkretnej sprawy. Dalece różniły się od przywilejów, które określane były w średniowiecznych traktatach o prawie jako lex privata, czyli ustawa prywatna, adresowana do konkretnego odbiorcy.

Zauważmy, że wydanie przywileju (z terminem tym w znaczeniu potocznym utożsamiamy zazwyczaj korzyść), choć mogło prowadzić do wyłomu w prawie powszechnie obowiązującym, nie stanowiło jego szerokiej modyfikacji. Przywilej był więc wyczekiwany, pożądany, stanowił monarszy instrument prowadzenia polityki jeszcze w II połowie XVI wieku. Tymczasem za pomocą statutu monarcha wprowadzał zupełnie nową regulację, względnie uchylał dotychczasowe prawo, co w świetle wspomnianej wcześniej zasady – prawo stare to dobre prawo – niosło ze sobą niepewność sukcesu.

Balzerowski wykaz ustaw dla okresu do 1138 r., a więc z pierwszych ponad 150 lat państwowości polskiej, obejmuje zaledwie pięć pozycji, zresztą dyskusyjnych. Nie miejsce tutaj na krytykę jego wykazu, daleki jestem także od wnioskowania ex nihilo, nie sposób jednak przejść obojętnie wobec tej niewielkiej liczby. Co istotne, Balzer w analizowanych źródłach natrafił wyłącznie na ustawy, które dotyczyły powinności (obowiązki wojskowe) i kwestii ustrojowych. W świetle jego wykazu ustawodawstwo, które znalazłoby swój wyraz w formie spisanych statutów, nie należało do istotnych zadań pierwszych Piastów. Zarządzali krajem i rozsądzali spory, ale czas na głębokie zmiany przy pomocy spisanego prawa stanowionego miał dopiero nadejść w kolejnych stuleciach.



Fot. PAP/Dominik Kulaszewicz

Dagome iudex

Lekcja prawa kanonicznego

W wykazie Oswalda Balzera znalazły się akty prawne dotyczące relacji międzynarodowych, w tym pod numerem pierwszym *Dagome iudex*. Gwoli przypomnienia, niedługo przed swą śmiercią Mieszko I przekazał papieżowi państwo w opiekę. Polegało to na dokonaniu swoistej darowizny, po czym papież zwrócił państwo księciu z zachowaniem zwierzchności. Znakiem podległości Stolicy Apostolskiej i jednocześnie symbolem papieskiej opieki była opłata zwana świętopietrzem. Decyzja oddania państwa w opiekę papiestwa jest wymowna, jednak na potrzeby rozważań warto podkreślić inną szczególną cechę tego aktu. Wymagał on zgodnej woli obu stron. To skłoniło wybitnego znawcę prawa polskiego i średniowiecznego prawa kanonicznego, Wacława Uruszczaka, do zaproponowania rozwiązania pozwalającego uznać *Dagome iudex* za pierwszy konkordat państwa polskiego (Wacław Uruszczak, *Konkordaty nazwane i nienazwane w Polsce przedrozbiorowej*, w: *Konkordaty polskie. Historia i teraźniejszość*, praca zbiorowa, red. Józef Krukowski, Krzysztof Burczak, Wacław Uruszczak [i in.], Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, 2019, s. 61 i n.). W jego koncepcji, konkordaty można podzielić na nazwane oraz nienazwane. *Dagome iudex* zalicza się do tej drugiej grupy, która nie wymagała szczególnych wymogów formalnych. Stanowi on dowód pojawienia się na ziemiach polskich prawa stanowionego, wpisującego się w standardy europejskiego ius commune, czyli średniowiecznego prawa rzymsko-kanonicznego. Ponadto był to akt prawny niewątpliwie spisany, potwierdzający, że już u schyłku X wieku pismo stawiło nieodzowną cechę kultury prawnej księstwa piastowskiego (treść *Dagome iudex* zachowała się w streszczeniu ze zbioru prawa kanonicznego kardynała Deusdedita z końca XI wieku). Jedynie gruntownie wykształceni duchowni byli w stanie zaproponować księciu Mieszkowi takie rozwiązanie i skutecznie je przeprowadzić. Byli oni obecni na dworze piastowskiego księcia.



Recepcja łacińskiej kultury prawnej

Osadźmy zatem koronację Bolesława Chrobrego w kontekście kultury prawnej, do której cech należała zasada „prawo stare to dobre prawo", niewielka, w świetle zachowanych źródeł, liczba statutów wydanych przez pierwszych Piastów oraz fakt, że do najstarszych przykładów prawa stanowionego należał, stosując się do terminologii zaproponowanej przez Wacława Uruszczaka, konkordat nienazwany *Dagome iudex*. Koronacja ze wszystkimi następstwami natury politycznej, uwieńczeniem ambicji politycznych Bolesława, wymiarem symbolicznym i sakralnym, stanowiła jednocześnie wyraz recepcji łacińskiej kultury prawnej. Wehikułem tej recepcji było prawo kanoniczne, począwszy od wspomnianego już *Dagome iudex* nieustannie obecne w kulturze prawnej średniowiecznej Polski piastowskiej i jagiellońskiej (zob. Adam Vetulani, *Z badań nad kulturą prawniczą w Polsce piastowskiej*, Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1976); Wacław Uruszczak, *Opera historico-iuridica selecta. Prawo kanoniczne – nauka prawa – prawo wyznaniowe*, Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2017). Dość wspomnieć, że w późnym średniowieczu obok przepisów średniowiecznego prawa miejskiego zamieszczano reguły prawne (*regulae iuris*) rozpowszechniane dzięki zbiorowi prawa kanonicznego *Liber sextus* papieża Bonifacego VIII z 1298 r. To dzięki tym ogólnym maksymom nadawano kazuistycznym przepisom abstrakcyjny sens. Wreszcie argumentacja uzasadniająca usunięcie starych, ale „złych" zwyczajów i zastąpienie ich słusznymi także pochodziła z doktryny prawa kanonicznego i została wykorzystana przez króla-prawodawcę – Kazimierza Wielkiego (Wacław Uruszczak, *Argumenty retoryczne w Statutach Kazimierza Wielkiego*, w: *Dawne prawo i myśl prawnicza. Prace historyczno-prawne poświęcone pamięci Wojciecha Marii Bartla*, red. Jerzy Malec, Wacław Uruszczak, Kraków, Uniwersytet Jagielloński, 1995, s. 267–282). Niezależnie zatem od tego, czy był to okres dominacji prawa zwyczajowego i ostrożnej aktywności prawodawczej Piastów, czy głębokiej modernizacji przy pomocy prawa stanowionego, prawo kanoniczne i łacińska kultura prawna stanowiły punkt odniesienia, inspiracji albo pełnej recepcji w świeckim porządku prawnym.

Dr hab. Maciej Mikuła, prof. UJ, jest zatrudniony w Pracowni Prawa Kościelnego i Wyznaniowego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Przemysław Wiszewski

Czy Piastowie są sexy?

Jak jedna rodzina przed wiekami ukształtowała nasze życie

Polska nie musiała narodzić się z chaosu X w .O jej przetrwaniu zadecydowały decyzje podjęte przez dwóch Piastów – Mieszka I i Bolesława Chrobrego .To oni zadecydowali o wejściu w orbitę wpływów politycznych Cesarstwa, a także o budowie lokalnej administracji Kościoła, której trwanie było ściśle związane z istnieniem dynastii i jej państwa .

W bieżącym roku mija nie tylko tysięczna rocznica koronacji Bolesława Chrobrego, ale także 350 rocznica wygaśnięcia męskiej linii rodu Piastów. O ile to pierwsze wydarzenie przykuwa uwagę swoją monumentalnością, to drugie zupełnie zniknęło z publicznej debaty. Dynastia, a już szczególnie śląscy Piastowie wstydliwie pochowali się w regionalnych muzeach i uczelniach. Dotkliwie uderzające jest to w porównaniu z niedawnym fetowaniem tradycji jagiellońskich. Spróbujmy spojrzeć chociaż przez chwilę na to, jak decyzje Piastów zaważyły na historii Polski w kontekście politycznym, kulturowym i gospodarczym. A przecież to tylko ułamek tego, co nam uczynili.

Piastowska geopolityka

Polska nie musiała powstać. Wbrew naszym dzisiejszym odczuciom istnienie jednej wspólnoty politycznej, pod tą lub inną nazwa, między Odrą a Bugiem, Morzem Bałtyckim i Karpatami nie było koniecznością dziejową. Można wyobrazić sobie to terytorium podzielone między Czechy, Ruś Kijowską i władztwo Pomorzan. Nie mamy żadnych przesłanek, by sądzić, że po ukonstytuowaniu się w V-VI w. słowiańskiego osadnictwa na tym terenie, ukształtowały się również jakieś większe organizacje polityczne. Istniały tu luźne wspólnoty osadnicze, które podróżni identyfikowali z plemionami. Do utworzenia przez nie państwa, z centralnym ośrodkiem władzy i podległą mu organizacją militarną, było jednak daleko.

Przełomem okazała się aktywność Mieszka I. Nie wiemy, czy rzeczywiście, jak chcieli Anonim zwany Gallem i część współczesnych badaczy przeszłości, jego przodkowie mozolnie budowali polityczną pozycję rodziny w Wielkopolsce, tworząc „piastowskie patrymonium". Niewiele za tym przemawia, bo o przodkach Mieszka w zasadzie nic pewnego powiedzieć nie można. Faktem pozostaje natomiast, że około 950 r. on lub jego krewni byli w stanie zmobilizować ludność Wielkopolski do wspólnej pracy nad wznoszeniem monumentalnych, drewnianych grodów. Niedługo później, w 963 r., Mieszko I spotkał się z przedstawicielem cesarza Ottona I, margrabią Geronem, i uznał zwierzchność cesarską. Dzięki temu organizacja polityczna, na czele której stał Mieszko, weszła w obręb wpływów politycznych Cesarstwa nie jako przeciwnik, lecz sojusznik. Była to kluczowa decyzja, która zadecydowała o przyszłości Piastów i ich poddanych. W tym samym okresie potężne i groźne związki polityczne Słowian połabskich podjęły decyzję odmienną. Wsparły wrogów Cesarstwa, Węgrów, a później sprzeciwiły się ekspansji politycznej cesarzy. Dziś są tylko historyczną ciekawostką. Tymczasem państwo Mieszka nie tylko przetrwało okres intensywnych działań Ottona I na wschodzie. Jego władca podjął kolejną kluczową decyzję – przyjął religię Zachodu za swoją i jeszcze mocniej związał się z potęgą władców Niemiec. Korzystając z sojuszu, który zabezpieczał go przed Wieletami, władca Wielkopolski krok za krokiem budował wydajną militarnie i organizacyjnie strukturę, która przetrwała zarówno jego śmierć, jak i walki między spadkobiercami.

Jego syn Bolesław Chrobry tak silnie związał się kulturowo z Cesarstwem, że Otton III uznał go za godnego samodzielnego panowania, oczywiście w sojuszu z cesarzem. Państwo Piastów zyskało też około 1000 r. własną nazwę – Polska. Niezależnie od jej pochodzenia, utrwalała ona istnienie organizacji politycznej w świadomości wszystkich okolicznych graczy. Aktywność Piastów w kręgu rodziny cesarskiej, w szczególności ich związki rodzinne z arystokracją Rzeszy były na tyle istotne, że uratowały Polskę raz jeszcze po śmierci Mieszka II. Wygnanie przez możnych młodego Kazimierza Odnowiciela, jedynego syna zmarłego księcia, najazd czeski łupiący wszystkie najważniejsze ośrodki władzy, reakcja pogańska miejscowej ludności, ucieczka lokalnej arystokracji na Mazowsze… Polska nie powinna tego przetrwać. A mimo to cesarz przydzielił Kazimierzowi rycerzy, na czele których książę wrócił nad Odrę i Wisłę i ze wsparciem sąsiadów ze wschodu odbudował swoje dziedzictwo.

Polska nie musiała narodzić się z chaosu X w. i nie musiała przetrwać targających nią kryzysów pierwszej połowy XI w. O jej istnieniu zadecydowały decyzje podjęte przez dwóch Piastów – Mieszka I i Bolesława Chrobrego. To oni weszli w orbitę wpływów politycznych Cesarstwa, zapewnili sobie relacje rodzinne z najważniejszymi rodami i dynastiami książęcymi sąsiadów, ale także zbudowali lokalną administrację Kościoła, której trwanie było ściśle związane z istnieniem dynastii i jej państwa. Stabilizacja tej struktury, jej nieodzowność jako elementu geopolitycznego porządku tej części Europy, była w niemałym stopniu zasługą Rychezy, żony Mieszka II, oraz jej syna Kazimierza Odnowiciela. Dzięki przekonaniu króla Henryka

III Salickiego przez królową Rychezę o potrzebie istnienia Polski dla chwały Kościoła i bezpieczeństwa Cesarstwa, Kazimierz uzyskał możliwość odbudowy władzy Piastów po druzgocącym kryzysie lat 1034-1039 r. Od tego momentu Polska będzie funkcjonowała jako stabilna, niezbędna w tej części Europy jednostka polityczna. Ale powtórzmy: wcale tak być nie musiało.

Imperium Polaków

Granice wczesnych państw to rzecz płynna, ale zazwyczaj początki organizacji politycznych owocują szybkim rozwojem terytorialnym. Powołanie nowej wspólnoty w obliczu przeważającego nacisku z zewnątrz byłoby niemożliwe. Natomiast ograniczone zagrożenie motywuje, a jego przezwyciężenie daje możliwość dalszej ekspansji. Tak państwo rozwijał Mieszko I. Ale już jego syn Bolesław Chrobry miał zadanie trudniejsze. Konkurował nie tylko z rozproszonymi grupami Słowian między Odrą i Bugiem, ale też z dobrze zorganizowanymi władztwami Słowian Połabskich, królestwem Niemiec, księstwami Czechów i książąt Rusi. W równej mierze dzięki sprawnej dyplomacji co naciskowi militarnemu udało mu się znacząco rozszerzyć granice odziedziczonych po ojcu włości. Trwale połączył z Polską Wrocław i Kraków (nie jest jasne, kiedy Małopolska stała się częścią państwa Piastów), pograniczne grody współczesnej ziemi lubelskiej i Podkarpacia. Oparł – przejściowo – granicę północną na Bałtyku, a dodatkowo objął swoją władzą ziemie Łużyc, Milska, Czech, Słowacji. Tak narodziła się legenda złotych czasów początku polskiej państwowości. Idea „pierwszych granic" państwa polskiego w myśli polityków polskich XIX-XX w. zadziwiająco często obracała się wokół dokonań Bolesława Chrobrego.

Faktycznie to nie zasięg władzy Chrobrego, lecz ambicje jego potomków wyznaczały kanony myślenia polskich polityków. Od czasów Kazimierza Odnowiciela pragnęli Piastowie zachować kontrolę nad mniej więcej współczesnymi nam granicami Polski. Zasięg ich roszczeń do dziedzicznej ziemi wyznacza do dziś przekonanie Polaków o „naturalnych" granicach ich państwa, chociaż z Naturą nie mają one nic wspólnego.



Jan Matejko, Mieszko II Lambert

Ktoś może się obruszyć i wskazać, że przecież wyobraźnię Polaków zaludnia myśl jagiellońska, wizja Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Nie polemizując z nostalgią Kresów, wskażmy tylko, że i ta koncepcja narodziła się w czasach Piastów. Przecież to Władysław Łokietek jako pierwszy przełamał tabu, jakim był sojusz z pogańskimi wojownikami Litwy. Wraz z nimi podjął walkę z Brandenburczykami, za co ściągnął na siebie i swój kraj niechęć chrześcijańskich sąsiadów. Nie przeraziło go to. Sojusz litewsko-polski umocniło w 1325 r. małżeństwo jego syna i przyszłego króla Polski, Kazimierza, z Aldoną, córką wielkiego księcia litewskiego Giedymina. Jako chrześcijanka przyjęła imię Anna i została królową Polski w 1333 r. Współpraca z Litwą wzmocniła polską ekspansję na wschód. Dla polskiego rycerstwa, a zwłaszcza możnych z Małopolski, okazała się tak owocna, że po śmierci Ludwika Węgierskiego osadzili na tronie Jagiełłę. Jego panowanie zapoczątkowało unię Litwy i Polski. Ale było ono możliwe dzięki wcześniejszym doświadczeniom współpracy i wspomnieniom panowania Anny Giedyminówny.

Podziały i separatyzmy

Z punktu widzenia Piastów ziemie, którymi władali, należały do nich w sposób naturalny. Dlatego mogli się nimi dzielić zgodnie z potrzebami swojej rodziny. Dopiero w późniejszym czasie zaczęła kiełkować idea państwa jako organizacji funkcjonującej niezależnie od prywatnego majątku władcy. Przyszła ona do Polski najpewniej z Czech, dokąd zawędrowała z Zachodu jako myśl o niepodzielnym połączeniu różnych ziem tworzących razem Koronę Królestwa. Zanim jednak doszło do tego w XIV w., Piastowie z dużą swobodą, choć we współpracy z możnymi, dzielili Polskę między żyjących członków swej rodziny. Przez bardzo długi czas nie tracili przy tym poczucia jedności szerszej wspólnoty politycznej.

Jeszcze zanim ziemie Bolesława III Krzywoustego zostały podzielone po jego śmierci w 1138 r. między synów, Piastowie współrządzili Polską co najmniej kilkakrotnie. Władysław Herman miał za swego życia wyznaczyć odrębne dzielnice synom, Zbigniewowi i Bolesławowi. Mieszko II od 1032 r. przez pewien czas zarządzał fragmentem Polski podzielonej na księstwa obok brata Ottona i kuzyna Dytryka. Podział z 1138 r. okazał się jednak dużo trwalszy, a jego skutki głębsze.

Już pierwsze lata jego trwania przyniosły zaskakujący wynik. Najstarszy z braci, Władysław, starał się odsunąć juniorów od sprawowania władzy nad Polską. Jednak skonfliktował się z możnymi i poniósł prestiżową klęskę. Został wygnany wraz z rodziną, a bracia Bolesław Kędzierzawy i Mieszko III ustalili warunki współpracy. Polityczne przywództwo seniora rodu wśród Piastów zakończyło się gdy do władzy w Krakowie doszedł Kazimierz Sprawiedliwy. Nie zamierzał on ustąpić miejsca starszemu Mieszkowi III Staremu. Konsekwencją tego było umacnianie się odrębności poszczególnych księstw, mimo że idea wspólnoty politycznej nie zniknęła zupełnie z horyzontu władców. Tak narodziły się współczesne nam regionalizmy – wielkopolski, krakowski, sandomierski, kujawski, mazowiecki, a w ich obrębie poczucie wspólnoty mieszkańców poszczególnych ziem. Do idei politycznej jedności powracano niechętnie.

Przełomem było przeniesienie na dwory śląskich Piastów idei królewskiej z otoczenia czeskich Przemyślidów. Henryk IV Probus, wychowanek króla Przemysła Ottokara II, nie tylko jednoczył ziemie śląskie i wielkopolskie, uzależniając od siebie krewniaków jako swoich lenników na wzór zachodni. Po zajęciu Krakowa rozpoczął także starania o koronę królewską. Nie zdążył jej założyć, zginął otruty. Jego ideę podjęli długoletni sojusznicy Henryk, książę Głogowa i Przemysł II, władca Wielkopolski, któremu udało się koronować w 1295 r. po zjed-

noczeniu swoich ziem z Pomorzem Gdańskim. I choć następnie korona królewska przeszła w ręce czeskiego władcy, króla Wacława II, to sama idea wspólnoty Królestwa Polski została na trwałe powołana do życia. I wydawać się mogło, że wszystkie ziemie Piastów staną się jej częścią.

Ale sami Piastowie tak nie uważali. Niektórzy odrzucali prawo Przemyślidów do królewskiego panowania nad Polską, inni nie zamierzali uznawać zwierzchności swoich krewnych. W rezultacie Władysław Łokietek jednocząc ziemie piastowskie, objął swoją władzą tylko ich ułamek. Śląscy Piastowie uznawali dominację królów Czech z dynastii Luksemburgów. Ich ziemie w 1348 r. zostały włączone przez Karola IV Luksemburga w skład Korony Królestwa Czech. I choć pamięć o związku z Polską przetrwała na dworach książęcych, to politycznie i gospodarczo, a także kulturowo Śląsk stał się inny niż reszta dawnych ziem piastowskich.

Inaczej potoczyły się losy Mazowsza. Księstwo płockie przez chwilę było lennem króla Czech Jana Luksemburczyka (od 1329 r.). Po jego śmierci uzyskało niezależność, a wkrótce niektóre księstwa stały się lennem Kazimierza Wielkiego. Krok po kroku w czasach Jagiellonów zacieśniała się ich współpraca z Polską aż do przyłączenia całego Mazowsza do Królestwa w 1529 r. Pomimo to Mazowsze zachowało wiele elementów odrębnych od rdzenia Królestwa, to jest ziem Mało– i Wielkopolski. Podobnie wyglądała sytuacja Pomorza Gdańskiego. Od czasu Bolesława Krzywoustego było ono ściśle związane z Polską, choć po 1138 r. od pewnego momentu władzę sprawowała tu lokalna dynastia Sobiesławowiców. Po zjednoczeniu z Wielkopolską pod władzą księcia Przemysła II wydawało się, że Pomorze na trwałe stanie się częścią Królestwa Polski. Jednak niewydolne militarnie panowanie Władysława Łokietka doprowadziło do zajęcia całego regionu przez Zakon Krzyżacki. Umocniło to odrębność ustrojową i administracyjną tych ziem, która przetrwała po przyłączeniu do Królestwa Polskiego w wyniku wojny 1454-1466 r.

Do katalogu decyzji politycznych decydujących o wyłanianiu się odrębności regionalnych niewątpliwie można zaliczyć sprowadzenie Zakonu Krzyżackiego na ziemie Polski. Konrad Mazowiecki podejmując tę decyzję w 1226 r. myślał, że w ten sposób uchroni swoje księstwo przed najazdami pogańskich Prusów, których rycerze zakonni mieli zwalczać. Tymczasem zakonnicy podbili Prusy i ustanowili w nich wydajny model administracji połączony ze świadomą akulturacją podbitych mieszkańców. Agresywnych pogańskich Prusów zastąpili równie agresywni, ale zdecydowanie lepiej zorganizowani Krzyżacy.

Polska, w XI w. jedna organizacja polityczna, w ciągu XII--XIV w. rozpadła się na szereg krain nazywanych dziś regionami. Nie wynikało to tylko z decyzji politycznych. Panowanie Piastów pociągało bowiem ze sobą od samego początku także zmiany kulturowe.

Kulturalne zmiany

Piastom zawdzięczamy największą rewolucję kulturalną w historii Polski. Kiedy Mieszko I zdecydował się przyjąć chrześcijaństwo, określił tym historię swego ludu na ponad tysiąc lat. Nie wiemy dokładnie, jakie były wierzenia Słowian w państwie Mieszka I, ale ich wartość dla władcy była niewielka. Wymienił je na nową religię w zamian za niepewny sojusz polityczny z Czechami przeciw jednemu ze swoich wrogów, Wieletom. Do panowania Bolesława Chrobrego trudno zaobserwować ślady szybkiej rozbudowy Kościoła w kraju czy intensywnego nawracania poddanych. Mieszkowi nie przeszkadzało pogaństwo jego ludzi, dopóki sam był postrzegany jako chrześcijanin przez osoby z zewnątrz. Prawdziwą reformę życia poddanych w duchu chrześcijaństwa wprowadził Bolesław Chrobry. Doprowadził do powstania polskiej prowincji Kościoła z biskupstwami i arcybiskupstwem w Gnieźnie, sprowadził do Polski pierwszych mnichów z Italii, ale przede wszystkim miał osobiście pilnować, by jego poddani przestrzegali moralnej nauki Kościoła.

I choć po śmierci Mieszka II miało dojść do tzw. reakcji pogańskiej i zniszczenia struktur Kościoła przez zwolenników tradycyjnych wierzeń, nie zawróciło to biegu historii. Kazimierz Odnowiciel i kolejni władcy piastowscy dbali o odbudowę sieci biskupstw i budowę właściwej rangi katedry arcybiskupiej w Gnieźnie. Wspierali rozwój kultury chrześcijańskiej, sprowadzając zespoły budowniczych czy importując dzieła sztuki. Od czasu Bolesława Chrobrego Piastowie popierali chrystianizację okolicznych wyznawców rodzimych wierzeń. Do tego stopnia, że w XII w. Polskę widziano jako potencjalny punkt wyjścia do przeciągnięcia na stronę Kościoła rzymskiego wiernych ortodoksyjnego Kościoła Rusi. Te tradycje wydały swój owoc w 2 połowie XIV w., gdy Polacy nie obawiali się sojuszu, więzi dynastycznych, a wreszcie – władcy z rodu wielkich książąt litewskich, którzy dopiero mieli przyjąć chrześcijaństwo.

Decyzja Piastów o wsparciu chrześcijaństwa miała ważkie konsekwencje dla włączenia Polski w świat kultury i cywilizacji Zachodu. Chrześcijaństwo zdefiniowało cele władzy, rolę jednostki i społeczności w ich realizacji, określało wartości decydujące o funkcjonowaniu państwa. Wskazywało więzi łączące różne grupy mieszkańców, a nawet wspierało określone techniki i style artystyczne. Ba! Chrześcijaństwo zaoferowało literalnie uniwersalny język komunikacji elit władzy i ówczesnej myśli – łacinę. Dzięki niemu cała Europa Zachodnia mogła wymieniać się doświadczeniami, współdzielić dyskusje o najistotniejszych zagadnieniach bez konieczności przekraczania barier językowych. Religia chrześcijańska była kluczem do świata cywilizacji rozwijającej tradycje grecko-rzymskie. Piastowie z tego klucza zręcznie skorzystali.

Inni, a przecież swoi

Kraju Mieszka I nie zamieszkiwali Polacy. A przynajmniej nic o tym nie wiemy. Poddani tego władcy mieszkali na terenach, które zasiedlały grupy noszące różne nazwy. Najczęściej nazywamy je plemionami, choć faktycznie niewiele wiemy o ich organizacji społecznej. Pewne jest, że w większości otaczała ich kultura materialna przypisywana Słowianom. Nie ulega jednak wątpliwości, że wśród różnych grup żyjących według podobnych, słowiańskich wzorców kulturowych w kraju Mieszka żyli także „obcy". Ich liczba wzrosła wraz z przyjęciem chrześcijaństwa. Pierwsi ludzie Kościoła mogli przybyć z Czech, ale wkrótce większość stanowili wśród nich mieszkańcy Cesarstwa i krajów romańskich. Przybysze z Zachodu i Południa (Italia) tworzyli również grupy rzemieślników odpowiedzialnych za wznoszenie monumentalnych katedr i pałaców piastowskich władców. Anonim w swojej kronice wśród rzekomych cnót Chrobrego wspominał także troskę o zagranicznych rycerzy na jego dworze. Ten wzór zachowania obserwujemy wśród jego następców. Niektórzy z nich, jak Kazimierz Odnowiciel, Zbigniew czy Władysław Wygnaniec, korzystali z militarnej pomocy rycerstwa niemieckiego czy wojów czeskich, pomorskich lub ruskich w walkach ze swoimi wewnętrznymi wrogami.

Do tej różnojęzycznej mozaiki, skupionej głównie na książęcych dworach, dodać trzeba jeńców przesiedlanych z łupionych terenów na ziemie piastowskie oraz kupców, którzy przynajmniej przez pewien czas przebywali w grodach książęcych. Otwartość na przybyszów wśród Piastów była na tyle duża, że gdy pod koniec XI w. książę czeski postanowił okraść Żydów mieszkających w jego ziemiach, ci w dużej liczbie uciekli właśnie do Polski. Ich pierwsze grupy osiadły w Krakowie zapewne około połowy XI w. Wraz z prześladowaniami antysemickimi



Jan Matejko, Kazimierz I Odnowiciel

na Zachodzie w XII-XIII w. ich liczba rosła, a specjalizacja zawodowa obejmowała nie tylko handel czy działalność finansową. Na dworze Mieszka III Starego odpowiadali za produkcję monet, a w otoczeniu książąt wrocławskich w XIV w. potrafili osiągnąć stanowiska zarządców całego dworu książęcego.

Otwartość Piastów na korzystanie z pracy zagranicznych gości najwidoczniejsza stała się w XIII-XIV w. Przyjęte wówczas przez poszczególne rodziny książęce strategie rozwijania gospodarki własnych księstw zadecydowały o przyszłości Polski. Książęta śląscy najwcześniej zaczęli ściągać do swoich władztw liczne grupy osadników niemieckich. Mieli oni przede wszystkim zakładać ośrodki handlowe i rzemieślnicze nieznane wcześniej w Polsce – miasta na wzór zachodnioeuropejski. Obok nich pojawiali się także osadnicy zasiedlający nowe wsie lub pomagający zmienić ustrój i zakres produkcji dawnych osad słowiańskich. Dodatkowo toczący ze sobą mniejsze i większe wojny domowe władcy potrzebowali nowych rycerzy. I tych, głównie z uboższych rodzin rycerskich, przyciągali z Niemiec obietnicą sowitej zapłaty. Jednym z elementów zachęcających do podróży do Polski było przekształcanie dworów książęcych w ośrodki kultury niemieckojęzycznej.

Inaczej sytuacja rozwijała się w pozostałych księstwach piastowskich. Im dalej na wschód, tym niechęć do ściągania liczniejszych osadników z Zachodu rosła. Polskie rycerstwo i kler polskiego pochodzenia pilnowali swoich przywilejów. Potrafili wywrzeć wystarczająco silną presję na władców, by „goście" nie zdominowali kulturowo ich otoczenia. W rezultacie powstało tam dużo mniej miast niż na Śląsku, i dużo później. Także przemiany organizacji produkcji na wsi przebiegały wolniej i na mniejszą skalę. W miastach można zaobserwować kierunek zmian kulturowych odwrotny, niż na Śląsku – niemieccy przybysze polonizowali się, by lepiej wpisać w kontekst społeczny.

Jedno łączyło cały czas Piastów na Śląsku i w pozostałych księstwach – niechęć do antysemickich prześladowań. Nawet gdy w XV w. były one otwarcie lub skrycie wspierane przez królów czeskich, książęta śląscy utrzymywali w ryzach swoich mieszczan, uniemożliwiając daleko idące ekscesy. Podobnie czynili ostatni Piastowie w Polsce, a baśniowy romans Kazimierza Wielkiego z Żydówką Esterą był symbolicznym wyrazem otwarcia się tego władcy na wieloetniczne otoczenie swego dworu. Kazimierz Wielki był też przykładem władcy, który starał się świadomie włączać elity podbijanych ziem w obręb polskiej kultury swego Królestwa. Z powodzeniem zachęcał możnych Rusi Czerwonej, by weszli w skład arystokracji polskiej, nie gubiąc swej tożsamości kulturowej.

Piastowie przyjmowali różne strategie wobec przybywających z zagranicy gości. Ale w większości przypadków starali się korzystać z ich wiedzy i doświadczenia dla dobra swego skarbu.

Ludzka mądrość

Pierwsze ośrodki gromadzenia wiedzy i kształcenia chętnych powstawały na ziemiach Piastów pod opieką Kościoła. Ale to władcy zabezpieczali ich finanse, fundując klasztory lub dostarczając źródeł dochodów katedrom, kolegiatom, wreszcie – parafiom. Wątpliwe, by zawsze byli świadomi, że osadzając nowych duchownych w klasztorze lub kościele zwiększali potencjał intelektualny i możliwość dostępu do wiedzy swoich poddanych. W końcu sami mieli dwuznaczny stosunek do wiedzy. Jako duchowni diecezjalni biskupi chętniej oddawali się intrygom politycznym i brali udział w konfliktach zbrojnych, niż pogłębiali swoją znajomość najnowszych prądów w filozofii. Ale nie możemy ich nie doceniać. W końcu w dokumencie fundacyjnym opactwa w Lubiążu w 1175 r. książę Bolesław I Wysoki miał deklarować, że ściąga cystersów nie po to, by rozwijać gospodarkę. Osadzał ich na Śląsku, by modlili się i kontemplowali „rzeczy niebiańskie", czyli oprócz liturgii zgłębiali także wiedzę o świecie. Oczywiście, były to słowa, które sami mnisi, pisząc ten dokument, przypisali księciu, ale trudno przyjąć, że on sam był zupełnie nieświadom, co zawierał akt, do którego przykładał swą pieczęć.

Tak jak Piastowie troszczyli się o powstawanie pięknych budowli i dzieł sztuk plastycznych, które miały sławić ich potęgę, tak wybrani spośród nich nie zaniedbywali rozwijania swoich bibliotek. Z pewnością nie był to trend powszechny. Przypisywana Gertrudzie Piastównie w 2 połowie XI w. umiejętność pisania i komponowania modlitw może być poddana w wątpliwość, tym niemniej z pewnością umiała ona czytać i korzystała ze swojego modlitewnika. Podobnie inne Piastówny, które przebywały w klasztorach, uczyły się nie tylko modlić, ale też korzystać aktywnie z pisma. Już w XIII w. córka Henryka Brodatego, Gertruda, jako mniszka w Trzebnicy prowadziła nekrolog swojej rodziny, który następnie przekazała swojej krewniaczce do klasztoru w Owińskach. Cenne rękopisy w XIV w. zamawiali książęta śląscy, traktując je nie tylko ze względu na ich ilustracje, ale też treść (*Żywot św. Jadwigi*) jako pomniki chwały swego rodu. Wreszcie, Piastowie byli opiekunami i sponsorami powstawania kronik opisujących dzieje ich rodu i ludu piórem uczonych duchownych, począwszy od Anonima zwanego Gallem w początkach XII w. po Piotra z Byczyny w 2 połowie XIV w.

Bez wątpienia jednak najważniejszym osiągnięciem dynastii w zakresie wspierania rozwoju nauki w ich władztwach było powołanie przez Kazimierza Wielkiego Akademii Krakowskiej. Ironią losu jest, że ten pierwszy polski uniwersytet zwany jest dziś Jagiellońskim, choć ufundował go Piast, a decydującą rolę w odnowie odegrała królowa Jadwiga Andegawenka, w której żyłach płynęła także piastowska krew. Powstanie w Krakowie uczelni wyższej tuż po powołaniu pierwszego uniwersytetu w Europie Środkowej w Pradze wprowadzało Kazimierza do grona władców doceniających najnowsze trendy w kulturze i dbających o modernizację swego władztwa.

Piastowie, wbrew powszechnej intuicji, nie przestali rządzić swoimi państwami w 1370 r., gdy umarł Kazimierz Wielki. Dwa

wieki zasiadali na tronie mazowieckim, ponad trzy wieki sprawowali swe godności na Śląsku. I zwłaszcza ci ostatni wykazywali wielkie zainteresowanie wspieraniem edukacji, ale dopiero po kolejnej rewolucyjnej zmianie, jaką w XVI w. wywołała Reformacja. To wtedy książę legnicki Fryderyk II postanowił ufundować protestancki uniwersytet w swojej stołecznej Legnicy. Z inicjatywy książąt powstają także protestanckie gimnazja, szkoły oferujące edukację przygotowującą do kształcenia uniwersyteckiego w Złotoryi, Kożuchowie czy Brzegu. Książęta dawali też przykład swojej szlachcie, rozwijając biblioteki i wspierając stypendiami uczących się na zagranicznych uniwersytetach.

Długo rządzić i być bogatym

Piastowie troszczyli się o stan swojego skarbu. Władza i jej godne sprawowanie były podstawowymi celami przyświecającymi każdemu z nich. Dynasta bez władzy, nawet bajecznie bogaty, czuł się niespełniony. Dlatego kariera kościelna nie pociągała ich szczególnie, a jeśli już się na nią decydowali, to, jak Konrad IV Oleśnicki (1380-1447), zarządzali biskupstwami jak książęta. Albo nie rezygnowali z książęcych uprawnień jak Wacław I Legnicki (1348-1419). Ale sprawowanie władzy to rzecz kosztowna. Utrzymanie dworu, wspieranie Kościoła, obdarzanie przywilejami i nadaniami rycerstwa – wszystko to pustoszyło majątek władcy. A gdy jeszcze do tego wypadało płacić wynagrodzenie żołnierzom zaciąganym na czas wojen, widmo bankructwa wisiało nad głowami w książęcych mitrach.

Piastowie korzystali w takiej sytuacji z trzech podstawowych rozwiązań. Pierwszym było łupienie sąsiadów i sprzedaż pozyskanych łupów. Tak mogło zwłaszcza funkcjonować państwo Mieszka I, gdy handel niewolnikami był niezmiernie dochodowy. Za czasów Chrobrego to źródło przychodów wyschło, jeńców raczej osiedlano jako chłopów. Wciąż, wraz z rabunkiem kosztowności, było to opłacalne. Ale był to ryzykowny biznes. Przegrane wojny podważały możliwości płatnicze władcy, a wraz z nimi – wierność wojowników. Przekonał się o tym Mieszko II, który po klęskach militarnych musiał uciekać z kraju.

Drugim wyjściem było jednoczesne zaciąganie pożyczek i wzmożony nacisk na pobieranie danin, opłat, podatków, by móc je spłacić. Elementem takiej polityki było psucie monety kruszcowej, to jest bicie kolejnych serii monet z coraz mniejszą ilością kruszcu i wpuszczanie ich w obieg z formalną wartością lepszej monety. Różnica w zawartości kruszcu w monetach była czystym zyskiem władcy, ale stratą poddanych. Ta dewaluacyjna polityka miała zatem krótki żywot, bo prowadziła do utraty zaufania wobec władzy i jej pieniądza. Mogła też doprowadzić do wybuchów niezadowolenia poddanych. Przekonał się o tym Mieszko III, przeciwko któremu zbuntowali się Mało– i Wielkopolanie w 1177-1179 r., właśnie zarzucając mu naganne praktyki ekonomiczno-fiskalne.

Trzecim, najtrudniejszym wyjściem w obliczu rosnących kosztów sprawowania władzy było znaczące podniesienie stałych przychodów z dóbr władcy. Czasami książęta, jak Mieszko III, Henryk IV Probus czy Kazimierz Wielki, próbowali po prostu odzyskać dochody przejęte przez możnych lub Kościół. Ale to rzadko kończyło się sukcesem, zawsze oznaczało wieloletnie konflikty i zazwyczaj prowadziło do kompromisu, który nikogo nie zadowalał. Zdecydowanie lepszym rozwiązaniem było dokonanie głębokich zmian w funkcjonowaniu gospodarki księstw, by ziemia przyniosła większe dochody skarbowi książęcemu, ale jednocześnie by reformy pozwalały bogacić się poddanym.

To ryzyko na dużą skalę podjęli książęta śląscy. Począwszy od ostatniej ćwierci XII w., gdy reformy gospodarcze rozpoczął Bolesław Wysoki, przez Henryka Brodatego, jego syna Henryka Pobożnego i kolejnych władców XIII-XIV w. przez Śląsk przetoczyła się wielka fala przemian gospodarczych. Z jednej strony powołano do życia gęstą sieć miast i miasteczek, w których rzemieślnicy produkowali wyspecjalizowane, wysokiej jakości wyroby. Chłopi zyskiwali lepsze narzędzia i więcej czasu na obróbkę roli, książę – podatki płacone przez rzemieślników. W miastach dokonywano też wymiany towarów między chłopami i mieszczanami, co włączało chłopów w gospodarkę pieniężną. Książę otrzymywał podatki od handlarzy miejskich, ale przede wszystkim pieniądz stawał się powszechnym miernikiem wartości, zastępując czynsze płacone w naturze, które nie dawały wiele szans na inwestowanie przychodów chociażby w zaciągi nowych rycerzy. Nowe technologie upraw i większa liczba osadników napływających z Zachodu pozwoliły też tworzyć nowe osady na dotychczas trudnych w uprawie terenach. To też zwiększało przychody władców i właścicieli ziemi. W rezultacie tych wysiłków bogactwo księcia było ściśle związane z bogaceniem się jego poddanych.

Zmiany, jakie zaszły na Śląsku, gruntownie zmieniły ten region, zwłaszcza jego środkową i północną część. W pozostałych częściach ziemi piastowskiej zmiany przebiegały wolniej i na mniejszą skalę. Skutki tego widzimy do dzisiaj, patrząc na mapę. Nadal utrzymuje się różnica w gęstości sieci miejskiej, a w konsekwencji – w stopniu industrializacji ziem polskich. Choć najłatwiej przypisywać te różnice zaborcom, to korzenie tego zróżnicowania tkwią głębiej w przeszłości. I w znacznym stopniu odpowiadają za nie Piastowie.

Od rycerstwa do szlachty

Bodaj najbardziej rozpoznawalną cechą polskiego społeczeństwa przedindustrialnego była znacząco większa niż w innych społecznościach Zachodu liczebność szlachty. Badacze mogą się spierać, czy stanowiła ona 7% czy 10% nowożytnej ludności Królestwa Polskiego, podczas gdy na Zachodzie wynosiła zazwyczaj 1-2% ogółu ludności. Za tę swoistą inflację godności szlacheckiej w dużej mierze odpowiadali Piastowie.

Geneza polskiej szlachty, w tym jej liczebności, jest jednym z najżywiej dyskutowanych tematów w naszej historiografii. Jak wyglądało przejście od niewielkiej liczby wojów two-



Jan Matejko, Bolesław II Szczodry

rzących drużynę pierwszych Piastów do liczącego setki tysięcy członków stanu szlacheckiego? Za kluczowy moment uznaje się czasy podziałów dzielnicowych, które wymusiły głęboką reformę organizacji militarnej Piastów. Po drużynie dawno nie było już śladu. Wojowie tworzyli w początku XII w. wyspecjalizowaną grupę, do której powoli przenikał zachodni obyczaj rycerski (np. pasowanie na rycerza). Nie była to jednak grupa liczna, a wielu z nich było słabo wyposażonych.

Rekrutowani z całego kraju i wspierani przez książąt Polski wojowie mogli wspólnie tworzyć armię wystarczającą do obrony i pewnych zdobyczy terytorialnych. Ale gdy dziedzictwo Piastów zostało podzielone na małe księstwa, sytuacja się pogorszyła. Szczególnie gdy w XIII w. uzbrojenie tak obronne, jak i zaczepne zaczęło być coraz skuteczniejsze, ale też coraz droższe. Rywalizujący ze sobą Piastowie potrzebowali coraz liczniejszych armii. Grupy wojów tworzących przyboczne chorągwie księcia okazały się zbyt skromne. Piastowie wybrali dwie odmienne strategie odciskające się bardzo mocno na przyszłości władanych przez nich wspólnot. Władcy Śląska postanowili wykorzystać do celów militarnych gości z Zachodu. Doprowadziło to do głębokiej zmiany kulturowej i etnicznej społeczności Śląska, ale nie zwiększyło zasadniczo liczebności warstwy rycerskiej. Przybysze przynieśli ze sobą między innymi poczucie wyjątkowego etosu swojej grupy społecznej, co doprowadziło do stosunkowo szybkiego zamknięcia się na przełomie XIII/XIV w. stanu rycerskiego. Grupa zamożnych wojów, która nie weszła w odpowiednim momencie do otoczenia książąt, lecz oddała się zajęciom gospodarskim, utraciła możliwość wstępu do uprzywilejowanego stanu.

W pozostałych regionach Polski proces reorganizacji rycerstwa przebiegł inaczej. Otworzono możliwość awansu społecznego mieszkańcom księstw. Dotychczasowi wojowie drugiej kategorii, zamożni włościanie biorący od czasu do czasu udział w wyprawach wojennych, zyskali szansę na specjalizację i dołączenie do ścisłej elity dworu książęcego. Ich status materialny nie uległ wielkiej zmianie, ale włączono ich do grona pełnoprawnych wojowników książąt. W rezultacie, gdy grupa rycerstwa wywalczyła sobie przywileje obejmujące wszystkich jej członków, jej liczebność okazała się dużo większa niż na Śląsku. Siła bojowa członków tak zróżnicowanego majątkowo stanu była zapewne niższa niż wyspecjalizowanego rycerstwa śląskiego. Gdy przyszło rycerstwu zmierzyć się z dobrze wyszkolonymi i nowocześnie wyposażonymi wojskami Zakonu Krzyżackiego, okazało się, że poziom jego sprawności i uzbrojenia nie dorównywał wrogom.

Kazimierz Wielki świadomie zawarł pokój z Zakonem i ostatecznie także z królem Czech. Zdawał sobie sprawę, że nie dysponuje armią mogącą stawić czoła rycerzom uzbrojonym i wyszkolonym według zachodnich wzorców. Mógł natomiast z powodzeniem rozwijać ekspansję w kierunku wschodnim, odnotowując tam powodzenie. Liczebność i głębokie rozwarstwienie szlachty, z dużą liczbą ubogich członków stanu, to także dziedzictwo inżynierii społecznej Piastów.

Piastowie promotorami demokracji?

System politycznej równowagi między władzą królewską i reprezentantami szlachty, który z biegiem czasu zapewni przewagę tym ostatnim i przejdzie do historii jako ustrój demokracji szlacheckiej, jest najlepiej rozpoznany w nowożytnej historii Polski. Ale miał swe korzenie w średniowieczu. I nie bez przyczyny bujnie rozwinął się w Królestwie Polskim, podczas gdy na Śląsku znaczenie samorządu szlacheckiego było ograniczone. Czy oznacza to, że samodzielnie sprawujący rządy Piastowie wspierali zamiłowanie swoich poddanych do samorządu? I jeśli z tego rezygnowali, to tylko pod naciskiem obcych monarchów? Nie jest to aż tak oczywiste.

Bez wątpienia Piastowie nie lubili się dzielić władzą. Jednak zmuszeni okolicznościami podejmowali decyzje, które ograniczały ich władzę na rzecz poddanych, ale w zamian pozwalały utrzymać się na tronach. To nie byłoby możliwe, gdyby rycerze nie czuli się blisko związani ze „swoimi" książętami i wytrwali w wierności wobec nich. Tradycja nie odgrywała tu roli decydującej. Najważniejsze było żywe odczucie, że Piastowie gwarantowali rycerstwu udział we władzy w księstwie i uprzywilejowaną względem mieszczan pozycję.

Od akceptacji istnienia samorządu szlachty do funkcjonowania demokracji szlacheckiej jako systemu politycznego droga była jednak daleka. I książęta śląscy nie zamierzali na nią wejść. Wspierali samodzielność szlachty tak długo, jak długo pomagała im ona uzyskiwać wystarczające dochody podatkowe i nie przejmować się wewnętrznymi problemami poddanych. Bo demokracja była dobra dopóty, dopóki służyła książętom.

To, że na Śląsku książęta mogli sobie pozwolić na bardzo bezpośrednie traktowanie żądań szlachty, wynikało z tradycyjnego w tej gałęzi rodu Piastów wstrzemięźliwego podejścia do rezygnacji z silnej pozycji władcy. Nie przypadkiem śląscy książęta w XIII-XIV w. regularnie wymieniali elity na swoich dworach. Z jednej strony pozwalali większej liczbie rodzin szlacheckich wiązać się z dworem książęcym, z drugiej zabezpieczali się w ten sposób przed umocnieniem pozycji zamożniejszych przedstawicieli rycerstwa. W Wielkopolsce, a zwłaszcza w Małopolsce sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Tutaj już od XII w. możni odgrywali znaczącą rolę w czasie wyboru władcy. Tyle że istniała zasadnicza sprzeczność między dominacją możnych zainteresowanych umacnianiem monopolu na kształtowanie polityki władców a aspiracjami średniozamożnej szlachty do przejęcia kontroli nad określonymi sferami życia gospodarczego i politycznego w księstwach.

Wraz ze wzrostem liczebności rycerstwa w księstwach piastowskich rósł nacisk tej grupy na władców, by wydawali przywileje obejmujące wszystkich przedstawicieli wojowniczej elity. W rezultacie najszybciej wyodrębnili się oni jako stan mający własne normy prawne. Gdy u schyłku XIII i w 1. połowie XIV w. nadszedł czas jednoczenia księstw przez Henryka Probusa, Przemysła II i wreszcie Władysława Łokietka, to głos całego rycerstwa danej ziemi okazywał się decydujący w czasie wyboru władcy. Piastowie w centralnych i wschodnich księstwach odmawiali decydującego dla zmian społecznych wsparcia mieszczaństwu, a w zamian angażowali się we wsparcie politycznej aktywności rycerstwa. I gdy ich zabrakło Piastów na tronie Królestwa Polskiego, ich następcy musieli aktywnie zabiegać o wsparcie szlachty dla przeprowadzenia swoich zamiarów politycznych. W konsekwencji przywilejów nadanych stanowi rycerskiemu przez Ludwika Węgierskiego, Władysława Jagiełłę i Kazimierza Jagiellończyka pozycja polityczna średniozamożnej szlachty została ugruntowana.

Na dłuższą metę mechanizm uprzywilejowania jednej grupy społecznej okazał się dla Polski zabójczy. Jednak przez kilka wieków pozwalał Polakom cieszyć się z funkcjonowania monarchii uwzględniającej w sprawowaniu władzy najliczniejszą w nowożytnej Europie grupę poddanych.

Również dzięki Piastom

Ostatecznie wszyscy jesteśmy dziećmi Piastów. To oni zbudowali nam ramy kultury, życia politycznego, a nawet wyznaczyli kierunki myślenia o funkcjonowaniu społeczeństwa i gospodarki. Wiele problemów i osiągnięć zawdzięczamy tym dumnym książętom i księżniczkom sprzed wieków. Polska nie musiała zaistnieć. Do życia powołali ją Piastowie.

Prof. dr hab. Przemysław Wiszewski jest historykiem mediewistą. Pracuje w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii i Archiwistyki Instytutu Historii Uniwersytetu Wrocławskiego

Paweł Kawalerski

Litteris et Artibus?

Granice interdyscyplinarności

Jednym z kluczowych osiągnięć nauk systemowych jest wprowadzenie uniwersalnej terminologii, która ułatwia komunikację między specjalistami z różnych dziedzin .Dzięki temu stała się ona pomostem między naukami szczegółowymi, z którymi dzieli konkretność problematyki, a naukami abstrakcyjnymi, które łączy z nią ogólny charakter analizowanych zagadnień .

W dzisiejszej nauce występuje podział na nauki abstrakcyjne (formalne) i nauki realne (konkretne). Nauka tak podzielona, nazwijmy ją wczorajszą, stała się sumą odgraniczonych od siebie monodyscyplin, wytwarzających na potrzeby własne niezbędną terminologię, metodologię i traktujących przypisany sobie zakres rzeczywistości jako własny teren, poza który samemu się nie wychodzi i na który innych się nie wpuszcza.

Gdyby zapytać ludzi przywykłych do struktury nauki wczorajszej, kto odpowiada za bezpieczeństwo w mieście, zapewne większość wskazałaby na policję. Ale to niepełna odpowiedź. O bezpieczeństwo dbają również strażacy, ratownicy medyczni, inżynierowie projektujący stabilne budynki i mosty, informatycy chroniący systemy przed cyberatakami, prawnicy opracowujący przepisy oraz nauczyciele uczący dzieci zasad ruchu drogowego i pierwszej pomocy itd. Nie można też zapomnieć o mieszkańcach, którzy zgłaszają zagrożenia i stosują się do zasad bezpieczeństwa. Słowem, mamy tu do czynienia z koncentrycznym uderzeniem wielu specjalności w ten przykładowy problem bezpieczeństwa.

Powyższy przykład jest problemem multidyscyplinarnym, którego rozwiązywanie wymaga współdziałania specjalistów z różnych monodyscyplin oraz konieczność komunikacji i uzgadniania wspólnych kwestii, co sprzyja konfrontacji terminologii, pojęć, metod oraz problemów charakterystycznych dla każdej z dyscyplin. Niejednokrotnie okazywało się jednak, że sztywne rozgraniczanie nauk ma charakter dość sztuczny, a z pozoru nawet odległe od siebie monodyscypliny mają wspólne mianowniki za które uznać należy tożsame ze sobą problemy. Występują zatem między monodyscyplinami podobieństwa, których — wskutek różnic terminologicznych i braku zainteresowania cudzą problematyką — przedtem nie dostrzegano. Odkryto na przykład, że przepływ ciepła w ciałach stałych można opisać tymi samymi równaniami, które stosuje się do dyfuzji substancji w cieczach i gazach. Dzięki temu metody matematyczne rozwinięte w jednej dziedzinie mogły zostać bezpośrednio zastosowane w drugiej, wystarczyło jedynie dostrzec analogię i odpowiednio przełożyć pojęcia. Podobnie ekonomiści analizujący mechanizmy podaży i popytu oraz fizycy zajmujący się dynamiką gazów początkowo nie zdawali sobie sprawy, że modele matematyczne opisujące cząsteczki gazu można odnieść do zachowań rynkowych. Okazało się, że fluktuacje cen i liczby transakcji podlegają podobnym zasadom statystycznym, co umożliwiło zastosowanie metod fizyki statystycznej do analizy rynków finansowych.

Takie doświadczenia stały się impulsem do przenoszenia gotowych rozwiązań z jednych monodyscyplin do innych, następnie zaś doprowadziły do zrozumienia potrzeby rozwiązywania problemów interdyscyplinarnych, tj. tak ogólnych i ścisłych, że otrzymane wyniki mogłyby być wykorzystywane w wielu różnych monodyscyplinach. Stąd już prosta droga prowadziła do idei nauki interdyscyplinarnej, interdyscypliny. Jako tego rodzaju przykład powstała w XX wieku np. inżynieria systemów, cybernetyka i inne nauki systemowe, nazywane również naukami kompleksowymi.

Prawdziwa klarowność

Jednym z kluczowych osiągnięć nauk systemowych jest wprowadzenie uniwersalnej terminologii, która ułatwia komunikację między specjalistami z różnych dziedzin. Dzięki temu stała się ona pomostem między naukami szczegółowymi, z którymi dzieli konkretność problematyki, a naukami abstrakcyjnymi, które łączy z nią ogólny charakter analizowanych zagadnień. Ma to istotne znaczenie praktyczne. Wiele problemów dotyczących złożonych systemów, takich jak ludzkie zachowania instrumentalizowane poprzez różne urządzenia, wcześniej nie poddawało się ścisłej analizie ze względu na ich nieregularność i złożoność. Inżynieria systemów umożliwiła jednak ich matematyczne opracowanie poprzez identyfikację kluczowych czynników i pominięcie elementów mniej istotnych, co pozwoliło na dostrzeżenie regularności i zastosowanie metod ilościowych do ich rozwiązywania.

Nic dziwnego, że do badania różnych aspektów rzeczywistości powstało wiele odrębnych dziedzin nauki, natomiast do analizy współzależności między nimi wystarczy jedna interdyscyplinarna nauka. W tym kontekście można powiedzieć, że nauki systemowe pomagają zintegrować rozdrobnioną wiedzę, przywracając jej spójność. Dzięki systemowemu ujęciu nawet złożone zjawiska można przedstawić w przystępny spo-

sób. Dawni uczeni również postrzegali świat jako prosty, lecz wynikało to z ograniczonej wiedzy. Dziś ta prostota jest efektem świadomego wyodrębnienia kluczowych zasad i mechanizmów. To różnica między uproszczeniem wynikającym z braku wiedzy, a prawdziwą klarownością wynikającą z jej głębokiego zrozumienia.

Dzięki swojej ogólności nauki systemowe pozwalają na znacznie szybsze znalezienie rozwiązań wielu problemów, niż byłoby to możliwe w ramach poszczególnych, wyspecjalizowanych dziedzin nauki. Jeszcze ważniejszą ich zaletą jest zdolność do identyfikowania i rozwiązywania problemów o charakterze ogólnym, które w wąsko wyspecjalizowanych dyscyplinach mogłyby pozostać niezauważone lub nierozwiązywalne. Właśnie do tej kategorii należą zagadnienia dotyczące bezpieczeństwa, z którymi nauki o bezpieczeństwie i inżyniera systemów radzą sobie różnie, być może dlatego, że w ramach tych dyscyplin rozwiązanie pewnych problemów nie jest możliwe.

W nauce następują jeszcze inne zmiany. Okazuje się, że choć zdrowy rozsądek wystarcza w przypadku problemów monodyscyplinarnych, które dotyczą fragmentarycznych i łatwo wyobrażalnych konkretów, nie jest on już wystarczający w przypadku zagadnień interdyscyplinarnych. Choć one również opierają się na konkretnych zjawiskach, ich złożoność i różnorodność sprawiają, że można jedynie wyobrażać sobie pojedyncze przykłady.

Rozwiązywanie takich problemów wymaga stosowania ogólnych pojęć teoretycznych. Ponieważ zdrowy rozsądek nie wystarcza w rozumowaniu na tym poziomie, konieczne staje się poleganie na operacjach formalnych albo półformalnych. Oznacza to, że poprawność uzyskanego wyniku ocenia się na podstawie prawidłowości wykonanych operacji. Zdrowy rozsądek może natomiast pomóc w ocenie zgodności tego wyniku z rzeczywistymi przykładami.

Z tego względu rozwiązywanie problemów interdyscyplinarnych często wymaga wykorzystania matematyki. Jednakże narzędzia matematyczne są użyteczne jedynie w odniesieniu do zmiennych dających się wyrazić na skalach ilościowych. Tymczasem wiele zagadnień interdyscyplinarnych opiera się na kategoriach, których nie można sprowadzić do liczb. W takich sytuacjach precyzję rozumowania można osiągnąć jedynie poprzez zastosowanie operacji logicznych. Matematyka pozwala wykazać poprawność obliczeń, ale nie potwierdza prawdziwości twierdzeń, do tego celu konieczne jest odwołanie się do logiki.

W rezultacie pojawiła się potrzeba narzędzi formalnych do rozwiązywania problemów. To zapotrzebowanie doprowadziło do powstania i rozwoju np. logiki matematycznej, cybernetyki społecznej, inżynierii systemów, logiki informacyjno-relacyjnej, notacji BPMN, UML, SysML, które pozwalają zapanować nad zorganizowaną złożonością, czyli nad stawianiem i rozwiazywaniem problemów poznawczych i decyzyjnych dla systemów antropotechnicznych.

Cztery poziomy wartości

Nie od rzeczy będzie też zaznaczyć, że w różnych dziedzinach nauki działają różni ludzie, w tym również tacy, którym się tylko wydaje, że uprawiają naukę interdyscyplinarną. Sprawia to, że nie wszystko, co się przedstawia jako interdyscyplinarne, jest na jednakowym poziomie. Traktując sprawę z grubsza, można by wyróżnić następujące cztery poziomy wartości rzeczonej interdyscyplinarności.



Rys. Sławomir Makal

Na zerowym poziomie znajduje się **interdyscyplinarność pseudonaukowa**. Polega ona na przedstawianiu spraw niejasnych wybranymi narzędziami badawczymi, np. schematami, wzorami, obliczeniami, mającymi stwarzać pozory, że dzięki „ujęciu systemowemu", „ujęciu matematycznemu" sprawy te zostały wyjaśnione. Rzecz jasna, takie uprawianie nauki jest pozbawione wartości, ponieważ pod płaszczykiem interdyscyplinarności i „nowoczesności ujęcia" stara się przemycać mierne rezultaty badań i przedstawiać je jako zupełnie nowe, oryginalne, znaczne i istotne, które dotychczas nie są znane z żadnej monodyscypliny. Eklektyzm ma swoje granice. Patchworkizm naukowy to wyraz mętniactwa, które do niczego szczególnego nie prowadzi i można się jemu oddawać dowolnie długo i za dowolnie duże precjoza, nie wywierając żadnego wpływu na świat.

Kolejny poziom, to **interdyscyplinarność dydaktyczna**. Jest czymś zupełnie innym, ponieważ polega na przedstawianiu niejasnych kwestii za pomocą narzędzi systemowych. Choć ta forma działania nie przyczynia się do wzrostu wiedzy, to jednak precyzyjność, zwięzłość i klarowność metod systemowych znacznie ułatwiają przyswajanie istniejącej wiedzy, co jest istotne w pracy oświatowej.

Jednak w działalności naukowej, która ma na celu poszerzanie wiedzy poprzez wprowadzanie nowych informacji, samo przedstawianie istniejącej wiedzy nie jest wystarczające. Nowe informacje powinny być wskazane i wyprowadzone na gruncie teoretycznym samej tej dziedziny poprzez zastosowanie abstrakcyjnych operacji dowodowych (**interdyscyplinarność formalna**). Nawet jeśli wyniki uzyskane w tej dziedzinie są już znane z innych monodyscyplin, to wprowadzenie ich w kontekście interdyscypliny stanowi nową informację. Ich wartość naukowa polega na tym, że uzyskane niezależnie stanowią potwierdzenie odkryć w innych dziedzinach i tworzą dla nich interdyscyplinarne podstawy.

Abstrakcyjne udowodnienie pozwala na stwierdzenie możliwości, ale jeżeli coś może być, to niekoniecznie jest. **Interdyscyplinarność konkretna** (realna), oprócz formalnych związków logicznych, musi brać pod uwagę prawa fizyczne. Dopiero spełnienie postulatu pewności epistemologicznej ujawnia konieczności. Stwierdzenie konieczności jest zarazem stwierdzeniem rzeczywistości — jeżeli coś musi być, to jest.

Różnice między formalnym, a realnym rozwiązaniem problemu można objaśnić następującym prostym przykładem z teorii systemów działania. Każdy obiekt może znajdować się w stanach przeciwstawnych, a mianowicie: a) istnienia – nieistnienia; b) trwania w gotowości – trwania w niegotowości; c) trwania w aktywności – trwania w bierności. Procesy przechodzenia między tymi przeciwnymi stanami polegają na: a) unicestwieniu – ożywieniu; b) utracie gotowości – uzyskiwaniu gotowości; b) utracie gotowości – uaktywnieniu.

Na podstawie tych założeń można wyróżnić osiem stanów obiektu, lecz tylko cztery będą możliwe (realne). Na przykład obiekt, który nie istnieje, nie może być w stanie gotowości ani aktywności, ponieważ te stany zakładają istnienie obiektu. Podobnie jak poprzednio obiekt, który nie istnieje, nie może być w stanie gotowości lub bierności. Również obiekt, który nie istnieje, nie może być w stanie aktywności lub gotowości. Jest to podobne do sytuacji, w której dwie osoby nie mogą zjeść tego samego ciastka. Na przykład przez lornetkę może oglądać coś albo jedna, albo druga osoba, ale nie obie równocześnie.

Cztery obszary problemów

W odniesieniu do problematyki interdyscyplinarnej trzeciego i czwartego poziomu pojawiają się liczne opory, które mają różne źródła. Specjaliści w wąskich dyscyplinach nauki są przyzwyczajeni do pracy z konkretnymi obiektami, które często mogą obserwować w praktyce. W związku z tym ogólne pojęcia stosowane w interdyscyplinie, które są bardziej abstrakcyjne, mogą wydawać im się niejasne, co prowadzi do ich oporu wobec takiego uprawiania nauki. Dodatkowo, dla specjalistów, którzy używają głównie literackiego języka opisu, jak to ma miejsce w większości tradycyjnych monodyscyplin, nawet sama zmiana terminologii z jednej dyscypliny na inną stanowi wyzwanie, choć jest to jedynie zmiana w obrębie tej samej struktury językowej. Większym problemem jest natomiast konieczność przyswojenia zupełnie nowych środków wyrażania pojęć, jak wzory matematyczne, logiczne, schematy, wykresy, notacje, których zrozumienie i opanowanie wymaga pewnego wysiłku.

Występują także opory emocjonalne. Kiedy problemy, nad którymi specjaliści z różnych monodyscyplin pracowali bez większego sukcesu, zostają rozwiązane w interdyscyplinie w sposób szybki i trafny, często bez odwoływania się do wcześniej zgromadzonych danych, naukowcy z tych monodyscyplin mogą poczuć, choć niesłusznie, że przyjęcie takich rozwiązań oznacza deprecjację wartości ich własnej dyscypliny oraz zanegowanie wieloletnich osiągnięć.

Jest to jednak nieporozumienie. Sukcesy intersdyscyplin są możliwe jedynie w odniesieniu do problemów o odpowiedniej ogólności, które w ramach monodyscyplin wymagają przejścia przez gąszcz szczegółów zgromadzonych przez lata pracy. W kwestiach szczegółowych natomiast to monodyscypliny pozostają niezastąpione.

Osoby, które odczuwają opory wobec jakichś zagadnień, zazwyczaj nie podejmują próby ich bliższego zrozumienia. W związku z tym wielu ludzi wyraża opinie na temat interdyscyplinarności, mając jedynie powierzchowną wiedzę „ze słyszenia". Często ich ulubionym zajęciem jest tworzenie przypuszczeń na temat tego, czym jest interdyscyplinarność, podczas gdy rzadko przychodzi im do głowy, by zapytać o to samych systemowców.

Można powiedzieć, że holizm epistemologiczny jest już nie tylko modnym hasłem, ale staje się wręcz dla społeczeństw warunkiem istnienia i rozwoju. Zmiany dokonujące się obecnie w nauce dotyczą następujących węzłowych zagadnień: traktowania rzeczywistości w całości zamiast we fragmentach, uprawiania problematyki interdyscyplinarnej, uprawiania problematyki multidyscyplinarnej, rozszerzenia problematyki abstrakcyjnej oraz dążenia do uogólniania problemów.

Struktura nauki jutrzejszej, nowoczesnej, zarysowuje się wobec tego jako obejmująca cztery obszary problemów: problemy abstrakcyjne (rozwiązywane w matematyce i logice), problemy konkretne interdyscyplinarne (rozwiązywane np. cybernetyce, inżynierii systemów), problemy konkretne multidyscyplinarne (rozwiązywane we współdziałaniu różnych monodyscyplin), problemy konkretne monodyscyplinarne (rozwiązywane w poszczególnych monodyscyplinach).

W nauce dzisiejszej istnieje jeszcze nauka wczorajsza, ale już zaczyna istnieć nauka jutrzejsza, co umożliwia ich konfrontację. Konfrontację, pozostaje mieć nadzieję, owocną, prowadzącą do postępu, weryfikacji dotychczasowej wiedzy i uznania holistycznej wizji świata.

Tekst opracowałem na podstawie pracy Mariana Mazura pt .*Cybernetyka i charakter* oraz własnej obserwacji i eksperymentów uczestniczących .

Navigare necesse est!

Dr Paweł Kawalerski, Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie, sekretarz Rady Dyscypliny Naukowej „Nauki o Bezpieczeństwie" WAT

Marek Wroński

Problemy trzech przyjaciół

Cz. I

To smutna historia osobistej klęski trzech krakowskich naukowców, których po latach „dogonił" błąd z czasów naukowej młodości .To także opowieść o utraconej i złamanej przyjaźni trzech zdolnych socjologów, pracujących w Instytucie Studiów Europejskich Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie .

Dr Marcin Galent (ur. 1972) jest adiunktem zatrudnionym w Zakładzie Badań nad Zmianami Społecznymi w Europie (kierownik: dr hab. Jan Brzozowski, prof. UJ). Po skończeniu studiów socjologicznych w 1998 r. dostał się na studia doktoranckie, które odbywał w latach 1999-2005 w Katedrze Europeistyki UJ. Jego mentorem i promotorem, zarówno magisterium, jak i doktoratu, był prof. Zdzisław Mach (ur. 1954), wybitny europeista, socjolog i antropolog społeczny. Dysertację doktorską *Integracja w Unii Europejskiej. Proces definiowania progu tolerancji na przykładzie społeczeństwa angielskiego* Marcin Galent obronił na Wydziale Filozoficznym UJ w końcu października 2006 r. Recenzentami byli: prof. Krystyna Iglicka-Okólska z Uniwersytetu Warszawskiego oraz prof. Krystyna Slany z UJ w Krakowie. Doktorat na temat opinii brytyjskiego społeczeństwa wobec „obcych" (imigrantów) został wysoko oceniony i był na czasie, gdyż Polska właśnie (maj 2004 r.) dołączyła do Unii Europejskiej. Trzeba podkreślić, że doktorant pod koniec studiów doktoranckich spędził prywatnie około dwóch lat w Anglii, gdzie miał m.in. dostęp do Biblioteki Uniwersytetu w Cambridge.

W tym czasie jego bliskim kolegą był Paweł Kubicki (ur. 1973), również absolwent socjologii UJ i doktorant prof. Zdzisława Macha, który dysertację doktorską obronił o rok wcześniej od M. Galenta. Dawny promotor miał o obu swoich doktorantach bardzo dobrą opinię jako o błyskotliwych młodych ludziach, którzy mają możliwość osiągnięcia sukcesów naukowych. Obaj byli zatrudnieni w Instytucie Europeistyki i opublikowali siedem wspólnych artykułów, większość po angielsku, którym dr Galent dobrze włada. Zdobywali też wspólnie granty. Ich wieloletnia przyjaźń załamała się nagle w 2012 r.

Muszę dodać, że wcześniej, około roku 2007, do tego tandemu dołączył też trzeci naukowy „muszkieter", dr Dariusz Niedźwiedzki (ur. 1962). Ten absolwent studiów ekonomicznych (1986) i socjologii (1988), mimo, że był od nich starszy o prawie 10 lat, doktorat obronił w 1996 r., również pod promotorstwem prof. Z. Macha. Obaj znali go jeszcze z zajęć studenckich, gdy był asystentem. Po zbliżonej czasowo obronie doktoratów ich dotąd luźne kontakty zacieśniły się, szczególnie między dr. Galentem a dr. Niedźwiedzkim. Ten ostatni wprowadził kolegę w swoje belgijskie projekty naukowe, czego efektem była książka *Migration and Europeanisation* autorstwa M. Galenta, I. Goddeerisa i D. Niedźwiedzkiego, wydana we wrześniu 2009 r. w Krakowie. Niedźwiedzki habilitował się w marcu 2011 r. na podstawie monografii *Migracje i tożsamość. Od teorii do analizy przypadku*. Z kolei Kubicki swój awans na samodzielnego pracownika nauki osiągnął sześć lat później, w 2017 r., na podstawie dorobku naukowego i monografii *Wynajdywanie miejskości. Polska kwestia miejska z perspektywy długiego trwania*, Nomos, 2016.

Trzej dobrzy koledzy pracowali wtedy w Katedrze Kultury i Społeczeństwa Europy, której kierownikiem był prof. Z. Mach. Później, po reorganizacji, powstał Zakład Badań nad Zmianami Społecznymi w Europie, do którego przeszedł dr Galent, a kierownikiem został dr hab. Dariusz Niedźwiedzki. Ten ostatni był także od 2014 r. kierownikiem Jagiellońskiego Centrum Studiów Migracyjnych UJ. Z kolei prof. Mach w latach 2004-2012 był dyrektorem Instytutu Europeistyki, zaś w latach 2016-2019 dziekanem Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ. Dziś pracuje jako profesor zwyczajny w Katedrze Społeczeństwa i Kulturowego Dziedzictwa Europy (kierownik: dr hab. Magdalena Góra, prof. UJ). Zatrudniony jest tam także dr hab. Paweł Kubicki, prof. UJ.

Załamanie się przyjaźni i współpracy

Rozdźwięk między Kubickim a Galentem pojawił się mniej więcej półtora roku po publikacji prawie 100-stronicowego raportu *Nowi mieszczanie w nowej Polsce*, co miało miejsce w maju 2011 r. Publikację jako dzieło zlecone za sumę 4000 złotych, przygotował dr Paweł Kubicki. Ponieważ praca miała powstać na podstawie projektu badawczego „RECON – Reconstituting Democracy in Europe", nad którym obaj wspólnie pracowali w latach 2008-2011, to Kubicki od razu zaproponował Galentowi wspólne jej napisanie. Jednak ten odmówił, tłumacząc się poważnymi problemami zdrowotnymi, co było prawdą. Praca była terminowa, dlatego ciężar analizy zgromadzonych przez obydwu badaczy wywiadów socjologicznych spadł na barki Kubickiego. Gotowy raport był przesłany do dr. Galenta, który też mailowo został poinformowany, że wydawcą będzie Instytut Obywatelski. Ten wówczas nie zaprotestował. Raport Kubickiego był szeroko dyskutowany w mediach i cieszył się zainteresowaniem.

Zapytany o przyczyny „naukowego rozwodu" w 2013 roku dr Galent odpowiedział, że jego zdaniem dane te (czyli treść anonimowych wywiadów – MW) sprzedane zostały przed zakończeniem projektu badawczego. Jego zdaniem, „sprzedaż podmiotowi politycznemu (czytaj: Platformie Obywatelskiej, której ramieniem eksperckim jest Instytut Obywatelski – MW) wiązała się ze złamaniem podstawowych reguł etycznych w badaniach społecznych. Chodzi o tzw. «poinformowaną zgodę» respondentów. Każdy z nich został zapewniony, że ich wywiady nie będą wykorzystywane w celach politycznych i/lub komercyjnych. Wywiadów udzielali liderzy różnych środowisk politycznych, a potem dowiedzieli się, że PO użyła ich do własnych celów". Dalej Galent mówi: „Byłem wtedy osobą w pełni apolityczną i nie życzyłem sobie, żeby PO robiło z mojej pracy agitację polityczną". Trzeba dodać, że dr Galent obecnie jest członkiem Partii Razem.

Bezpośrednią pochodną tej sprawy była wrogość, uwidaczniana w wypowiedziach na forum instytutu, skargach uczelnianych i procesach sądowych, które dr Marcin Galent wytaczał dr. Pawłowi Kubickiemu. Konsekwencją ostateczną będzie prawdopodobnie poważne nadszarpnięcie kariery naukowej trzech byłych dobrych kolegów.

Pierwszy cios

Konkurs NCN „Opus 3" ogłoszono w połowie marca 2012 r., kiedy stosunki między kolegami były jeszcze poprawne. Zgłosili więc razem wniosek grantowy zatytułowany „Migracje i europeizacja. Budowanie tożsamości europejskiej w perspektywie instytucjonalnej i interakcyjnej". Kierownikiem 28-miesięcznego projektu, wycenionego na 188 tys. Zł, został Marcin Galent. Głównymi współwykonawcami mieli być P. Kubicki i D. Niedźwiedzki. Jednak wczesną wiosną 2013 r. sytuacja w Instytucie Europeistyki była już tak napięta, że obaj, ale niezależnie od siebie, wycofali się z projektu. Ze względu na kłopoty zdrowotne kierownika grant znacznie skrócono i 1/3 pieniędzy wróciła do NCN.

Wtedy właśnie do ówczesnego rektora UJ, prof. Wojciecha Nowaka, wpłynęła skarga Galenta, zarzucającego Kubickiemu naruszenie jego praw autorskich, poprzez fakt opublikowania raportu *Nowi mieszczanie w nowej Polsce*. Skarżący utrzymywał, że nie wyraził zgody na opublikowanie raportu opartego na wspólnych wynikach badań przez Instytut Obywatelski, będący w rzeczywistości jednostką ściśle związaną z partią polityczną. Podniósł ponadto, że tekst powstał na podstawie niepełnego materiału empirycznego, zaś jego autor czerpie korzyści finansowe z tej publikacji.

Rektor skierował sprawę do rzecznika dyscyplinarnego, którym wtedy był prof. dr hab. Fryderyk A. Zoll (ur. 1970), znany i ceniony cywilista. Przesłuchiwany Kubicki podkreślił, że na publikację raportu otrzymał ustną zgodę od M. Galenta, a przed publikacją przesłał mu plik z raportem. Zaznaczył, że „w tekście podał skarżącego jako współautora



Rys. Sławomir Makal

danych wyjściowych, stanowiących podstawę do zawartego w raporcie opracowania". W toku swych działań rzecznik dyscyplinarny ustalił, że dr Galent był mailowo informowany w dniach 13 kwietnia oraz 3 czerwca 2011 r. o tym, kto będzie wydawcą. Stwierdził też, że „opracowanie dr. Kubickiego stanowi monografię opartą o wspólnie prowadzone badania z dr. Galentem. Fakt ten został wyraźnie zaznaczony w treści pracy. Nie można podzielić zapatrywania, jakoby utwór ten był składnikiem większego utworu wynikającego z prowadzonego wspólnie projektu. Każdy uczony ma prawo do opisu i wyprowadzania wniosków z istniejących badań, zwłaszcza jeżeli wyraźnie zaznacza, kto te badania przeprowadził i do jakich doszedł rezultatów. Ten wymóg w przedstawionej pracy jest spełniony. […] W takim wypadku nie można twierdzić, że opracowanie to sprzecznie z prawem wykorzystuje dane z projektu". Dalej rzecznik wskazał, że „opis wyników badań jest chroniony prawem autorskim, ale nigdzie nie wskazano, aby dr Kubicki posłużył się opisem naruszając prawa autorskie. Zaznaczone odmiennym kolorem wypowiedzi są objęte prawem cytatu i do nich odnosi się zawarty na str. 34 przypis 7". Prof. F. Zoll podkreślił też, iż „Fakt publikacji utworu w instytucji związanej z partią polityczną nie może być uznany za sprzeniewierzenie się niezależności akademickiej. Rozstrzygająca jest treść i rzetelność publikacji. […] W świetle zgromadzonego materiału można przyjąć, że dr Galent nie kwestionował do czasu publikacji jej miejsca. Dr Kubicki mógł zatem założyć, że dr Galent godzi się z taką publikacją. Dr Kubicki szeroko informował dr. Galenta o publikacji, przesyłając linki i maile, na które ten odpowiadał. Twierdzenie, że nie czytał ich dokładnie, wynikające z zeznań dr. Galenta, nie może obciążać dr. Kubickiego". Z kolei proponowane przez skarżącego propozycje ugody, (które przedstawiam poniżej jako punkty A do E – MW) włączone do akt, w opinii prof. F. Zolla, nie mogą być przyjęte przez nauczyciela akademickiego.

Dodam, że wspomniana „ugoda" to raczej ultimatum wyrażone w emailu M. Galenta z 3 VI 2013 r. do P. Kubickiego, aby ten: A. na 5 lat zaprzestał wszelkiej współpracy z podmiotami politycznymi; B. na 5 lat zaprzestał aktywności medialnej; C. rozpoczął od nowa prace nad habilitacją i nie wszczął procedury habilitacyjnej przed upływem 5 lat; D. wypłacił odszkodowanie, którego wysokość obliczy prawnik M. Galenta; E. wystosował przeprosiny zredagowane przez tegoż prawnika. Całość zobowiązań zostałaby podpisana u notariusza, a w zamian dr Galent wycofa wszystkie zarzuty dyscyplinarne oraz z sądu.

Rzecznik odmówił wszczęcia dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego, uznając iż „fakt publikacji opracowania «Nowi mieszczanie w nowej Polsce» przez dr. P. Kubickiego nie stanowi naruszenia praw autorskich dr M. Galenta, a także nie stanowi naruszenia zwyczajów akademickich". Prof. F. Zoll próbował, we współpracy z ówczesnym dziekanem i rektorem, pogodzić dawnych przyjaciół, jednak te wysiłki okazały się bezskuteczne.

Po rezygnacji dwóch kolegów z pracy nad grantem dr Galent został z nim sam. Grant został skrócony z 28 do 12 miesięcy i 65 tys. zł (1/3 wartości) zwrócono. Rozliczono go publikacją jednego rozdziału w książce *European Atomization or Integration. Transborder aspects of (multi)pedagogy*, którą w roku 2015 wydało angielskie wydawnictwo Cambridge Scholars Publishing.

Drugi cios

Kolejna, tym razem cywilna sprawa sądowa z powództwa dr. M. Galenta zaczęła się w krakowskim Sądzie Okręgowym w listopadzie 2014 r. i do dziś czeka na rozstrzygnięcie w Sądzie Najwyższym. Dotyczy zarzutu naruszenia praw autorskich przez dr. Pawła Kubickiego. Opis tego sądowego sporu wydaje się ważny dla wszystkich nauczycieli akademickich, którzy publikują wspólnie z kilkoma współautorami, a później chcieliby wykorzystać „swoją" część napisanego artykułu.

Otóż dr Marcin Galent odkrył, że w rozdziale 5.4 pt. *Potęga dyskursu. Miasto labirynt i miasto palimpsest* wydanej w 2010 r. książki dr. P. Kubickiego *Miasto w sieci znaczeń. Kraków i jego tożsamości* znajdują się obszerne fragmenty ich wspólnego rozdziału. Ten został opublikowany po angielsku także w 2010 r. w wydanej w Oslo książce pt. *Collective Identity and Democracy. The Impact of EU Enlargment*. Redaktorami byli: dr Magdalena Góra i prof. Zdzisław Mach, a pozycja opublikowana była jako pokłosie badań RECON. Tytuł wspólnego rozdziału Galenta i Kubickiego brzmiał: *An invisible Revolution. How the Urban way of life is transforming the identities of Poles*. Fragmenty kilkunastu stron zostały przetłumaczone na polski i bez cudzysłowu umieszczone we wspomnianej książce Kubickiego.

Podobny zarzut został wystosowany w stosunku do artykułu P. Kubickiego *Miasto palimpsest i miasto labirynt. Przykład współczesnego Wrocławia i Krakowa*, który ukazał się w książce *Między rutyną, a refleksyjnością. Praktyki kulturowe i strategie życia codziennego* (Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2012) pod redakcją dr. hab. Tomasza Maślanki i dr. Konstantego Strzyczkowskiego.

Paweł Kubicki tłumaczył się, że większość fragmentów angielskiego rozdziału przygotowanego wspólnie z M. Galentem w pierwszych dwóch wersjach tekstu napisał samodzielnie. Utrzymywał też, że ze względu na długi proces twórczy tekst polski do jego rozdziału książkowego powstał wcześniej. Sędzia Zygmunt Drożdżejko, który prowadził ten długi, bo sześcioletni proces ustalił jednak, że tekst angielski powstał jako pierwszy i miał cztery wersje, a trzecia, która powstała na początku lutego 2009 r., i czwarta są bardzo zbliżone. Obaj autorzy oświadczyli przed sądem, że te dwie wersje to ich wspólne dzieło. Z kolei polska książka Kubickiego została wysłana do wydawcy na przełomie maja i czerwca 2010 r. Artykuł angielski był także prezentowany na konferencji w maju 2010 r., a do Oslo celem druku przesłano go w czerwcu. Ponieważ na podstawie badania stylu i języka przez biegłych, dr Magdalenę Szczyrbak oraz dr. hab. Jana Rybickiego, prof. UJ, nie dało się dokładnie ustalić, jak powstawał artykuł i kto jest jego faktycznym autorem, to „pozwany cytując wspólny artykuł stron, nie wskazując źródła, dopuścił się osobistego naruszenia prawa autorskiego powoda w postaci prawa do autorstwa dzieła". Jednak pozwany nie naruszył, zdaniem Sądu, praw autorskich powoda poprzez zmianę kolejności nazwisk w powoływanym artykule: tj. zamieniając „M. Galent, P. Kubicki" na „P. Kubicki, M. Galent". Zdaniem sędziego Z. Drożdżejki, „prawo autorskie nie reguluje tego w jakiej kolejności mają być wskazywane nazwiska autorów we wspólnym dziele, w których nie ma wyodrębnionych części, którą kto napisał. Prawo autorskie nie nadaje jakiejś szczególnej roli temu na której pozycji jest wskazywany twórca – ważne jest aby był wskazany".

Z tym poglądem bym polemizował. Prawo autorskie wymaga, aby przytaczać autorów w takiej kolejności, w jakiej podali swoje autorstwo w cytowanym dziele. To wypływa bezpośrednio z prawa do oznaczenia autorstwa (art. 16 pkt. 2 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych). Dlatego autorstwo utworu trzeba oznaczać tak, jak zadecydowali twórcy. Przecież dla każdego autora ma duże znaczenie, czy jest wskazany jako pierwszy, środkowy, czy ostatni współautor, zaś

kolejność może sugerować znaczenie wkładu intelektualnego do utworu. Z tego powodu w świecie akademickim nieprawidłowe podanie kolejności współautorów jest traktowane jako naruszenie reguł poprawnego cytowania.

Wyrok

W wyroku I Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Krakowie z 8 kwietnia 2020 r. sędzia Zygmunt Drożdżejko uznał winnym dr. Pawła Kubickiego. Nakazano mu – zgodnie z żądaniem pozwu – wystosowanie listu do dr. Marcina Galenta ze stwierdzeniem m.in., „że artykuły P. Kubickiego zawierają obszerne fragmenty wcześniejszej publikacji. […] Zapożyczone fragmenty nie zostały w żaden sposób oznaczone we wskazanych moich publikacjach, co stanowi naruszenie autorskich praw osobistych współautora – dra Marcina Galenta. W związku z czym przepraszam p. dr. Marcina Galenta". Identyczny list powinien zostać przesłany na ręce rektora UJ oraz dyrektora Instytutu Europeistyki UJ. Z kolei w podobnym piśmie do obydwu wydawców: krakowskiego i warszawskiego, jest żądanie, aby kopię listu włożyć do każdego niesprzedanego jeszcze egzemplarza, jak i zawiadomić biblioteki, które kupiły książkę, aby ksero pisma na stałe włożyć do posiadanego egzemplarza jako erratę. Koszty sądowe i procesowe zostały podzielone po połowie, gdyż część innych żądań powoda oddalono bądź sam je wycofał, m.in. to, że P. Kubicki naruszył jego prawa przez wykorzystanie tez badawczych i wniosków ze wspólnego artykułu. Uzasadnienie wyroku liczy ponad 100 stron maszynopisu i zawarto w nim dwie konkordancje zapożyczeń. Obaj adwersarze w maju 2020 r. odwołali się od tego wyroku do Sądu Apelacyjnego. Ten wyrokiem z 8 lutego 2022 r. oddalił obie apelacje, a koszty sądowe wzajemnie zniósł.

Dr hab. Paweł Kubicki w końcu maja 2022 r. złożył skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego w Warszawie. W skardze napisano, że w toku procesu w Sądzie Okręgowym on jako pozwany podnosił, iż był wyłącznym autorem warstwy merytorycznej angielskiego artykułu. Powód, dr Galent, odpowiedzialny był za korektę językową, tj. za dokonanie tłumaczeń i poprawianie gotowego tekstu pod względem gramatycznym. Dlatego ani Sąd Okręgowy, ani Sąd Apelacyjny nie zbadały twórczego udziału M. Galenta w powstanie trzeciej i czwartej wersji artykułu. On sam też tego nie udowodnił. Kasacja została przyjęta i czeka na rozpatrzenie.

Na moje konkretne pytanie, jak wyglądał pierwszy i drugi draft tego angielskiego artykułu, prof. Kubicki napisał: „Te raporty powstawały jak «matrioszki» (szczegóły są w mojej krakowskiej apelacji). W przypadku dwóch pierwszych byłem wyłącznym autorem. Pierwsza wersja powstała po polsku (bez cytatów z wywiadów), druga wersja była już po angielsku, gdzie to ja tłumaczyłem wywiady i tekst z polskiego na angielski, pierwotnie opracowany i napisany po polsku w powstającej mojej książce. Dopiero po decyzji prof. Macha, że raporty będą publikowane w Oslo, dopisałem nowe fragmenty w trzeciej wersji. Dopiero wtedy Marcin Galent dopisał swoją część (ok 25% całości). Zrobił też korektę gramatyczną całości, w tym moich tłumaczeń zasadniczego tekstu. I to on ostateczną wersję wysłał do kierownika projektu, prof. Macha. To w czwartej wersji, poprawianej językowo przez dr. Galenta, który wtedy o wiele lepiej niż ja znał angielski, nastąpiła zmiana kolejności współautorstwa, do której nie przywiązałem wówczas wagi. W trzech pierwszych wersjach widnieję jako pierwszy autor, podobnie jak na innych sprawozdaniach z prac tego grantu. Wtedy byliśmy jeszcze bliskimi, wprost nierozłącznymi przyjaciółmi. Był nawet taki okres, że Marcin ok. 8-9 miesięcy mieszkał u mnie, gdyż z dnia na dzień stracił swoje locum".

W międzyczasie były prowadzone też różne inne sprawy dyscyplinarne i mobbingowe, których „ofiarą" był raz jeden, raz drugi z adwersarzy. Brak tu miejsca na ich opis.

Trzeci cios – w drugiego kolegę

Jesienią 2020 r. Paweł Kubicki kandydował na stanowisko dyrektora Instytutu Europeistyki UJ i dostał w tajnym głosowaniu Rady Instytutu olbrzymie poparcie, mimo krytycznych wypowiedzi M. Galenta, pełniącego wówczas funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Zakładowego Związku Nauczycielstwa Polskiego w UJ (grudzień 2017 – grudzień 2022). Ten także pod koniec kwietnia 2020 r. poinformował pisemnie rektora UJ o plagiacie Kubickiego. Prorektor ds. kadrowych, prof. Piotr Jedynak (obecny rektor), od razu polecił wszcząć postępowanie wyjaśniające, ale jego pismo „szło" cały miesiąc. Rzecznik dyscyplinarny, dr hab. Izabela Lewandowska-Malec, wszczęła je dopiero po wakacjach, 29 września 2020 r. Zawiesiła jednak to postępowanie 5 grudnia 2022 r. (po 27 miesiącach) ze względu na złożoną przez Kubickiego kasację do Sądu Najwyższego. Tymczasem przepisy ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce nakazują zakończyć postępowanie wyjaśniające w ciągu 6 miesięcy.

W związku z brakiem rozstrzygnięcia co do zarzucanego deliktu dyscyplinarnego rektor UJ, prof. Jacek Popiel odmówił powołania P. Kubickiego na dyrektora instytutu. Osobą głośno popierającą Kubickiego był ustępujący po dwóch kadencjach dyrektor Instytutu Europeistyki, dr hab. Dariusz Niedźwiedzki, prof. UJ, który objął funkcje prodziekana ds. kadrowych i finansowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych oraz był wiceprzewodniczącym Rady Dyscypliny Socjologia UJ w kadencji 2019-2022 r.

Jak napisał mi dr Galent, jego przyjacielskie stosunki z prof. Niedźwiedzkim „popsuły się po tym jak zataił on przed Radą Instytutu, że Kubicki ma wyrok sądu za plagiaty i przeforsował go na dyrektora instytutu. No a potem wyszło, że popełnił plagiat na moją szkodę". I dodał, że o odkryciu nierzetelności w monografii habilitacyjnej Niedźwiedzkiego poinformował go w końcu września 2020 r. Ten jednak zaprzeczał, dlatego późną jesienią M. Galent rozmawiał na temat tego plagiatu z prof. Pawłem Laidlerem, który objął stanowisko dziekana Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych.

Sprawa dla prof. Laidlera była przykra, bo D. Niedźwiedzki został właśnie prodziekanem w jego ekipie dziekańskiej, poza tym cieszył się jego szacunkiem jako zdolny i prężny naukowiec z ciekawymi pomysłami badawczymi. Jednak dowody były jednoznaczne: w monografii habilitacyjnej D. Niedźwiedzkiego pt. *Migracje i tożsamość: od teorii do analizy przypadków*, wydanej w 2010 r. przez Zakład Wydawniczy Nomos, widniało ponad 15 stron tekstu, który został z dużą dokładnością przetłumaczony z książki *Migration and Europeanisation*, której współautorami oprócz M. Galenta byli dr Idesbald Goddeeris (ur. 1972), belgijski slawista, profesor historii Katolickiego Uniwersytetu w Leuven, oraz Dariusz Niedźwiedzki. Zdaniem później powołanej biegłej, dr hab. Justyny Ożegalskiej-Trybalskiej, prof. UJ, angielski tekst na stronach 45-83 owej książki jest wyłącznego autorstwa dr. Galenta. Znalazł się on bez odniesienia na stronach 236-250 habilitacji D. Niedźwiedzkiego. Na moje zapytanie M. Galent odpowiedział: „ja najpierw napisałem tekst po polsku, a potem – po akceptacji Darka – oddałem do tłumaczenia. On do monografii zapewne korzystał z polskiej wersji".

Jak się nieoficjalnie dowiedziałem, Marcin Galent zażądał bezwzględnej rezygnacji Niedźwiedzkiego ze wszystkich stanowisk w uczelni, a w zamian obiecał nie upubliczniać tego plagiatu. Na prywatnym spotkaniu mediacyjnym późną wio-

sną 2021 r. u dziekana P. Laidlera prodziekan Niedźwiedzki w obecności dr. Galenta uznał swoją winę i zobowiązał się do rezygnacji z zajmowanych stanowisk i wycofania się z działalności medialnej. Honorowo dotrzymał obietnicy i we wrześniu 2021 r., ku zdziwieniu współpracowników, „z powodów prywatnych" podał się do dymisji ze wszystkich stanowisk uczelnianych.

Tym niemniej 6 czerwca 2022 r. dziekan P. Laidler skierował pismo do prorektora UJ P. Jedynaka informujące, że uzyskał opinię biegłej, Justyny Ożegalskiej-Trybalskiej, profesora z Zakładu Prawa Przemysłowego UJ, o naruszeniu praw autorskich w monografii D. Niedźwiedzkiego. Przekazał też drugą opinię, sporządzoną przez mecenas Dominikę Kordas-Tarcholik na prywatny wniosek dr. Galenta, „jednocześnie prosząc o podjęcie stosownych procedur". Pierwszego lipca 2022 r. rzecznik dyscyplinarny Szymon Tarapata, profesor z Zakładu Prawa Karnego Wykonawczego UJ, wszczął postępowanie wyjaśniające, które zakończył w zgodzie z przepisami w ciągu sześciu miesięcy.

We wniosku dyscyplinarnym z 8 grudnia 2022 r. wniósł o ukaranie prof. D. Niedźwiedzkiego karą nagany z obniżeniem wynagrodzenia o 10% na pół roku, jak również wnioskował o nieprzeprowadzanie postępowania dowodowego. W uzasadnieniu prof. Tarapata stwierdził, że obwiniony przyznał się do winy i wyjaśnił, że popełnił błąd, złożył wniosek o dobrowolne poddanie się karze, przeprosił dr. Galenta, który mu wybaczył. Podkreślił, że prof. Niedźwiedzki zrezygnował także ze wszystkich funkcji uniwersyteckich. Wymienię je poniżej, gdyż lista jest imponująca: ze stanowiska prodziekana, z funkcji wiceprzewodniczącego Rady Dyscypliny Socjologia, z kierowania Jagiellońskim Centrum Studiów Migracyjnych i ze stanowiska kierownika Zakładu Badań nad Zmianami Społecznymi w Europie. Spowodowało to utratę wielu dodatków i wymierną stratę finansową. Rzecznik jednak podkreślił: „Trudno zaś uwierzyć, iż doświadczony naukowiec, którym jest pracownik naukowy, sporządzający rozprawę habilitacyjną, nie wie, że zawierający twórcze wnioski fragment dzieła sporządzony w całości przez jedną osobę na podstawie jej pomysłów i przemyśleń, stanowi naruszenie praw autorskich. Okoliczności te muszą prowadzić do wniosku, że obwiniony dobrze wiedział, co czyni i dopuścił się zarzuconego mu czynu umyślnie i z zamiarem bezpośrednim".

Orzeczenie dyscyplinarne wydał 25 stycznia 2023 r. Zespół Orzekający Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej w składzie: przewodnicząca dr hab. Agnieszka Barczak-Oplustil, adiunkt w Katedrze Prawa Karnego UJ, dr hab. Daniel Wilczak, prof. UJ, dyrektor Instytutu Informatyki i Matematyki Komputerowej oraz mgr fizjoterapii Marcelina Kościołek z Collegium Medicum, w kadencji 2019-2021 przewodnicząca Samorządu Studenckiego, a w chwili rozprawy studentka ostatniego roku prawa. W ocenie Komisji nie budziło „najmniejszych wątpliwości, że kara nagany wraz z obniżeniem wynagrodzenia o 10% przez okres 6 miesięcy orzeczona za zachowanie, którego obwiniony dopuścił się 13 lat temu, stanowi wyraźny sygnał dla społeczności akademickiej, że przywłaszczenie sobie fragmentów cudzego utworu nie tylko jest nieetyczne, ale i nieopłacalne oraz wiąże się z dolegliwymi konsekwencjami".

Orzeczenie stało się prawomocne, o czym 12 maja 2023 r. rzecznik Tarapata powiadomił prorektora Jedynaka. Jednocześnie jednak zwrócił uwagę, że jest „konieczność wszczęcia procedury przewidzianej w art. 225 w zw. z art. 194 i 195 Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce, czyli wznowienia postępowania w sprawie nadania stopnia doktora habilitowanego".

Pracując nad artykułem, w ciągu kilku ostatnich miesięcy, trzykrotnie prosiłem prof. D. Niedźwiedzkiego o komentarz, ale bez rezultatów.

(Dalszy ciąg zdarzeń zostanie opisany w kolejnym numerze.)

Marekwro@gmail.com

Dr hab .Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego .
Zajmuje się patologią nauki od połowy 1997 roku .

Sprostowanie

W zawiązku z opublikowaniem w numerze 3/2025 miesięcznika „Forum Akademickie" artykułu autorstwa Marka Wrońskiego pt. *Pokrzywdzeni pozbawieni praw*, wskazuję, że zawiera on nieprawdziwe treści, a przytoczone w artykule przyczyny odmowy udzielenia informacji publicznej przez SGGW, w tym udostępnienia dokumentacji nie zakończonego prawomocnie postępowania dyscyplinarnego, są niepełne i wprowadzają w błąd odbiorcę treści artykułu.

Nie są prawdziwe następujące informacje dotyczące Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie:

Autor artykułu nie jest uprawniony do otrzymania informacji zawierającej żądane przez niego dokumenty z postępowania dyscyplinarnego w trybie informacji publicznej aż do prawomocnego zakończenia tego postępowania. Rektor SGGW, po otrzymaniu wniosku, poinformował red. Marka Wrońskiego, iż w trakcie trwającego postępowania do akt postępowania dyscyplinarnego mają dostęp jedynie osoby wymienione przez przepisy kodeksu postępowania karnego (art. 156 par. 1, 5 i 5a w zw. z art 305 ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. prawo o szkolnictwie wyższym i nauce). Wnioskodawca do kręgu osób uprawnionych ww. przepisem nie należy. Złożona przez red. Marka Wrońskiego na takie stanowisko skarga do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie została prawomocnie odrzucona postanowieniem tego sądu z dnia 28 października 2024 r. sygn. II SAWa 1294/24. Zatem to nie „blokada informacyjna" stanowiła powód, dla którego Autor nie pozyskał żądanych dokumentów z postępowania dyscyplinarnego, a przepisy proceduralne.

Również wskazani przez Autora w artykule „inni zainteresowani profesorowie SGGW", nie należąc do kręgu osób uprawnionych, nie mieli prawa do otrzymania treści orzeczenia komisji dyscyplinarnej wraz z jego pisemnym uzasadnieniem. Interes prawny i faktyczny w otrzymaniu orzeczenia musi wynikać z przepisów obowiązującego prawa, a nie z subiektywnego przekonania autora artykułu, które w tym przypadku było błędne.

Prof. dr hab. Michał Zasada, rektor SGGW

Zbigniew Drozdowicz

Akademicka odwaga

Byłem opiniodawcą rozprawy habilitacyjnej, która nie budziła u mnie szczególnego zachwytu, jednak habilitantka miała taką profesorską „obstawę", że komisja uznała jej osiągnięcie za wybitne i przegłosowała zgłoszenie go do nagrody rektorskiej .Z całą pewnością nie da się powiedzieć o tej habilitantce, że była „jeźdźcem bez głowy" .

W wielu sytuacjach życiowych odwaga jest nie tylko warunkiem osiągnięcia sukcesu, ale także przetrwania najpoważniejszych zagrożeń i zachowania stanu posiadania albo przynajmniej poniesienia stosunkowo najmniejszych strat. Problem nie tylko w tym, że trzeba się na nią zdobyć, ale także w tym, że trzeba ją dostosować do istniejących okoliczności. Nie inaczej jest z akademicką odwagą.

Odwaga „bez głowy"

Określenie „jeździec bez głowy" stanowi na tyle uniwersalną metaforę, że może mieć zastosowanie również w akademickim życiu. Takim „jeźdźcem" może być zarówno początkujący w swoim fachu akademik, jak i taki, który już stosunkowo długo praktykuje, ale nie opanował jeszcze na tyle sztuki wspinania się po szczeblach akademickiego awansu, że w lepszym wariancie „drepcze w miejscu", a w gorszym musi szukać innego miejsca zatrudnienia. W przypadku osób przygotowujących rozprawę doktorską takie następstwa może mieć zarówno podanie w wątpliwość naukowych kwalifikacji promotora i potencjalnych recenzentów, jak i pominięcie ich osiągnięć w wykazie bibliograficznym. Bywają promotorzy i recenzenci nie specjalnie wrażliwi na punkcie swojej naukowości, jednak są stosunkowo nieliczni. Wielu jest natomiast takich, którzy ocenę rozprawy doktorskiej zaczynają od sprawdzenia, jak są w niej reprezentowani. Niektórzy z kolei źle znoszą krytykę, która pojawia się w nawet mniej oficjalnych wystąpieniach doktorantów. Znam przypadek promotora, któremu „życzliwi" donieśli, że jego doktorant w prywatnych rozmowach wypowiada się o nim lekceważąco. Zapamiętał to sobie i później zwalczał delikwenta wytrwale, również wtedy, gdy ten był już profesorem tytularnym i zrobił nie tylko akademicką, ale i polityczną karierę. Na poziomie ubiegania się o stopień doktora habilitowanego wprawdzie nie ma już formalnie promotorów, ale są recenzenci i członkowie komisji habilitacyjnych, którzy mogą wyrządzić habilitantowi sporą przykrość. Znam przypadek habilitanta, który odważył się w swojej rozprawie pominąć milczeniem osiągnięcia naukowe jednego z członków komisji habilitacyjnej. Na szczęście jego głos nie był głosem większości, poczuł się jednak na tyle dotknięty, że zapowiedział, iż pojawi się na posiedzeniu rady dyscypliny naukowej, na którym rozpatrywana ma być sprawa nadania stopnia naukowego i przekona gremium do swojej negatywnej opinii. Ostatecznie jednak nie chciało się mu podróżować przez pół Polski ani wziąć zdalny udział w posiedzeniu.

Można oczywiście zapytać: a co z odwagą w podejmowaniu poważnych problemów i stawianiu śmiałych hipotez? Zdaniem Karla R. Poppera to one w największym stopniu przyczyniają się do postępów w nauce. Rzecz jasna pod warunkiem, że są możliwe do rozstrzygnięcia i podejmie się próby wyeliminowania tych w największym stopniu obciążonych błędami. Taka odwaga również się zdarza w różnych naukach, ale w niektórych częściej niż w innych. W naukach społecznych i humanistycznych łatwiej jest się narazić na śmieszność odważnymi, ale mocno wątpliwymi hipotezami niż w naukach ścisłych i przyrodniczych. Dotyczy to nie tylko początkujących uczonych, ale także doświadczonych, nawet o sporym uznaniu w środowisku akademickim. Przykładem może być chociażby Zygmunt Freud. Ten austriacki psycholog jest uznawany za „ojca założyciela" psychologii analitycznej. Jej podstawowe założenia przedstawił on w opublikowanej w 1901 r. książce pt. *Psychopatologia życia codziennego*. W jej świetle struktura psychiczna składa się z id, ego i superego. Istnieje w niej również libido, które zawiera zseksualizowane zasoby energii generujące erotyczne więzi oraz emocje (takie jak miłość i nienawiść, oraz poczucie winy). Do śmierci Freud utrzymywał, że „psychoanaliza jest częścią psychologicznej nauki o umyśle" i „ma specjalne prawo do tego, aby stanąć w obronie naukowego światopoglądu". Natomiast Adolf Grünbaum w książce pt. *Podstawy psychoanalizy* twierdzi, że jest ona „egzegetycznym mitem «mylnego scjentycznego samorozumienia»", a freudowska teoria kliniczna to „pasożytujące na nauce filozoficzne spekulacje". Krytycznie opiniuje ją również australijski psycholog Malcolm Macmillan. W książce pt. *Freud oceniony* stwierdza, że



Rys. Sławomir Makal

„metoda Freuda nie jest w stanie dostarczyć obiektywnych danych dotyczących procesów psychicznych ani też nie ma potencjalnych wartości dla tych, którzy chcieliby przekształcić psychoanalizę w możliwą do przyjęcia dyscyplinę historyczną lub humanistyczną". Rzecz jasna, są również psycholodzy, którzy nie tylko uznają naukową wartość metody Freuda, ale także stosują ją w swojej klinicznej praktyce. Tak czy inaczej Freud to Freud i warto przynajmniej poważnie przeanalizować plusy i minusy przyjmowanych przez niego założeń oraz formułowanych na ich bazie hipotez.

Wielu jest też „jeźdźców bez głowy", którzy mają odwagę nazywać siebie psychologami klinicznymi i pobierać za swe usługi spore pieniądze, a gdy trzeba naprawdę udzielić pomocy, to na nic się nie przydaje ich akademicki dyplom. W swoim czasie głośna była sprawa poznańskiego seksuologa, który został postawiony przed sądem i skazany za molestowanie seksualne. Rzecz jasna nie oznacza to, że nie ma profesjonalnych seksuologów, którzy potrafią trafnie rozpoznać przyczyny problemów swoich pacjentów i zalecić im właściwą terapię.

Odwaga „z głową"

Wprawdzie każdy rodzi się z głową, jednak niewielu ma głowę do zabezpieczenia się przed zagrożeniami życia i środowiskowego funkcjonowania. Na ogół do uzyskania takich zdolności potrzebna jest pomoc rodzicieli i opiekunów. W akademickim życiu taką rolę pełnią m.in. promotorzy rozpraw magisterskich i doktorskich. Trzeba jednak umieć wybrać takich, którzy zechcą się nami zaopiekować, a przy tym potrafią bardziej pomóc niż zaszkodzić. Zdarzają się bowiem nadopiekuńczy promotorzy, którzy widząc nieporadność swoich podopiecznych, rozwiązują za nich problemy badawcze i wspaniałomyślnie pozwalają im podpisać się pod rozprawami. Są jednak również promotorzy o wysokich wymaganiach, a jeśli podopieczni ich nie spełniają, to muszą szukać sobie innego opiekuna. Muszą to jednak robić z głową. Rzecz jasna, takie „główkowanie" nie kończy się na doktoracie. Na poziomie rozprawy habilitacyjnej jest nawet trudniejsze, bowiem trzeba się liczyć z większą i bardziej zróżnicowaną liczbą opiniodawców. Dla chcącego to jednak nic trudnego. Byłem opiniodawcą rozprawy habilitacyjnej, która nie budziła u mnie szczególnego zachwytu, jednak habilitantka miała taką profesorską „obstawę", że komisja uznała jej osiągnięcie za wybitne i przegłosowała zgłoszenie go do nagrody rektorskiej. Z całą pewnością nie da się powiedzieć o tej habilitantce, że była „jeźdźcem bez głowy".

Do niemal sztuki można zaliczyć takie „główkowanie", które ma doprowadzić do uzyskania profesorskiego tytułu. Problem nie w spełnieniu ustawowych wymogów, bo są one na tyle ogólne, że mogą być różnie interpretowane i „naginane" do potrzeb i możliwości kandydatów. Jednak te same zapisy mogą być także różnie interpretowane przez opiniodawców, którzy takie wymagania, jak „znaczący wkład do danej dyscypliny lub dziedziny", czy międzynarodowa współpraca naukowa, mogą rozumieć dosłownie i nie przymykać oczu na przeglądową prezentację osiągnięć innych uczonych czy turystyczną wędrówkę po zagranicznych ośrodkach akademickich. Mówię to jako osoba, która niejednokrotnie występowała w roli opiniodawcy wniosków o nadanie profesorskiego tytułu i uznała niektóre za niemające uzasadnienia w naukowym dorobku. Przypuszczam, że niejeden z kandydatów „główkował", jak w tej procedurze nie trafić na mnie. Już we wcześniejszym sposobie wyłaniania opiniodawców było to trudne, bowiem obowiązywało kryterium kompetencji. Jeszcze trudniejsze zdaje się być obecnie, nie tylko dlatego, że liczba opiniodawców jest większa (poprzednio musiało być ich co najmniej czterech, teraz co najmniej pięciu), lecz także dlatego, że żaden z nich nie może być z tej samej akademickiej instytucji co pretendent do tytułu, a losowani są spośród 15 kandydatów na recenzentów.

Na pytanie, co można zrobić, aby pokonać te trudności, moja odpowiedź jest prosta: trzeba mieć osiągnięcia trudne do zakwestionowania nawet przez najbardziej wymagających opiniodawców. Rzecz jasna, łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Przekonuje o tym stosunkowo zaawansowany wiek osób uzyskujących tytuł profesora. Wyjątkiem są nauki medyczne i nauki o zdrowiu. Nie dlatego, że są one szczególnie bogate w naukowe talenty. Sądzę natomiast, że wypracowano tam sposoby w miarę szybkiego pokonywania przeszkód na drodze do tytułu, które nie są rozpowszechnione w innych dyscyplinach. Nie chciałbym oczywiście obrażać medyków. Powiem jednak, że moja znajoma, która jest profesorem w uniwersytecie medycznym, twierdzi, że nie do pomyślenia jest w nim awans osoby, która pominie w swoich publikacjach nazwisko przełożonych. Na mojej byłej uczelni (UAM) wprawdzie o takiej praktyce słyszałem, ale raczej były to rzadkie przypadki. Ten, który jest mi znany, pominę milczeniem, bowiem osobom zmarłym nie wypada wypominać grzechów.

Jest oczywiście wiele innych sposobów pozyskiwania przychylności osób decydujących o akademickim awansie. Do tradycyjnych należy ich cytowanie, bez względu na to, czy jest to merytorycznie uzasadnione (dlatego publikacje nieraz „puchną" od przywoływanych publikacji). Sprawdzonym sposobem są również komplementy wobec potencjalnych opiniodawców podczas spotkań naukowych. Kto ma odpowiednią „siłę przebicia" na uczelni, może postarać się też o przyznanie im jakiegoś wyróżnienia (najlepiej honorowego doktoratu). Kto natomiast dysponuje jedynie środkami finansowymi, może zorganizować spotkanie (pod nazwą konferencji naukowej) z odpowiednią „oprawą" gastronomiczną. Kto z kolei ma rozbudowaną sieć kontaktów towarzyskich, może wykorzystać wspólnych znajomych. Nie twierdzę, że wszystkie te sposoby są często wykorzystywane. Twierdzę natomiast, że w środowisku akademickim najlepiej jest urodzić się profesorem, a jeśli to niemożliwe, najlepiej wziąć się w stosunkowo młodym wieku do intensywnej pracy badawczej i wytrwać w niej do emerytury lub nawet dłużej (nie przejmując się przy tym nieprzychylnymi komentarzami).

Od polityków, pytanych, czy nie boją się postępowania prokuratorskiego, można czasami usłyszeć, że boją się tylko Boga i żony. Wprawdzie co bardziej dociekliwi dziennikarze śledczy mogliby wykazać, że nawet te słowa bywają bez pokrycia. Jest jednak coś z odwagi w składaniu takich deklaracji (zwłaszcza gdy dotyczy to polityków z tzw. drugiego szeregu). Czy to samo można powiedzieć o akademikach? Nie sądzę. Po pierwsze dlatego, że spora ich część nie bardzo wierzy w boską sprawiedliwość, a po drugie dlatego, że jeszcze większa ich część chciałaby sprawiedliwości „tu i teraz", rzecz jasna pod warunkiem, że byłaby ona po ich stronie. Czy tym oczekiwaniom jest w stanie sprostać władza polityczna? Zapewne łatwiej to przychodzi tym, którzy dobrze rozumieją potrzeby środowiska akademickiego. Można również poważnie się zastanowić nad możliwością spełnienia oczekiwań społeczności uczelnianej przez władze rektorskie. Wprawdzie nie minął nawet rok od wyborów, jednak już dzisiaj można powiedzieć, że z problemami swoich uczelni radzą sobie lepiej lub gorzej, o czym świadczą m.in. nagłaśniane w mediach problemy finansowe i kadrowe. Nie chciałbym jednak wchodzić ani w rolę prokuratorów, ani dziennikarzy tropiących plagiatorów i działania uczelnianych organów wobec nich. Problemy te są jednak jak najbardziej realne i trzeba o nich otwarcie mówić.

Rozmowa z prof. Eugeniuszem Skorwiderem, kierownikiem Pracowni Plakatu II na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu

Myślenie plakatem

Szacunek dla inteligencji widza wyklucza oczywistość przekazu .

Wspominając swojego wybitnego promotora, stwierdził pan, że Waldemar Świerzy „uczył nie ucząc". Jaka więc była jego metoda – nie metoda pracy ze studentami?

„Uczył nie ucząc" to oczywiście pewne uproszczenie, a nie zarzut. Moje stwierdzenie wynikało z podziwu dla fenomenu Waldemara Świerzego, który wyraźnie odstawał od stereotypu belfra. Niewątpliwie miał świadomość, kim jest i jak jest postrzegany. Jego oszczędność w słowach wywoływała wśród osób studiujących zwiększoną ciekawość i uwagę. Nie było to przez niego wykalkulowane. Taką miał naturę oraz temperament. Mówił cicho i niewiele. Trafiał w sedno. Wszystko to podnosiło wartość jego korekt. Jego poczucie humoru uatrakcyjniało je dodatkowo, a krytyczne uwagi były subtelne i nienarzucające.

Czy uważa pan że jego osobowość i sposób prowadzenia zajęć pomogły panu znaleźć własny język plastyczny, odmienny od tego, co Waldemar Świerzy reprezentował?

Bardzo odpowiadał mi ten styl nauczania. Natomiast własny język plastyczny – o ile można to tak ująć – przyszedł w sposób zupełnie naturalny, bez spekulacji i przymiarek. Plakaty Świerzego były piękne, bardzo atrakcyjnie wizualnie. To sprawiało, iż miał wielu naśladowców. Mnie taki etap twórczości ominął i cieszę się z tego.

Studiował pan w ciekawych czasach tzw. karnawału Solidarności, który zakończył się wprowadzeniem stanu wojennego, właśnie w roku obrony dyplomu. Czy rzeczywistość polityczna przełomu lat 70. i 80. rezonowała w tematach prac studentów?

Nie było wówczas tematów, które w sposób wyraźny dotyczyły sytuacji politycznej, aczkolwiek tematy typu: telewizja, idol, wariat dawały szerokie możliwości różnorakich wypowiedzi. Zdarzały się plakaty, które za pomocą aluzji i metafor przemycały treści tzw. niepoprawne. Podobnie jak w ówczesnych kabaretach. Była to dobra szkoła. Dzięki niej unikano dosłowności i trywialności. Szacunek dla inteligencji widza wykluczał oczywistość przekazu, typu „kawa na ławę".

Mój dyplom był wynikiem moich negatywnych odczuć i rozczarowań PRL-em. Początek lat 80. to apogeum bankructwa komunistycznego reżimu i jego kompromitacja. Zaprojektowałem kilkanaście plakatów antyreklamowych. Była to reakcja na paradoks socjalistycznej reklamy, która zachęcała do kupowania deficytowych dóbr. Wykorzystując ironię i sarkazm, ośmieszałem cały ten rynkowy deficyt.



Fot. Anna Skorwider

Eugeniusz Skorwider

Jakich środków pan użył?

Bardzo prostych. Zależało mi na plakatach, które rozśmieszą odbiorcę, wywołując jednoczesną refleksję. Taki śmiech przez łzy. Dyplom został dobrze przyjęty. Znalazł się na wystawie najlepszych prac dyplomowych w kraju. Wystawa miała miejsce w warszawskiej Zachęcie. Moje plakaty wywołały zainteresowanie działaczy Solidarności. Pojawiły się ciekawe perspektywy współpracy. Niestety, po paru miesiącach wprowadzono stan wojenny. Było to przykre – przedwczesne zamknięcie rozdziału, skrzydła już gotowe do lotu i nagle koniec.

Po pewnym czasie ta opresyjna rzeczywistość złagodniała, a jednocześnie weszliśmy w czasy naznaczone komercją. Jak zmieniły się rola, charakter i miejsce plakatu?

Bardzo się zmieniły. W pewnym okresie mówiono o zmierzchu, czy wręcz śmierci plakatu. Nieco później okazało się, że niesłusznie. Plakat przeszedł skok rozwojowy. Być może w innej formie, w innych odsłonach, ale przetrwał i okrzepł, zachowując swoje najbardziej istotne cechy. Plakat nie jest już tak bardzo obecny na ulicy (szkoda). Został trochę wyparty przez środki reklamy. Jednak w myśl hasła: „w przyrodzie nic nie ginie", plakat świetnie odnalazł się w internecie.

Kiedyś autora cieszył wysoki nakład – kilka tysięcy egzemplarzy, to duża liczba widzów. Dzisiaj nakład w sieci to tak zwane zasięgi. Praca publikowana w internecie dociera do widza natychmiast i to jest dużą zaletą tego medium. Plakatowym purystom trudno jest pogodzić się z taką przemianą. Jednakowoż nadal możemy pielęgnować coś, co jest plakatem w jego tradycyjnym rozumieniu. Temu służą liczne konkursy i przeglądy organizowane na całym świecie. Imprez tych jest w tej chwili bardzo dużo i ciągle przybywają nowe. Można mówić o ogólnoświatowym trendzie, który znacznie zwiększa zainteresowanie tym medium.

Zamiast śmierci plakatu mamy więc wyraźną koniunkturę?

Tak. Oczywiście gdy mówimy o ilości, to nie wszystko przekłada się na jakość, jednak ogólnie ta tendencja jest zdecydowanie pozytywna. Kiedyś ludzkość miała posługiwać się językiem esperanto, udało się to tylko w pewnym stopniu. Plakat nieco inaczej, ale w kategorii komunikacji radzi sobie dobrze. Plakaty pozbawione tekstu potrafią przekazać komunikaty i treści, nie wymagając znajomości języka.

A jaką mamy sytuację w rodzimej rzeczywistości, od czasu gdy sukcesy Polskiej Szkoły Plakatu przeszły już do historii?

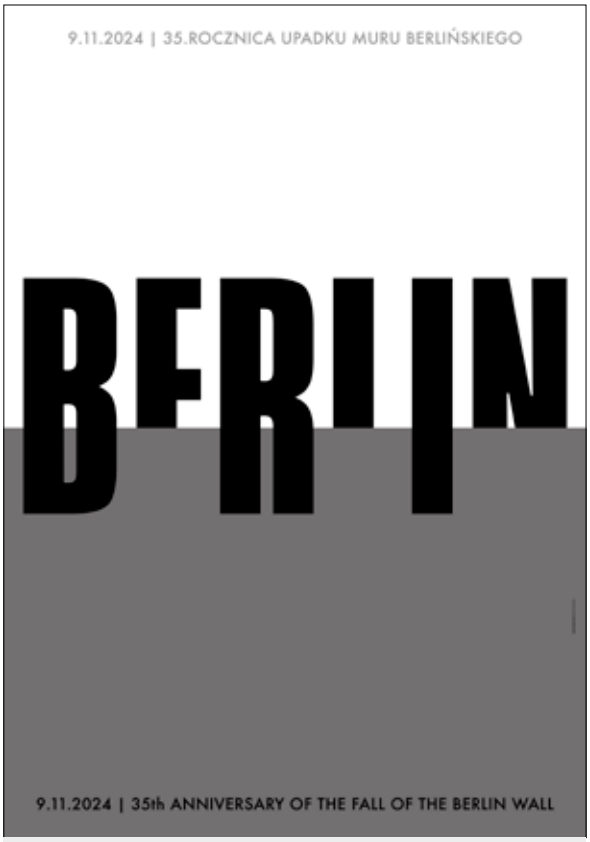
Skończyła się pewna epoka i zaczęło się coś nowego, co niekoniecznie jest dobre. Przykładem może być zmiana, jaka zaszła w plakacie filmowym, który dawał w świecie wiele powodów do dumy.

Niestety, wraz ze zmianą ustroju zmieniły się plakaty filmowe. Z polskich, wartościowych artystycznie na plakaty komercyjne, najczęściej amerykańskie, oparte na pewnych fotograficznych schematach...

...w których jak na talerzu, podaje się dosłowną informację o danym filmie.

Myślę, że dużo na tym straciliśmy. Pojawiło się sporo takiego gatunku okołoplakatowego: wygląda jak plakat, ma określony format, może być kompozycją graficzną albo fotograficzną, może też być malarską, ale brakuje mu czegoś, co dla mnie jest najważniejsze – pomysłu.

Epoka lat 90. była nieciekawa. Cieszyło nas to, co efekciarskie i błyszczy. Była to naturalna tęsknota, którą skutecznie stworzyła żelazna kurtyna. Chcieliśmy mieć tak, jak na Zachodzie: kolorowo i błyszcząco. Pamiętam właśnie takie okładki książek z tego okresu. Dodatkowo pojawiały się też elementy złote oraz srebrne, niektóre z nich dla zwiększenia efektu były jeszcze tłoczone. Na tym tle pojawiła się u nas grupa profesorów i studentów z Holandii, którzy wykupili w papierniczych sklepach wszyst-



Berlin rocznica ...



USA



Mowa nienawiści



Świat bez przemocy

kie szare papiery pakowe, na które patrzyliśmy wtedy z pogardą. Oni byli zachwyceni. Na szczęście różnice musiały się wcześniej czy później zniwelować i w tej chwili nie ma już takich sytuacji.

Polska Szkoła Plakatu wyrosła w oparciu o dosyć siermiężne materiały.

Poligrafia była wówczas kulawa. Wszystko było najgorszej jakości: farby, papier, maszyny, czasami i „wczorajszy" drukarz. Jednak mistrzowie plakatu bywali w dobrych relacjach z drukarzami i dzięki temu dokładali oni wszelkich starań, aby uzyskać (wyczarować) jak najlepsze efekty w druku. Te przypadki mocno odbiegały od większości drukowanych plakatów, które były często dalekie od projektów.

Jakie są perspektywy zawodowe absolwentów pana pracowni? Czy da się żyć z projektowania plakatów?

Życie z projektowania plakatu jest czymś wyjątkowym i jest dane tylko nielicznym. Uważam, że nie ma recept dotyczących kariery zawodowej. Do prowadzonej przeze mnie pracowni trafiają ludzie, którzy chcą zgłębić plakat, aby poznać specyficzny sposób myślenia, który jest przydatny i ważny także na innych obszarach projektowania.

Jak postrzega pan relację pomiędzy naturalnymi predyspozycjami studenta, a tym czego może się nauczyć w pracowni plakatu? Kogo szczególnie zaprasza pan do swojej pracowni?

Trudno jest nauczyć projektowania plakatu. Próbujemy zaszczepić „plakatowy sposób myślenia", rozbudzić zainteresowanie plakatem, odkrywać jego piękno i specyfikę. Jeżeli chodzi o drugą część pytania, to nie ma czegoś takiego jak zapraszanie. Osoby studiujące po prostu zapisują się do pracowni. Gdy im się spodoba, zostają na dłużej, nawet decydują się na dyplom z plakatu.

Obecnie studenci wybierając pracownie, mają bardziej pragmatyczne nastawienie niż przed laty.

Często są to racjonalne wybory. Studenci, studentki chcą uzyskać pewną wiedzę na temat projektowania plakatu. Wiedza ta i umiejętności są wykorzystywane w dalszej pracy zawodowej. Nieliczni wybierają tę pracownię jako dyplomową.

A co pan sądzi o możliwości wykształcenia u studentów umiejętności myślenia skrótem, dokonywania celnych syntez, operowania ironią, aluzją, elementami prowokacji? Technik rysunkowych czy malarskich można się po prostu nauczyć, a jak to jest w przypadku plakatu?

Wszystkie elementy, które pani wymieniła, są mocno związane z plakatem i często stanowią jego tworzywo. Staram się, by studenci mieli świadomość istnienia tego tworzywa. Dodałbym jeszcze poczucie humoru, absurdu i paradoksu. Dla mnie skrót i synteza są kluczowe. Niezmiernie ważny w plakacie jest również dowcip. Nie mam na myśli dowcipu, który wywołuje rechot. Chodzi mi bardziej o pewien intelektualny mechanizm polegający na wyrafinowanej niespodziance i zaskoczeniu widza. Poza myśleniem (skrót, synteza, skojarzenia), które doprowadza do pomysłu, niemniej ważne jest drugie stadium projektowania, czyli realizacja pomysłu. Dotyczy ona tworzenia warstwy wizualnej plakatu. Polega na odpowiednim użyciu takich środków artystycznych jak: kompozycja (forma), kolor, typografia (litery). Należy też uszanować indywidualne skłonności oraz upodobania (rysunek, malarstwo, kompozycja wektorowa, fotografia itp).

Niegdyś pracownie gromadziły studentów w czasie zajęć, a jak to jest teraz? Czy spotykają się i wspólnie uczestniczą w konsultacjach?

Bardzo bym chciał, aby tak było. Miałem okazję obserwować w innych uczelniach, na przykład w Holandii w latach 90., swoiste spektakle, gdzie studentki i studenci żywo komentowali

prace swoich koleżanek i kolegów. Ich krytyka była często bezpardonowa. U nas częściej panuje cisza, jak w gabinecie dentystycznym. Skądinąd trudno zmuszać kogokolwiek do dyskusji. Ważny jest jednak bierny udział w zajęciach, chociażby przysłuchiwanie się korektom. W pracowni jest skromny zbiór książek o tematyce plakatowej w pełni dostępnych dla każdego. W tej chwili wszystko jest w zasięgu, nie trzeba zabiegać o potrzebne materiały. To jest sytuacja dość komfortowa.

A czy ta klęska urodzaju nie zagraża kreatywności?

Klęska urodzaju może zagrażać kreatywności. Jest to jednak w dużej mierze kwestia indywidualna. Niektórych komfort rozleniwia, innym pomaga w pracy twórczej.

Wspominał pan, że impulsem w projektowaniu jest przeważnie irytacja i prowokacja. A jak pan widzi afirmację w plakacie?

Często jest tak, zwłaszcza w dziedzinie plakatów społecznych i politycznych, że pozytywne przesłanie bywa propagandą. Propaganda z kolei nie cieszy się podziwem i szacunkiem. To trochę tak, jak z nachalną reklamą, za którą też nie przepadamy.

Afirmacja jest politycznie podejrzana?

Zależy czego dotyczy. Afirmację widzę dla plakatów, które wspierają pozytywne idee w zakresie humanitaryzmu, moralności i etyki. Jeżeli popieram coś, co jest politycznie pozytywne, to ta afirmacja nie będzie dla mnie podejrzana. Wszystko zależy od naszej uczciwości i poglądów. Czy afirmacja Ukrainy w Rosji będzie politycznie podejrzana? I dla kogo?

Plakat – cytuję: „może dopomagać w wyborach moralnych, współtworzyć nasze poglądy". Czy w Pracowni Plakatu II o profilu społeczno-politycznym jest miejsce dla studentów niepodzielających pańskich poglądów? Lubi pan prowokacje, załóżmy więc, że do pracowni przychodzi studentka z propozycją tematu „Pro-life" albo student, który chce projektować cykl plakatów pt. „Kościół jako sakrament zbawienia?". Jak się pan zapatruje na ewentualną współpracę?

Myślę, że rozpocząłbym od rozmowy, od dyskusji. W przypadku Kościoła, który jest piewcą wielu pozytywnych wartości, kontrowersje wynikają z tego, że pewne wartości się przemieszały, a pewne sprawy uległy przewartościowaniu. To delikatna kwestia wymagająca wyczucia. Nie lubię nikogo torpedować, wypraszać, nie jest to w moim stylu. Rozmowa jest najczęściej możliwa, chyba że w grę wchodzą takie sprawy, jak propagowanie faszyzmu albo kary śmierci. Współpraca jest więc możliwa, choć nie w każdym przypadku (na przykład studentki pokroju Kai Godek).

Wróćmy jeszcze do miejsca plakatu we współczesnej rzeczywistości.

Posłużę się przykładem, który mówi o szerokim obszarze, na jakim plakat może się poruszać. Otóż od piętnastu lat jako Pracownia Plakatu II współpracujemy z Uniwersytetem Ekonomicznym. Współpraca polega na realizowaniu w ramach konkursu na plakat tematu przygotowanego przez prof. Piotra Banaszyka z tej uczelni.

Tematy mają zabarwienie ekonomiczne i są pewnym wyzwaniem dla naszych studentek i studentów. To bardzo interesujące i przyjemne doświadczenie. Każda edycja konkursu jest zakończona wernisażem wystawy i uroczystym wręczeniem nagród. Na podobnych zasadach współpracujemy z Kancelarią Prawną PragmatIQ (mec. Rafał Szymkowiak). W tym przypadku tematy konkursowe dotyczą zagadnień z zakresu prawa. Powyższe dwa przykłady świadczą o zasięgach tematycznych i świetnych relacjach interdyscyplinarnych. Obydwie strony nabierają nowych doświadczeń. Studentki i studenci poznają i oswajają zagadnienia z zakresu ekonomii i prawa, natomiast druga strona zaznajamia się z możliwościami komunikowania swoich treści za pomocą plakatu.

Wracając do pani pytania o miejsce plakatu we współczesnej rzeczywistości, jest mi trudno obiektywnie określić i ocenić jego miejsce. Dla mnie plakat jest nie do przecenienia. Darzę go wielką miłością, którą chcę się dzielić i jednocześnie zarażać. Dlatego trudno o obiektywizm. Na pewno mówiąc o jego miejscu, nie można pominąć polskiego aspektu. Otóż jako kraj, od lat jesteśmy wielkim zagłębiem plakatowym, z bogatą historią i Polską Szkołą Plakatu, jednym z nielicznych krajów, gdzie na wyższych uczelniach artystycznych są pracownie plakatu. Mamy najstarsze Biennale Plakatu Polskiego w Katowicach, Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie i Muzeum Plakatu w Wilanowie.

Rozmawiała: Krystyna Matuszewska

XIII Studencka Wiosna Teatralna

Po raz trzynasty młodzi twórcy teatralni z całej Polski spotkają się w Chatce Żaka UMCS w Lublinie, by wspólnie eksplorować wolność wyrazu, odwagę w stawianiu pytań i potrzebę eksperymentu. Studencka Wiosna Teatralna powraca w dniach 21–23 maja z nowym hasłem: CZASO/PRZESTRZEŃ.

Festiwal – związany z Akademickim Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka – ma długą historię. Zainicjowany w 1966 roku przez Andrzeja Rozhina, ówczesnego reżysera i twórcę Teatru Gong 2, stał się ważnym głosem artystycznego buntu. W czasach PRL-u studencki teatr pełnił rolę alternatywnego forum, w którym można było symbolicznie kontestować rzeczywistość. Po niemal 50-letniej przerwie, w 2022 roku, festiwal został wznowiony, ponownie w Chatce Żaka, i niezmiennie przyciąga twórców, którzy nie boją się stawiać pytań o kondycję współczesnego świata.

Festiwal to także konkurs, w którym zespoły studenckie rywalizują o Grand Prix za najlepszy spektakl. Dla uczestników to szansa na zaprezentowanie swojego dorobku, ale również na twórczy dialog z innymi artystami i publicznością. Jury docenia przede wszystkim odwagę w formie, szczerość przekazu i innowacyjność teatralnego języka.

Tegoroczna edycja ma dodatkowy, symboliczny wymiar: ACKiM UMCS Chatka Żaka świętuje swoje 60-lecie. W ciągu sześciu dekad to właśnie tutaj rodziły się idee, które nadawały rytm kulturze studenckiej w Polsce. Jubileusz Chatki Żaka współgra z tematem festiwalu: czasem, który łączy pokolenia, i przestrzenią, która pozostaje otwarta na to, co nowe, nieznane, często nieoczywiste.

Ważnym elementem wydarzenia są warsztaty teatralne, podczas których uczestnicy będą pracować z ciałem, głosem i ruchem scenicznym, ucząc się nie tylko mówienia, ale i opowiadania historii ruchem, gestem, obecnością.

Studencka Wiosna Teatralna wciąż pozostaje wierna swoim korzeniom. To przestrzeń wolności, niezależności i artystycznego fermentu.

Marek Misiak

Wyroby naukopodobne

Jeśli nie da się zwalczyć zła, można przynajmniej nie być jego częścią .Inaczej faktycznie możemy dojść do etapu nauki-zombie, gdy jedne fałszywe artkuły będą cytować głównie inne fałszywki .

Jako redaktor czasopisma naukowego otrzymuję czasem dziwne wiadomości: propozycje zakupu czasopisma przez podmioty podające tylko skrytkę pocztową w Singapurze, zaproszenia do publikowania w czasopismach naukowych (choć nie jestem naukowcem), propozycje recenzowania artykułów innych badaczy, a niekiedy nawet propozycje członkostwa w radzie naukowej jakiegoś periodyku. Takie e-maile to jak spojrzenie na drugą stronę lustra – świata szemranych „czasopism naukowych" współpracujących z „recenzentami", którzy nie mają podstawowych kompetencji do pełnienia tej roli, i publikujących (za sowitą opłatą) „artykuły naukowe", które z nauką są powiązane tylko dzięki użyciu tego przymiotnika. Momentami przypomina to kult cargo: mieszkańcy kilku wysp na Pacyfiku po II wojnie światowej zaczęli budować „lotniska" i „wieże kontrolne", a nawet „samoloty" z drewna i trawy, odtwarzając czynności, które na ich oczach wykonywali kiedyś żołnierze, i oczekując, że sprawi to, iż znów przylecą stalowe ptaki i przywiozą wspaniałe, zbawcze dobra. Podobnie wielu „wydawców" wyraźnie liczy na to, że samo żonglowanie przymiotnikiem „naukowy" w różnych kontekstach pozwoli im na oszustwa kosztem prawdziwej nauki.

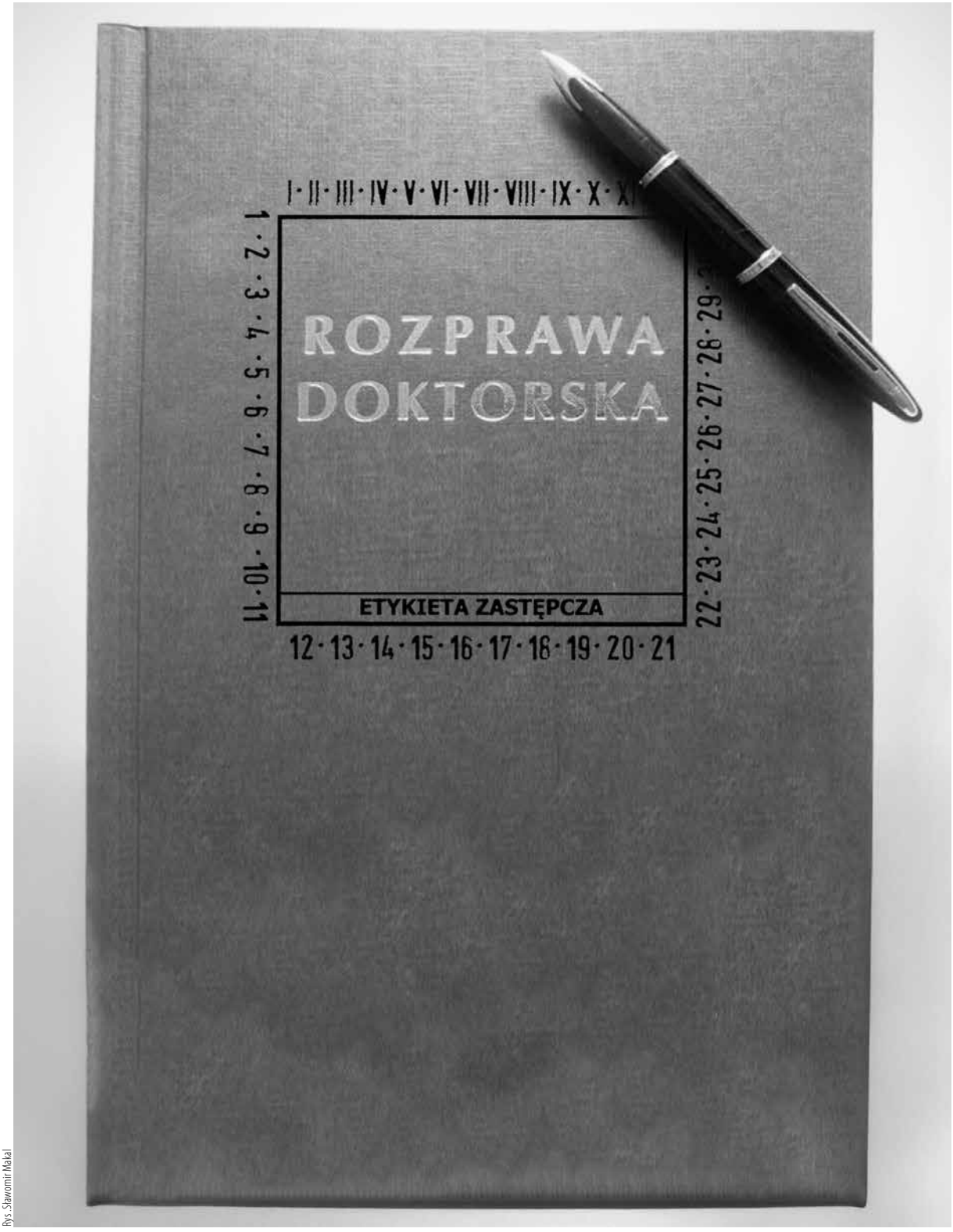
Jednak prawdziwy surrealizm zaczyna się po odejściu od komputera. Ci, którzy faktycznie nie mają żadnych hamulców, kontaktują się za pomocą komunikatorów internetowych, szczególnie WhatsAppa (choć zdarza się też Messenger i Telegram). Często posługują się nieporadnym angielskim – typowa pierwsza wiadomość to „Hello, Editor". Potem następuje zazwyczaj od razu konkretna propozycja, na przykład: „Mam 50 artykułów naukowych, czy mógłbym je opublikować w twoim czasopiśmie?". Zawsze zadaję sobie wówczas jedno pytanie: Co to znaczy w tym kontekście „mam"? Sam je napisałem? Inni je napisali i mi przekazali? A może wytworzono je ze znalezionych już w sieci innych publikacji i z pomocą sztucznej inteligencji, a teraz ich autorstwo będzie przedmiotem handlu? Gdy odmawiam „współpracy", zawsze rozpoczyna się kuszenie: „Mogę dać ci pieniądze", względnie nieco konkretniejsze: „Możemy podzielić się zyskami". Paradoksalnie, gdy wskazuję, że to korupcja, zaczyna się wyjaśnianie, że to przecież rozwój nauki, a równolegle makiaweliczne przekonywanie, że to godziwy zarobek (czy nie chcę zapewnić lepszego bytu rodzinie?). Gdy zaczynam drążyć merytorycznie – dopytuję, kto jest autorem tych tekstów czy jak to się stało, że rozmówca je „ma" – kontakt szybko się urywa, czasem nawet bez pożegnania. I tak jest nawet lepiej, zdarza się (całe szczęście rzadko) że odpowiedzią na odmowę lub wytknięcie korupcyjnego charakteru propozycji jest stek mało wyrafinowanych obelg, a czasem wręcz groźby (których nie traktuję poważnie). Z mojego punktu widzenia z tego wszystkiego płynie jeden wniosek: granica między papierniami (paper mills) a zwykłym kryminałem jest mocno zatarta.

Reguły odsiewu

Gdy przyjrzeć się dyskusji o papierniach w polskiej przestrzeni medialnej, można odnieść wrażenie, że przedstawiciele władz wielu rodzimych uczelni jeszcze kilka miesięcy temu nie mieli pojęcia, że taki proceder w ogóle istnieje. Z punktu widzenia redaktora czasopisma naukowego od co najmniej kilku lat jest to sprawa oczywista, pytanie nie brzmi: czy do czasopism, dla których pracuję, przychodzą artykuły o takiej proweniencji, tylko jak je odsiewać. Gdy w krótkim przedziale czasowym, np. kilku dni, do redakcji nadsyłanych jest kilka artykułów napisanych przez badaczy z zupełnie różnych ośrodków, ale na podobne tematy i sprawiających pod względem sformatowania i stylu wrażenie, jakby wyszły spod tej samej ręki, każdemu zawodowcowi zapali się czerwona lampka. Redaktor nie jest w stanie wychwycić takich prac sam. Całe szczęście profesjonalnie prowadzone czasopismo naukowe jest strukturą, której redaktor stanowi część, i właśnie ta struktura jest w stanie do pewnego stopnia bronić się przed artykułami kupionymi, a nie stworzonymi samodzielnie. Struktura broni się za pomocą egzekwowania reguł, większość z nich stworzono, zanim pojawiły się paper mills.

Zacząć można od kwestii tak banalnej, że stosunkowo rzadko poruszanej: adresy e-mail. Sam fakt, że autorzy posługują się adresami niepowiązanymi nie tylko z żadną instytucją, na której są afiliowani, ale nawet z żadną konkretną osobą (tzn. stanowiącymi ciąg cyfr lub liter i cyfr, a domena ma ogólny charakter, np. @126.com), już powinien wzbudzić podejrzenia.

Może być bowiem tak, że adres ten sprawdza nie żaden z autorów (który może nawet nie mieć do niego dostępu), ale przedstawiciel papierni. Warto wziąć pod uwagę, że w niektórych krajach (przede wszystkim w Chinach) cenzura internetu powoduje, że z wielu tamtejszych serwerów pocztowych nie można wysyłać maili za granicę, ale nie uzasadnia to posługiwania się adresami niezawierającymi imienia i nazwiska, i ewidentnie generowanymi losowo. Natomiast tego typu adresy e-mail (lub w ogóle adresy inne niż instytucjonalne) u sugerowanych recenzentów to jeszcze poważniejszy problem – znane są przypadki wskazywania jako „recenzentów" osób niemających pojęcia, że zostali wskazani (lub nawet nieistniejących) i zakładania dla nich fałszywych adresów, które w rzeczywistości sprawdzają sami autorzy lub pracownicy papierni. Oczywiście bywa też tak, że zakładane są adresy przypominające jedynie te jakiejś instytucji naukowej, zwłaszcza w przypadku mniej znanych uczelni czy placówek badawczych takie oszustwo może pozostać niewykryte. Czasem mam wrażenie – to tylko luźny pomysł – że bazową procedurą po otrzymaniu manuskryptu przez redakcję powinien być kontakt z instytucjami wymienionymi w afiliacjach w celu weryfikacji, czy autorzy faktycznie tam pracują. Jest



Rys. Sławomir Makal

tylko jeden problem – wiele uczelni i innych podmiotów, szczególnie z Dalekiego i Bliskiego Wschodu, po prostu nie odpisuje.

Drugim „sitem" z punktu widzenia redaktora są omawiane już obszernie w tym cyklu wymogi wstępne. W skrócie: dotyczą one sposobu sformatowania artykułu, czyli np. obecności bądź braku strony tytułowej, nadsyłania tabel, rycin i listy piśmiennictwa jako osobnych plików bądź wklejania ich do artykułu, ale też kwestii wymagających nieco więcej pracy, jak np. modelu piśmiennictwa (system oksfordzki lub harwardzki), sposobu sformatowania pozycji na liście piśmiennictwa (system AMA, APA itd.) czy wreszcie struktury samego artykułu, np. wymogu osobnych sekcji opisujących cele czy ograniczenia (limitations) pracy. Zdarza się, że autorzy (lub „autorzy") nie wykazują najmniejszej chęci dostosowania manuskryptu do zasad przedstawionych w instrukcji przygotowania tekstu umieszczonej na stronie WWW danego czasopisma. Może to wynikać z faktu, że ze względu na wspomnianą już cenzurę internetu w niektórych krajach nie są w stanie nawet wejść na tę stronę (ten problem można obejść poprzez wymianę PDF-ów z instrukcjami via e-mail), ale też z tego, że wysłali manuskrypt do większej liczby czasopism jednocześnie (czego regulaminy większości periodyków zabraniają) i „wygrywa" ten, kto najszybciej przeprowadzi proces recenzji. Jeśli „autorzy" kupili manuskrypt w fabryce artykułów, ale potem radzą już sobie sami, na ogół będą w stanie spełnić te wymogi (to raczej kwestia motywacji). Jeśli natomiast z redakcją tak naprawdę kontaktuje się papiernia (udająca jedynie „autora do korespondencji"), szansa na to, że czasopismo realnie egzekwujące wymogi zostanie potraktowane jako źródło zysku, spada (chyba że ma bardzo wysoki impact factor).

Bezczelni i sprytni

Trzecią i zdecydowanie skuteczniejszą metodą odsiewu jest żądanie udostępnienia zarówno recenzentom, jak i potem czytelnikom surowych danych uzyskanych podczas prac badawczych. Z reguły należy je zdeponować w publicznym repozytorium, a w manuskrypcie lub systemie używanym do zgłaszania artykułów umieścić odpowiedni link. Artykuły oferowane przez papiernie w zdecydowanej większości nie są pokłosiem realnej pracy naukowej, ale zawierają sfabrykowane zarówno dane, jak i wnioski oraz ryciny (obecnie odbywa się to z wydatnym wykorzystaniem sztucznej inteligencji), ponieważ taki materiał jest przygotowywany nie przez naukowców, a pracowników danego paper mill. W wielu sytuacjach może zatem nie być żadnych danych, które można by ujawnić. Wymóg ten można jednak próbować obejść na trzy sposoby. Po pierwsze (dotyczy to prac z obszaru medycyny), jeśli sfingowane badania zostały rzekomo przeprowadzone na pacjentach, zawsze można próbować zasłaniać się tym, że wobec braku zgody fikcyjnych „pacjentów" czy niemożność anonimizacji danych nie można ujawnić tych ostatnich ze względów etycznych. Da się to wykryć poprzez kontakt z instytucjami podanymi jako afiliacje autorów, o ile oczywiście ktokolwiek po drugiej stronie wykaże wolę współpracy. Po drugie, skoro powstają (i to w hurtowych ilościach) fałszywe publikacje naukowe, zawsze można też sfabrykować dane na wskazany temat, a nawet we wskazanym formacie. To rzecz jasna może wykryć recenzent, ale wyłącznie przy założeniu, że pracuje na tyle dokładnie, by nie tylko zajrzeć do udostępnionych danych, ale też zweryfikować ich prawdziwość (może być bowiem tak, że dane są powiązane z tekstem, ale nie są powiązane z rzeczywistością, gdyż zostały wygenerowane, a nie uzyskane z badań).

Czwarte „sito" wchodzi już po przyjęciu manuskryptu do recenzji. Jedną z taktyk stosowaną przez papiernie jest zgłaszanie artykułu z fikcyjnymi autorami (i afiliacjami), a jeśli przejdzie on do dalszych etapów oceny – sprzedawanie „slotów autorskich" prawdziwym już osobom; po sprzedaży „autor do korespondencji" prosi redakcję o zmianę składu autorskiego. W wersji bardziej bezczelnej chodzi wówczas o podmianę wszystkich autorów na innych (sam zetknąłem się z argumentacją, że wszyscy pierwotni autorzy są „zakażeni COVID-em", tak jakby sprawiało to, że może ich na etapie recenzji zastąpić ktoś zupełnie inny), w wersji „sprytnej" – dodanie np. trzech realnie istniejących „nowych autorów" (z których w dodatku jeden ma się stać pierwszym autorem) do dwóch już istniejących, a w rzeczywistości wirtualnych „autorów". Próba takiej zmiany może nastąpić albo po uzyskaniu obiecujących wyników pierwszej rundy recenzji, albo po zaakceptowaniu artykułu do druku; w tej drugiej wersji nawet na etapie podpisywania umów licencyjnych lub nawet dopiero podczas korekty autorskiej. Tu uzasadnienia są banalniejsze, że ktoś zapomniał albo że zmieniły się jakieś bliżej nieokreślone zasady w macierzystej jednostce „autorów". Redakcje bronią się przed tym, ograniczając możliwość zmiany autorów. W czasopismach, dla których pracuję, modyfikacje po przyjęciu manuskryptu do druku w ogóle nie są dozwolone (niebezpieczeństwo nadużyć, nie tylko ze strony paper mills, jest po prostu zbyt duże), a zmiana podczas recenzji lub nawet tylko po wstępnej weryfikacji wymaga podpisanej zgody wszystkich współautorów; jeśli zmiana obejmuje dodanie lub usunięcie więcej niż jednej osoby, często żądamy dodatkowych wyjaśnień. Taki dokument z podpisami oczywiście również można sfałszować, ale doświadczenie uczy, że każdy dodatkowy wymóg i każda dodatkowa praca zwiększa prawdopodobieństwo, że oszuści zniechęcą się i wycofają pracę.

Nauka-zombie

Najważniejszą metodą odsiewu jest rzecz jasna po prostu staranny proces peer review, wnikliwy specjalista ma największą szansę zorientować się, że artykuł nie opiera się na realnych danych i nie prezentuje realnych odkryć. Jeśli zada właściwe pytania w tekście recenzji, nawet doświadczona papiernia czy sprytni prawdziwi badacze, którzy kupili autorstwo w paper mill, mogą nie być w stanie zamydlić takiemu recenzentowi oczu. Jest też szansa, że papiernicy polegną w starciu z poważnie traktującym swoją pracę redaktorem statystycznym, gdyż nie będą w stanie przekonująco wyjaśnić, dlaczego np. zastosowali dane metody. Jestem jednak niestety świadom, że kryzys peer review polega nie tylko na problemie ze znalezieniem recenzentów, ale także na przeciążeniu pracą badaczy angażujących się w tę z reguły darmową pracę, czego rezultatem są recenzje powierzchowne i niestaranne. Ponieważ chcę omawiać kwestię odsiewania artykułów wytworzonych w paper mills wyłącznie z perspektywy redaktora, pozwolę sobie nie rozwijać tego wątku (mimo jego wagi).

Na koniec warto podkreślić jedno: omawiane metody pozwalają – i to tylko do pewnego, niemożliwego do określenia stopnia – uchronić przed zalaniem wyrobami naukopodobnymi pojedyncze czasopisma. Nie wpływają natomiast w żaden sposób na model biznesowy ani możliwości działania papierni jako takich. Z wielu komentarzy w debacie o papierniach wyziera przede wszystkim zgorzknienie i defetyzm, że to i tak nic nie da. Ujmę to tak: jeśli nie da się zwalczyć zła, można przynajmniej nie być jego częścią. Jeśli wszyscy opuszczą ręce, patologia na pewno zwycięży, jeśli nie – będzie miała wpływ na część publikowania naukowego, ale nie na całość i nie stanie się normą. Inaczej faktycznie możemy dojść do etapu nauki-zombie, gdy jedne fałszywe artkuły będą cytować głównie inne fałszywki. I wytworzy się zamknięty obieg kultu cargo udającego naukę.

Grzegorz Wołk

Szaleńcy, realiści i antykomuniści

Aby konsekwentnie od 1979 r .domagać się pełnej niepodległości, trzeba było mieć w sobie coś z politycznego „szaleńca": zuchwałość, nakazującą ignorować geopolityczne realia i wierzyć w upadek systemu jałtańskiego .Konfederaci wymienione cechy bez wątpienia posiadali .

Dynamiczne zmiany sytuacji międzynarodowej, w tym konflikty zbrojne, takie jak wojna na Ukrainie, skupiają zainteresowanie badaczy oraz czytelników na war studies. Historia pokojowych ruchów politycznych, dążących do bezkrwawych rewolucji, ma wciąż wiele do zaoferowania, staram się to udowodnić w mojej książce. Uważam, że fenomen opozycji antysystemowej funkcjonującej w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej wart jest dalszej refleksji i pogłębionych badań. Sama książka przybliża historię Konfederacji Polski Niepodległej, jednej z najbardziej interesujących i wyrazistych grup opozycji demokratycznej schyłkowego PRL-u.

KPN niezaprzeczalnie kojarzy się z postacią jej wieloletniego, zmarłego w 2024 r. lidera, Leszka Moczulskiego. W pierwszych latach III Rzeczpospolitej był on jednym z najciekawszych i obiecujących polityków prawicy oraz kandydatem w wyborach prezydenckich w 1990 r. Odwołujący się do tradycji piłsudczykowskich i spuścizny politycznej II Rzeczpospolitej, zasłynął m.in. wystąpieniem parlamentarnym z lutego 1992 r., w którym skrót PZPR rozwinął jako „Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji". W 1996 r. jeden z jego najbliższych współpracowników dokonał jednak frondy skutkującej rozpadem KPN. Historia tej partii od samego początku toczyła się w cieniu konfliktów i rozłamów, takich jak ten w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, od którego rozpoczęła się historia KPN. Moczulski wraz z Andrzejem Czumą początkowo stanowili współpracujący duet liderów ROPCiO, jednak konflikt między nimi doprowadził do poważnego kryzysu, a następnie rozłamu i w konsekwencji założenia przez stronników Moczulskiego we wrześniu 1979 r. KPN.

W kolejnych latach w ugrupowaniu nie było lepiej. W 1984 r. jego szeregi opuścili stronnicy Romualda Szeremietiewa i Tadeusza Stańskiego. W okresie transformacji ustrojowej odeszła kolejna grupa. Iście spektakularne wydarzenia towarzyszyły kolejnej frondzie w 1994 r. Niemal zawsze rozłamowcami kierowały pretensje do Moczulskiego. Chodziło o styl sprawowania władzy. Problemem był także brak wewnętrznych mechanizmów umożliwiających osiąganie kompromisów. Konfederacja była bowiem klasyczną partią wodzowską. Moczulskiego powszechnie określano tym mianem, a w ugrupowaniu panował niemal kult przewodniczącego. To on jednoosobowo podejmował decyzje, a osoby, które się do nich nie dostosowywały, przestawały być członkami obozu moczulszczykowskiego i musiały opuścić partię. Historia KPN egzemplifikuje wyniki badań teoretycznych mówiących o tym, że w partiach wodzowskich to lider tworzy mit istotny dla tego środowiska i to on jest źródłem wyznawanego zbioru poglądów, które nie muszą się mieścić na klasycznej politologicznej osi lewica-centrum-prawica.

Biały Dom wita więźnia politycznego

27 kwietnia 1987 r. w Białym Domu miało miejsce spotkanie ówczesnego wiceprezydenta USA z raczej mało rozpoznawalnym poza Polską „dysydentem", przewodniczącym Konfederacji Polski Niepodległej Leszkiem Moczulskim. Będący pod wrażeniem rozmówcy George Bush przedłużył je poza wyznaczony czas, chcąc poznać opinię lidera KPN o sytuacji w bloku wschodnim. Wręczone wówczas przez Moczulskiego memoranda dotyczyły możliwości emancypacji Polski spod sowieckiej kurateli oraz polityki, jaką zdaniem lidera KPN Stany Zjednoczone powinny prowadzić wobec ZSRS.



Spotkanie stanowiło niewątpliwy sukces KPN. Nie został on jednak zagospodarowany tak, jak słynna przemowa Lecha Wałęsy przed amerykańskim Kongresem, która miała miejsce dwa i pół roku później. Pierwsze wydarzenie jest niemal nieznane. Drugie stało się jednym z symboli sukcesu transformacji ustrojowej, emblematycznym obrazem pokazującym, że Polska przeniosła się w zupełnie inne miejsce geopolitycznej mapy. Owszem, wystąpienie przed połączonymi Izbami miało znacznie wyższą rangę niż kilkanaście minut rozmowy z wiceprezydentem. Problem w tym, że wizyta Moczulskiego w opracowaniach na temat opozycji w PRL bywa niedostrzegana. Gdy kilka miesięcy po rozmowie w Białym Domu Bush odwiedzał Polskę, Moczulski udawał chorego, by wybrnąć z nieręcznej sytuacji, jaką było pominięcie go na liście zaproszonych przez Busha na nieoficjalny obiad opozycjonistów. Amerykańska dyplomacja uznała, że lepiej spotykać się z mniej radykalnym, a także mocniej osadzonym w ruchu solidarnościowym skrzydłem opozycji. Jest to jeden z wielu przykładów, jak dynamicznie zmieniają się wektory polityki międzynarodowej.

Mimo późniejszych wydarzeń, dla KPN był to jeden z największych sukcesów w jej historii. „Idziemy od porażki do porażki, ale dzięki nim zbliżamy się do celu, czyli Polski Niepodległej" – twierdził w czerwcu 1990 r. Moczulski. Przemawiał do blisko czterystu konfederatów zgromadzonych na ogólnokrajowej naradzie. Gdy przed Grobem Nieznanego Żołnierza odczytywano akt założycielski KPN, skłonnych go podpisać było zaledwie kilkadziesiąt osób. Z kolei w samym tylko 1990 r. liczebność partii szacowano na 20 tysięcy członków. KPN miała wszelkie atuty, by liczyć na odegranie znaczącej roli w historii III Rzeczpospolitej. Tak się jednak nie stało i główną jej zasługą pozostaje pozytywna rola w walce z reżimem PRL.

Opozycja w PRL

Środowiska opozycyjne funkcjonujące w PRL łączył sprzeciw wobec antydemokratycznych działań władz, różniła natomiast recepta na poprawę sytuacji politycznej. Radykałowie marzyli o upadku całego bloku wschodniego i odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Z kolei racjonaliści działali na rzecz poszerzenia sfer wolności, co także podmywało fundamenty ustroju. Wszyscy zaś honorowali demokratyczne reguły gry.

Konfederacja Polski Niepodległej była jednym z radykalnych „ruchów wolnościowych". W sferze werbalnej głosiła hasła upadku PRL i likwidacji PZPR. Określam ich mianem „szaleńców niepodległości", gdyż o upadku PRL mówili i pisali otwarcie od chwili powstania organizacji. Aby konsekwentnie od 1979 r. domagać się pełnej niepodległości, trzeba było mieć w sobie coś z politycznego „szaleńca": zuchwałość, nakazującą ignorować geopolityczne realia i wierzyć w upadek systemu jałtańskiego. Konfederaci wymienione cechy bez wątpienia posiadali.

Radykalizm celów strategicznych KPN potrafiła łączyć z racjonalną taktyką działania. Już na starcie jej liderzy podjęli decyzję o rezygnacji z przemocowych form aktywności.



Fot. PAP/W. Kryński Źródło: dzieje.pl

Leszek Moczulski (z prawej) i Romuald Szeremietiew (z lewej) podczas procesu przywódców KPN, wrzesień 1982 r.

Dziś wydaje się to oczywiste, bo podobną drogę obrała chociażby „Solidarność", a wysyp pokojowych rewolucji u schyłku XX wieku przyzwyczaił do postrzegania ich w kategoriach powszechnego modelu demokratycznej tranzycji władzy. Jednak jest to spojrzenie falsyfikujące ówczesne realia. W Europie lat 70. i 80. powszechnie funkcjonowały ruchy polityczne stosujące terroryzm jako środek do osiągnięcia celów politycznych. Baskijska ETA, irlandzka IRA czy działająca w RFN Frakcja Czerwonej Armii pokazywały, że terror może być pełnoprawnym środkiem politycznym. Polska opozycja wybrała drogę non violence. Sama KPN zaczerpnęła z taktyki IRA jedynie prowadzenie protestów głodowych, które miały wymusić na władzach ustępstwa polityczne. Wzorowano się w tym przypadku na dramatycznym proteście Roberta Sandsa w więzieniu w Maze. Był to jeden z niewielu przykładów, gdy czerpano z doświadczeń zagranicznych ruchów politycznych. Częściej sięgano bowiem do historycznych doświadczeń polskich niepodległościowców, wzorując się przede wszystkim na Józefie Piłsudskim.

KPN była wyjątkowa na opozycyjnej mapie, nie tylko w PRL, ale także na tle całego bloku wschodniego. Jej działacze szczycili się tym, że byli pierwszą w pełni niezależną od komunistów partią polityczną od czasów pacyfikacji powojennego Polskiego Stronnictwa Ludowego Stanisława Mikołajczyka (i podobnych ugrupowań w krajach opanowanych po II wojnie światowej przez Stalina). KPN aspirowała do władzy, respektując demokratyczne reguły, co w kraju fasadowej demokracji PRL było wyzwaniem. Od samego początku dokumenty ideowe i organizacyjne były jawne. W marcu 1980 r. członkowie partii bezskutecznie starali się zgłosić własnych kandydatów w wyborach do Sejmu PRL. W latach 80. kilkakrotnie zwoływano kongresy partyjne. W odpowiedzi na transparentnie prowadzoną aktywność polityczną KPN spotykała się z represjami ze strony Służby Bezpieczeństwa. W czasie solidarnościowej rewolucji oskarżono ją o terroryzm i próbę siłowego obalenia ustroju, za co groziła kara śmierci. Konfederaci przyłapani na drukowaniu niezależnych od cenzury pism lub uczestnictwie w nielegalnych manifestacjach byli często aresztowani, zwalniani z pracy, a także narażeni na przemoc fizyczną.

Przy okazji wytoczonych przywódcom KPN dwóch procesów politycznych (pierwszy w latach 1980-1982, drugi w 1985 r.) władze konsekwentnie odmawiały uznania jej za partię polityczną. Sędziowie powoływali się przy tym na zapisy konstytucji PRL, ignorując nadal obowiązujący w kraju okólnik z 1932 r., który stanowił, że partie nie wymagają rejestracji. Można to uznać za prawniczą kazuistykę bez realnego wpływu na politykę, jednak stanowi to jeden z wielu przykładów modus operandi KPN. Skoro komunistyczne prawo formalnie nie zabraniało tworzenia partii politycznej, postanowili ją utworzyć. Skoro komuniści twierdzili, że wybory są wolne, to podjęli próbę startu w nich. Odzierali w ten sposób rządzący reżim z pozorów legalizmu. Przez całą dekadę lat 80. czynili to konsekwentnie. W trakcie rozpraw toczących się w 1981 r. demonstracyjnie ignorowali jednego z prokuratorów, gdyż ten, będąc członkiem PZPR, działał ich zdaniem w konkurencyjnej partii. Taka zuchwałość nie byłaby możliwa w stalinizmie ani w trakcie rządów Władysława Gomułki, ale już w ogarniętej solidarnościową rewolucją Polsce stała się faktem.

Wyzwania i refleksje

Gdy rozpoczynałem badania nad historią KPN, jeden z przedstawicieli środowiska naukowego zadał mi pytanie, czy nie uważam, że jest na nie zbyt wcześnie. Odpowiedziałem, że wręcz przeciwnie, ponieważ z jednej strony otwarte są archiwa tajnych służb, a z drugiej wciąż żyją bezpośredni uczestnicy opisywanych wydarzeń, co pozwala na komplementarne spojrzenie na temat. Był rok 2008, a stan badań nad dziejami różnych grup opozycyjnych funkcjonujących w okresie PRL pozostawiał wiele do życzenia. Nie spodziewałem się jednak, że badana tematyka okaże się tak dużym wyzwaniem, a zamiast zaplanowanych badań o charakterze interdyscyplinarnym i porównawczym priorytetem okaże się odtworzenie podstawowej faktografii. Pamięć o KPN została bowiem – głównie przez jej twórców – mocno zmitologizowana.

Presja wywierana na badaczy historii żywej, czyli takiej, gdy wciąż w przestrzeni publicznej funkcjonują jej bohaterowie lub strażnicy pozytywnej pamięci o nich, to jedno z wyzwań, do



Źródło: Wikipedia

Leszek Moczulski w Białym Domu w czasie spotkania z wiceprezydentem USA George'em Bushem 27 kwietnia 1987 roku .Pierwszy z lewej – Marek Ruszczyński



których najtrudniej się badaczom profesjonalnie przygotować. Jednocześnie jest to element warsztatu, kluczowy dla całościowej oceny dzieła. Książki „autoryzowane", które dostosowują się do środowiskowych oczekiwań, nie stanowią wartości dodatniej dla polskiej humanistyki.

Dużym wyzwaniem okazało się rozproszenie materiałów archiwalnych oraz nieoczywiste miejsca ich składowania. Problemem nie było jedynie zgromadzenie kluczowych źródeł z archiwów lokalnych, jak w przypadku cennych dokumentów dotyczących startu KPN w wyborach czerwcowych, znajdujących się w tarnowskim oddziale Archiwum Narodowego w Krakowie, co również uzyskanie dostępu do prywatnych kolekcji ludzi z opisywanego środowiska. Największym zaskoczeniem okazał się fakt przechowywania archiwum partyjnego KPN z lat 1979-1981 w archiwum Uniwersytetu Stanforda. Zostało tam przekazane już w latach 90., co rodzi pytanie o stan ochrony narodowej spuścizny archiwalnej.

Podstawowe zespoły archiwalne, na których oparto badania, znajdują się w archiwach IPN, w materiałach po nieistniejącej Służbie Bezpieczeństwa. Badającego te archiwa uderza pozorna obfitość materiału. W przypadku KPN mamy do czynienia z aktami dwóch dużych śledztw (łącznie 76 tomów) oraz aktami operacyjnymi z prowadzonej inwigilacji. Główna sprawa przeciwko KPN, o kryptonimie „Oszuści", liczy 10 tomów, a osobna, dotycząca Moczulskiego, to kolejne 21. O ile akta śledztw są zachowane w komplecie i stanowią bezcenne źródło historyczne, to już akta operacyjne są poważnie przetrzebione. Pierwotnie musiały być co najmniej kilkakrotnie obszerniejsze, brak w nich jest także szeregu doniesień tajnych współpracowników, których odpisy można niekiedy znaleźć w innych teczkach. To kwestia ważna, bowiem każe ostrożnie stawiać hipotezy badawcze na temat skali inwigilacji opozycji z lat 80. I w tym kontekście refleksja najważniejsza: same „teczki" to źródło drugorzędne do badania polityki władz wobec opozycji. Ta bowiem tworzona była w kierownictwie MSW czy wręcz na poziomie Biura Politycznego KC PZPR, a akt z narad tych gremiów zachowało się niewiele.

Bez akt SB nie można rzetelnie opisać dziejów opozycji w PRL, warto jednak zachęcić badaczy i badaczki, by rozpatrywali ten problem z nowych perspektyw, np. korzystając z badań teoretycznych relatywnie nowej gałęzi nauki, jaką są nauki o bezpieczeństwie. Od czasów otworzenia esbeckich archiwów przeważały bowiem analizy zawartości poszczególnych teczek, badano szersze problemy na podstawie jednostkowych spraw. Często owe publikacje pełniły funkcję lustracyjną, ujawniając przypadki tajnych współpracowników w kręgach opozycji. Pomimo tych zastrzeżeń owe badania cząstkowe odegrały pozytywną rolę w rozwoju zainteresowania działalnością opozycji. Obecnie jednak warto ten problem analizować głębiej i interdyscyplinarnie. *Szaleńcy niepodległości* są jedną z pierwszych książek, w których tak szeroko analizowana jest m.in. kwestia całościowej taktyki stosowanej przez SB wobec grup opozycyjnych i ewolucji tych działań.

Zaskakujący realizm działania i „czarna legenda"

Historia KPN została poddana wspominanemu już procesowi mitologizacji, którego celem było zapewne uwiarygodnienie samej partii w kręgach potencjalnych zwolenników. Sam Moczulski jest autorem koncepcji nurtu niepodległościowego (nn), konspiracyjnej organizacji niepodległościowej sięgającej korzeniami XIX wieku, z której wyrastać miała KPN, a on sam miał od lat 50. uczestniczyć w pracach owego gremium, by w kolejnych latach stanąć na jego czele. Źródeł historycznych na ten temat brak, co nie przeszkadzało liderom KPN budować – głównie na potrzeby werbunku nowych członków – narrację o długim trwaniu nurtu niepodległościowego.

Innym zjawiskiem, będącym dziełem przeciwników i rywali KPN, był proces demonizowania tej organizacji. Zdarzało się, że konkurencyjne środowiska opozycyjne zarzucały Konfederacji bycie esbecką prowokacją, a także antysemityzm, brak realizmu, pieniactwo i wewnętrzne rozbijanie opozycji. W świetle opublikowanych wyników badań skala „czarnej legendy" jest wręcz zaskakująca. Czerpiąc z tradycji piłsudczykowskiej, KPN stworzyła jeden z najciekawszych i przemyślanych programów politycznych w gronie ówczesnej opozycji. Dojrzały program i racjonalne decyzje w zmieniających się realiach politycznych to także cechy, które stoją w sprzeczności z negatywnym wizerunkiem, jakim przez lata cieszyła się w powszechnym odbiorze. „Nazywali nas partią szczeniaków i szaleńców" – stwierdził w marcu 1992 r. Krzysztof Król, osoba numer dwa w partii, a prywatnie zięć Moczulskiego. Mówił to w szczycie popularności partii, która posiadała 51 posłów i – jak pokazały kolejne lata – bezskutecznie aspirowała do miana największej siły centroprawicowej polskiego parlamentu.

Dzieje Konfederacji Polski Niepodległej to historia niepodległościowych dążeń Polaków żyjących w schyłkowym PRL, skomplikowanych uwarunkowań wewnętrznych polskiej opozycji, a także ponadczasowości pewnych szkół politycznego myślenia. To także historia buntu przeciwko niedemokratycznemu reżimowi, który udało się zmienić. Wreszcie, to opowieść o zmarnowanym potencjale politycznym. Mowa bowiem o partii, która w wyborach 1991 r. uzyskała więcej mandatów niż ugrupowania kierowane przez Donalda Tuska czy Jarosława Kaczyńskiego, by kilka lat później zupełnie zniknąć ze sceny politycznej.

Dr Grzegorz Wołk, Biuro Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej

Łukasz Białkowski

Estetyka relacyjna – podróż donikąd i z powrotem?

Książka *Utopia na ludzką miarę. Cyniczne wprowadzenie do estetyki relacyjnej*, traktując estetykę relacyjną jako pars pro toto wielu koncepcji społecznego zaangażowania sztuki, analizuje możliwości, jakie sztuka realnie posiada, gdy poszukuje swojej społecznej skuteczności .

W szerokiej gamie współczesnych praktyk artystycznych istnieje silny nurt, który zakłada, że zadaniem sztuki jest bezpośrednie wpływanie na rzeczywistość i jej społeczno-polityczna zmiana. Choć wielu czytelnikom spoza środowiskowej bańki, jaką jest świat sztuki, myśl ta może wydawać się nieco osobliwa, to dla dziesiątek tysięcy twórców i animatorów życia artystycznego jest czymś zupełnie oczywistym. Tradycyjną sztukę ocenia się, biorąc pod uwagę, czy wzbudza ona zainteresowanie estetyczne, wywołuje emocje, sprawia przyjemność lub jest poprawnie wykonana pod względem warsztatowym. Artyści, którzy działają w obszarze sztuki zaangażowanej społecznie, najczęściej całkowicie ignorują te – wydawać by się mogło naturalne – kryteria. Twórcy podejmujący taką działalność, mają ambicję, by sztuka nie była tylko „kwiatkiem do kożucha", zaledwie ozdobą pomieszczeń i przestrzeni publicznej, ewentualnie narzędziem „polityki kulturalnej", która za pomocą chwytliwych komunikatów wizualnych ma działać na rzecz władzy. Chcą wyprowadzić sztukę poza mury galerii i muzeów, podważając jej rozumienie jako dekoracji, przedmiotu konsumpcji w czasie wolnym i próbując uczynić z niej część zwyczajnego życia. Skupiają się na skuteczności swoich działań i wpływie społecznym, jaki one osiągają.

Historia takich praktyk sięga pierwszych dekad XX wieku (choć niektórzy badacze mówią nawet o XIX wieku), które falami o różnym natężeniu pojawiały się przez całe stulecie. O ich specyfice i periodyzacji trudno tutaj mówić ze względu na brak miejsca, istotne jest jednak to, że ostatnia z tych fal zaczęła przybierać na sile mniej więcej na przełomie lat 90. i pierwszej dekady XX wieku. Około roku 2005 działania te rozpowszechniły się w takim stopniu, że jedna z najbardziej wpływowych krytyczek sztuki tamtego czasu, Clair Bishop, na łamach magazynu „Art Forum" mówiła o „zwrocie społecznym" w sztuce. Było to całkowicie uzasadnione, bo niemal jak grzyby po deszczu pojawiały się wówczas bliźniaczo podobne koncepcje estetyki dialogicznej (2004), sztuki kontekstualnej (2009), sztuki kooperacyjnej (2011), sztuki kolaboracyjnej (2013) i wiele innych podkreślających unikalny charakter miejsca, w którym wydarzało się działanie artystyczne, kładących nacisk na rolę publiczności w sztuce, potrzebę współpracy z nią i możliwość osiągania w ten sposób społecznego wpływu przez sztukę.

Największą popularność wśród tych koncepcji sztuki zyskała estetyka relacyjna. Można zakładać, że o jej wyjątkowej roli decydowało to, że pojawiła się już w latach 90., czyli długo przed innymi, wymienionymi wcześniej koncepcjami. W 1998 roku ukazał się opublikowany po francusku zbiór esejów *Estetyka relacyjna*, a w 2002 roku jego tłumaczenie na angielski. Ale do popularności tej właśnie koncepcji przyczyniła się przede wszystkim charyzma jej autora, Nicolasa Bourriauda. utalentowanego kuratora wystaw i błyskotliwego krytyka sztuki. Już jako dwudziestokilkulatek osiągnął spory sukces, organizując wystawę w ramach biennale w Wenecji w 1990 roku – co nie jest częstym przypadkiem w tym wieku – a później jego renoma i popularność w międzynarodowym środowisku artystycznym tylko rosły. Gdy w 2002 roku Bourriaud objął funkcję pierwszego dyrektora nowo powstałego w Paryżu centrum sztuki, Palais de Tokyo, międzynarodowe media, które informowały o tym wydarzeniu, nie tylko przedstawiały sylwetkę samego Bourriauda, ale również odnosiły się do estetyki relacyjnej, która – jak zakładano – miała lec u podstaw działalności tej instytucji. Do 2005 roku koncepcja ta stała się tak rozpoznawana, że dyskutowano o niej nie tylko w świecie artystycznym i akademickim, ale również poświęcano jej programy w międzynarodowych kanałach telewizyjnych (np. BBC) i pisały o niej czasopisma lifestylowe, w których pojawiał się obok reklam markowych produktów (w Polsce, np. popularny wtedy „Fluid"). Estetyka relacyjna stała się więc niezwykle popularna na tle innych zjawisk, które miały wówczas miejsce w świecie sztuki. Stała się pewną modą, a terminu estetyka relacyjna używano wręcz synonimicznie z określeniem „sztuka zaangażowana społecznie".

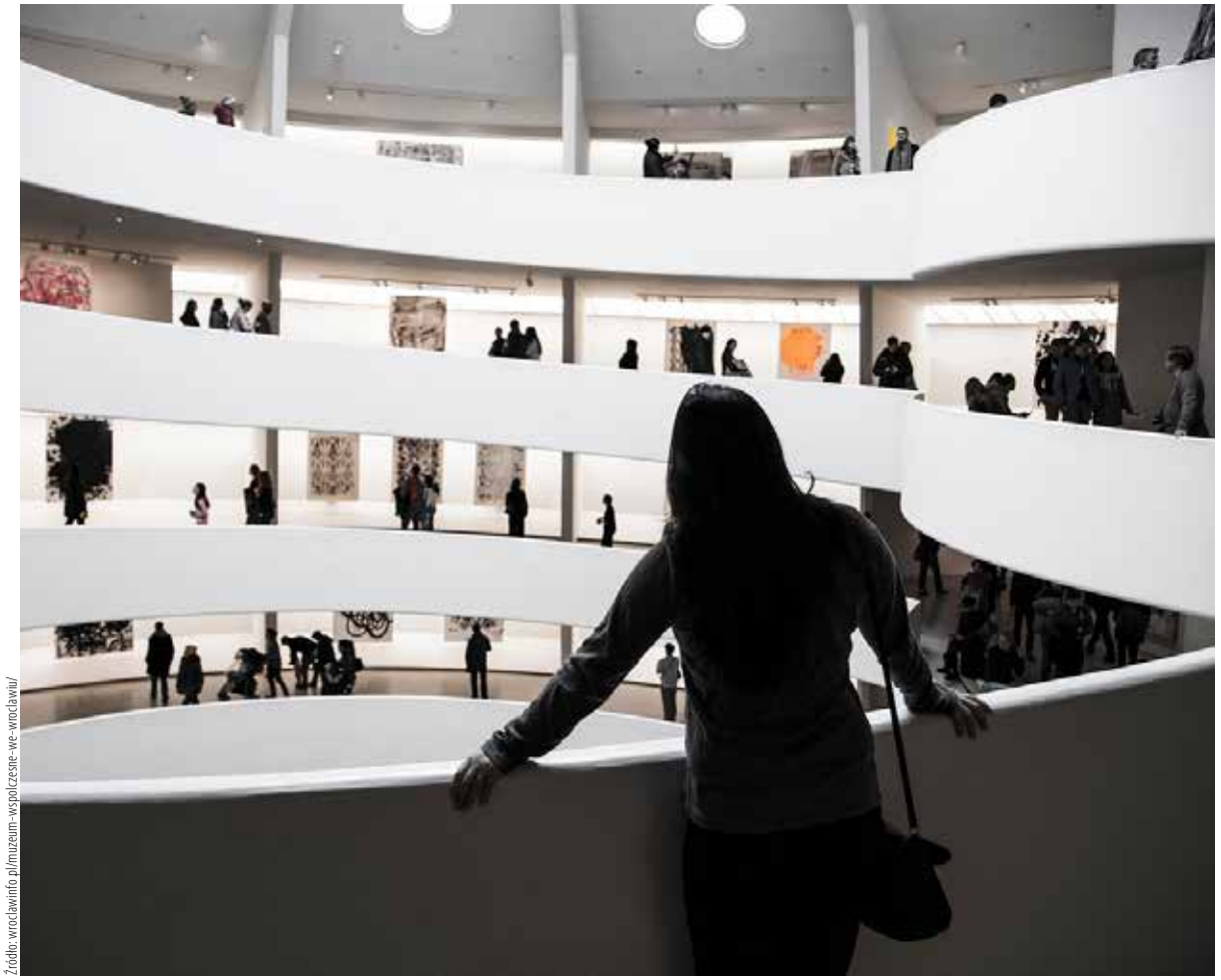
Książka *Utopia na ludzką miarę. Cyniczne wprowadzenie do estetyki relacyjnej* przedstawia historię powstania tej koncepcji i jej rozpowszechniania się w międzynarodowym obiegu artystycznym oraz systematyzuje dyskusje na jej temat. Traktując estetykę relacyjną jako pars pro toto wielu koncepcji społecz-

nego zaangażowania sztuki, analizuje możliwości, jakie sztuka realnie posiada, gdy poszukuje swojej społecznej skuteczności.

Analizy te przebiegają na dwóch obszarach. Pierwszy dotyczy tego, jak ta koncepcja zdawała egzamin w zderzeniu z rzeczywistością, czyli jak słowa i deklaracje Nicolasa Bourriauda przekładały się na czyny. Tej części książki patronuje z pewnym przekąsem Peter Sloterdijk, który w książce *Krytyka cynicznego rozumu* przekonywał, że nowoczesność – jako pewna formacja kulturowa, sposób myślenia, praktyki społeczne i polityczne mające swoje źródło w oświeceniu – jest strukturalnie uwikłana w cynizm. Oznaczało to dla niego, że filozoficzne, polityczne i społeczne narracje, które pojawiały się w XIX i XX wieku, charakteryzował rozdźwięk między tym, co głosiły, a tym, jak propagowane idee przekładały się na ich realizację. W pełnych sarkazmu opisach wielu „emancypacyjnych" projektów, od marksizmu po psychoanalizę, Sloterdijk pokazuje, jak życie weryfikuje wzniosłe deklaracje, sprawiając, że pragmatyka i bardzo ludzkie potrzeby wymykają się karbom narzucanym przez idee. Te ostatnie stają się zaledwie zasłoną dla bardzo przyziemnych ludzkich zachowań, którymi steruje ich własna mechanika.

Kontekst ten jest istotny, gdyż Nicolas Bourriaud w swoich artykułach i udzielanych wywiadach wielokrotnie deklarował przywiązanie do idei nowoczesności. Negatywnym punktem odniesienia była dla niego myśl postmodernistyczna jako kultura marazmu i wyczerpania, jako wiara w to, że historia się skończyła, a wraz z nią postrzeganie kultury w kategoriach postępu. Idee funkcjonujące pod szyldem postmodernizmu wywoływały w nim obawy, utożsamiał je bowiem z nastaniem stylu życia narzucanego przez neoliberalizm: konsumpcjonizmem, uprzedmiotowieniem człowieka przez człowieka dla maksymalizacji zysku oraz nowymi technologiami, które w jego przekonaniu pogłębiały fragmentaryzację społeczną. Bourriaud nie chciał odrzucać zdobyczy naukowych i społecznych XIX i XX wieku i – podobnie jak Jürgen Habermas, który określił nowoczesność „niedokończonym projektem" – wierzył, że projekt ten warto było kontynuować. A jednocześnie dostrzegając niedoskonałości tej formacji kulturowej, autor *Estetyki relacyjnej* mówił o sobie, że jest (alter)modernistą: postmodernizm to tylko chwilowe zaburzenie procesów zapoczątkowanych dwieście lat wcześniej, nowoczesność należy poprawić, a nie przekreślać.

Niechęć do kapitalizmu przekładała się również na zadania, które Bourriaud wyznaczał sztuce. Chciał, by stała się ona zaczynem procesów podważających lub chwilowo zawieszających reguły życia społecznego determinowane przez logikę zysku. Działania artystyczne powinny stać się wyrwą w systemie, „szczeliną", jak to określał. Gdy dzieło sztuki funkcjonuje jako towar na rynku, warto podjąć wysiłek, aby odebrać mu tę funkcję. Gdy przestrzeń galerii staje się miejscem wymiany ekonomicznej między galerzystą, artystą a klientem, należy spróbować zmienić charakter tego miejsca. Dlatego zaproponował koncepcję kładącą nacisk na relacje. Dzieło sztuki miało stać się pretekstem do problematyzowania relacji międzyludzkich, a nie do wymiany handlowej. Powinno przeciwstawiać się procesom fragmentaryzacji społecznej i zamiast oddzielać ludzi od siebie – jak ma to miejsce w przypadku np. obrazu czy grafiki, które pośrednicząc między artystą i widzem, tworzą jednocześnie barierę – stwarzać okazję do stanięcia ze sobą twarzą w twarz. Mówiąc najkrócej, sztuka miała za zadanie problematyzować relacje międzyludzkie i wspólnotowość, które zostają wystawione na niebezpieczeństwo w obliczu „końca historii" i globalnej dominacji neoliberalizmu.



Źródło: wroclawinfo.pl/muzeum-wspolczesne-we-wroclawiu/

Utopia na ludzką miarę pokazuje, że nawet tak ogólnie sformułowane przesłanie napotykało spore problemy w realizacji. Dotyczyło to praktyki artystycznej, ale rozmijanie się postulatów z rzeczywistością zaobserwować można również w działalności samego Nicolasa Bourriauda. Między innymi w tekstach, które Bourriaud publikował w latach 90. we francuskiej prasie artystycznej. Bo mimo że emanowała z nich niechęć do kapitalizmu i opierały się na leksyce inspirowanej marksistowską krytyką kultury – Bourriaud mówił o konsumeryzmie, produktywizmie, utowarowianiu, „zatruwaniu atmosfery przez produkcję znaków" czy „ekonomii obrazów" – to pisane były z pasją dla czasopism, których treść w około połowie składała się z reklam: od materiałów promujących galerie sztuki przez anonse wernisaży, informacje o książkach poświęconych sztuce, po reklamy towarów luksusowych, takich jak zegarki, samochody czy perfumy. Choć gołym okiem widać, że nie była to płodna gleba dla krytyka konsumeryzmu, nie przeszkadzało Bourriaudowi tam właśnie publikować swoje diatryby przeciw kapitalizmowi. Uwagę zwraca również fakt, że gdy pisał o wystawach w komercyjnych, dużych galeriach – będących wcieleniem żywej siły kapitału – rzadko decydował się na uwagi krytyczne. Najczęściej uciekał się do ekwilibrystyki słownej lub metaforyki, nawet wtedy, gdy pisał o wystawach o wyraźnie komercyjnym charakterze. Dopiero gdy na warsztat brał artystów spoza siatki interesów zachodnich galerii, pozwalał sobie na ostre komentarze. Trudno się temu dziwić, jeśli jego naturalnym habitatem były duże, komercyjne czasopisma o sztuce, które zarówno wpływały na rynek, jak i z uwagą przyglądały się każdemu słowu swoich autorów, by przypadkiem nie powiedzieli za dużo, nie urazili któregoś z podmiotów lub nie spalili mostów z reklamodawcami. Nad antykapitalistycznymi deklaracjami brała górę chęć budowania pozycji w środowisku. Głoszone idee przegrywały z życiową pragmatyką.

Drugi obszar badań dotyczył estetyki relacyjnej jako „pustego znaczącego". Rozumienie tego pojęcia opiera się na analizach Ernesta Laclau, dla którego puste znaczące są kluczowymi dla debaty politycznej terminami, takimi jak demokracja, władza ludu, porządek, sprawiedliwość. W przeciwieństwie do innych „znaczących" nie mają one trwałego elementu „znaczonego", co pozwala na ich nieustanne redefiniowanie. Są one w tym sensie ideami regulatywnymi, których znaczenie dana społeczność negocjuje, przez co zmieniają one swoją wymowę w zależności od kontekstu.

Utopia na ludzką miarę przekonuje, że również estetyka relacyjna pod wieloma względami przypomina puste znaczące i że miało to istotne znaczenie dla recepcji i rozpowszechniania się tej koncepcji. Już sam sposób jej artykulacji przez Bourriauda – w książce, która była zbiorem artykułów publikowanych na przestrzeni kilku lat w różnych czasopismach i monografiach, a nie systematycznych wykładem jego poglądów – sprzyjał funkcjonowaniu estetyki relacyjnej na podobieństwo pustego znaczącego. Sama nazwa „estetyka relacyjna" sprawiała wrażenie intuicyjnie zrozumiałej, a ogólnikowe znaczenie, które nadał jej Bourriaud, zachęcało do traktowania jej tylko hasłowo. Widzimy to na przykład w tym, jak popularne stały się odwołania do estetyki relacyjnej w wielu dziedzinach bardzo odległych od sztuki. Proliferacja hasała estetyka relacyjna – tylko przywoływanego, jakby znaczenie stojące za nim było oczywiste i zrozumiałe samo przez się – w artykułach poświęconych polityce międzynarodowej, zarządzaniu, antropologii kulturowej, a nawet psychiatrii, jest tematem jednego z rozdziałów *Utopii na ludzką miarę*.

Przede wszystkim jednak chwiejne lub wręcz niejasne znaczenie terminu „estetyka relacyjna" widoczne stało się w dyskusjach na temat tej idei, które toczyli krytycy i teoretycy sztuki. Główny rozdział *Utopii na ludzką miarę* pokazuje, jak w koncepcji Bourriauda – czytelnej w bardzo ogólnych zarysach, ale nieprecyzyjnej w szczegółach – krytycy i polemiści dostrzegali często rzeczy sprzeczne, zarzucając autorowi nadmierną afirmację tego, czego całkowity brak wskazywali inni. Raz krytykowano zbyt silne przywiązanie do traktowania dzieła sztuki jako fizycznego obiektu, innym razem podkreślano zbytnią chwiej-



Źródło: rzezba-oronsko.pl

Centrum Rzeźby Polskiej w Oroński

ność ontologicznego statusu sztuki relacyjnej, którą rozumiano jako szereg niezapośredniczonych niczym relacji pomiędzy ludźmi. Jedni krytykowali zbytnią dbałość Bourriauda o pozostawienie sztuki relacyjnej w autonomicznym, izolowanym od życia społecznego kontekście przestrzeni wystawienniczej, by za chwilę inni mówili, że rozpuszczenie sztuki w codziennych czynnościach życiowych to czysta utopia.

Utopia na ludzką miarę dowodzi, że mnogość sprzecznych interpretacji estetyki relacyjnej wykraczała zdecydowanie poza naturalnie pojawiający się w każdej teorii margines swobody interpretacyjnej. Choć wszystkie nietrywialne, istotne kulturotwórczo koncepcje podlegają różnorakim interpretacjom, nawet sprzecznym, to na ogół jednak możemy zrekonstruować zasadniczy zrąb myśli jej autorów, a interpretacje pojawiają się dopiero na jej marginesach. Gdy idzie natomiast o *Estetykę relacyjną*, trudności sprawia nawet właściwe odczytanie zasadniczego przesłania tej koncepcji. Jest ono tak ogólne („sztuka lat 90. skupia się na problematyzowaniu relacji międzyludzkich"), że zdecydowanie wymaga doprecyzowania, to zaś okazuje się niemożliwe, dlatego że dotyczy tych aspektów koncepcji, które pozostają wieloznaczne: czy cała sztuka lat 90., czy tylko jej fragment opisywany przez Bourriauda? Czy niezbędny do tego jest obiekt, czy wystarczą sami uczestnicy? Czy skuteczność tych działań należy oceniać kryteriami etycznymi, czy jedynie artystycznymi? Bourriaud wielokrotnie na te pytania daje odpowiedzi, które się wykluczają. A nie są to dla jego teorii zagadnienia marginalne, lecz takie, które domagają się klarowności, aby można było nazwać ją koncepcją w pełnym znaczeniu tego słowa.

Wydaje się więc, że rozbieżności interpretacyjne nie stanowią marginesów, ale sam rdzeń koncepcji Bourriauda, a pustka – rozumiana jako wolne miejsce pozostawione do dookreślenia przez interpretatora – stanowi nieusuwalną cechę wyrażenia „estetyka relacyjna". Dowolność interpretacyjna, na jaką pozwalał termin „estetyka relacyjna", decydowała o tym, że w pewnym sensie pozbawiano go treści. Im bardziej stawał się popularny, tym dalej sytuował się od swojego pierwotnego kontekstu i tym bardziej hasłowo go traktowano, określając za jego pomocą właściwie dowolną praktykę artystyczną. Okazywał się słownym wytrychem, używanym po to, by nadać projektom artystycznym polor nowości lub społecznego zaangażowania. Często nawet wtedy, gdy zaangażowanie to było jedynie powierzchowne.

W ten sposób losy estetyki relacyjnej wydają się potwierdzać sceptyczne diagnozy Petera Sloterdijka. Ta odwołująca się do idei nowoczesności i wiary w postęp koncepcja, która postulowała społeczną misję sztuki, prowadziła często do nieudanej parodii tej misji. Stawała się żywym przykładem tego, że w myślenie w duchu nowoczesnym immanentnie wpisana jest tendencja, by kiełkujące w jego obszarze wizje i postulaty przeistaczały się albo we własne zaprzeczenie, albo w intelektualny listek figowy (oba człony tej alternatywy u niemieckiego filozofa są właściwie tożsame) dla idącej swoimi ścieżkami praktyki.

Wewnętrzna sprzeczność i rozmijanie się postulatów z praktyką nie dotyczyły wyłącznie estetyki relacyjnej, ale całego nurtu podobnych koncepcji, o których wspomniałem na początku. Wszystkie one wikłały się w dychotomie i napięcia: między instytucjonalizacją a nieustanną „krytyką" instytucji, między autentyczną partycypacją uczestników a odgrywaniem przez nich wyreżyserowanych ról, między karierą artysty a losem „lokalnych społeczności" – jak zwykło się je nazywać w tym kontekście – z którymi on pracuje i o które się troszczy, by za chwilę je bezceremonialnie porzucić i zająć się projektem na drugim końcu świata, między społecznie wrażliwymi postulatami a spieniężaniem efektów swojej pracy i instrumentalizacją uczestników „wspólnotowych" działań.



Estetyka relacyjna tym się od nich różniła, że mając wszystkie wady i zalety całego przekroju podobnych zjawisk, wprost odsłaniała swoje miękkie podbrzusze. Gdy pokrewne jej nurty wzmiankowane napięcia przesłaniały dyskursem miejskiego aktywizmu, etosem pracy w dzielnicach społecznie wrażliwych, współdziałaniem z lokalnymi domami kultury, oddolnymi ruchami społecznymi i partami politycznymi, estetyka relacyjna jakby beztrosko ujawniała łatwość w godzeniu tego co „systemowe" z tym, co ma ten „system" poddać rewizji lub uchylić jego omnipotencję. Ujawniała się jako destylat nie tylko pewnych tradycji intelektualnych i artystycznych, ale również siatki relacji przyjacielskich i finansowych francuskiego mieszczaństwa końca XX wieku, jako element towarzyskiej gry w mnożenie kapitału symbolicznego i ekonomicznego toczonej przez galerzystów, kolekcjonerów, dyrektorów instytucji, redaktorów naczelnych czasopism artystycznych i wiele innych figur tej sceny. Niemniej, jak okazuje się z perspektywy dwóch dekad, proponując tę dostosowaną do ludzkich słabości utopię, utopię na ludzką miarę – ni to zbudowaną na ideałach, ni to skupioną na zyskach, ni to komercyjną, ni to zaangażowaną – Bourriaud zaproponował narrację, która przez pewien moment obiegała artystyczny i też pozaartystyczny świat, stanowiąc alternatywę dla postmodernistycznej kultury wyczerpania. Być może cyniczną i dość rozmytą w swojej treści, ale z pewnością niemałą narrację w epoce, która wszystkie wielkie narracje chciała wyrzucić na śmietnik historii.

Dr Łukasz Białkowski, Katedra Nauk o Sztuce, Instytut Sztuki i Designu, Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

Olga Wasiuta

Zbrojna opozycja wewnątrz Federacji Rosyjskiej

Nasilenie i niebezpieczeństwo prześladowań wywołało eksplozję podziemnych ruchów antywojennych, które wielu Rosjan uznało za bezpieczniejszą alternatywę dla otwartego protestu .

Kryzys w układzie stosunków międzynarodowych wywołany agresywnymi działaniami Federacji Rosyjskiej nabrał nowego znaczenia wraz z rozpoczęciem inwazji rosyjskich wojsk na Ukrainę w 2022 roku. Im dłużej trwa wojna, tym bardziej rosną zagrożenia dla przyszłości globalnego bezpieczeństwa. Na tym tle odbywają się zmiany paradygmatu porządku świata, którym towarzyszy zderzenie i restrukturyzacja podstawowych narracji polityki międzynarodowej.

Poprzez operacje wojskowe na Ukrainie i szantaż nuklearny społeczności międzynarodowej Moskwa realizuje swój główny cel, jakim jest odbudowa imperium Związku Radzieckiego i przywrócenie dwubiegunowego porządku świata, który istniał przed upadkiem ZSRR w 1991 roku. Próba wskrzeszenia imperium poprzez militarną inwazję na terytorium sąsiedniego państwa zadała niszczycielski cios porządkowi międzynarodowemu powstałemu po drugiej wojnie światowej.

Po rozpoczęciu wojny na Ukrainie powstało stowarzyszenie rosyjskiej radykalnej opozycji wobec reżimu prezydenta Putina. Obejmuje ono formacje zbrojne Rosjan walczące z Federacją Rosyjską po stronie Ukrainy w ramach jej Sił Zbrojnych. Dziś publiczne komunikowanie rosyjskich opozycjonistów na temat wyjścia Federacji Rosyjskiej z wojny już kształtuje pewne oczekiwania w ich przyszłym elektoracie. Wojna nie zostanie zapomniana, gdy ostatni żołnierz Federacji Rosyjskiej opuści uznane międzynarodowo granice Ukrainy. Przecież wśród wszystkich konfliktów zbrojnych, które Rosja wszczęła w ciągu ostatnich 30 lat, wojna rosyjsko-ukraińska stała się bezprecedensowa, w większym lub mniejszym stopniu dotknęła większość krajów świata i wstrząsnęła globalną architekturą pokoju.

Według Mychajła Basaraba, politologa i żołnierza sił zbrojnych Ukrainy, rosyjskich opozycjonistów nie ma. To ci sami imperialiści i szowiniści, którzy od prezydenta Rosji Władimira Putina różnią się tylko jednym: walczą o władzę. Chcą go wyeliminować, ale mają taki sam stosunek do Czeczenów, Inguszów i wielu innych narodów, które cierpią z powodu ich imperialnej polityki.

Rosyjska inwazja na Ukrainę wywołała falę protestów na całym świecie, ale nie w samej Rosji, ponieważ Kreml wprowadził de facto „cenzurę wojskową", szybko zasądzając kary więzienia dla tych, którzy inwazję krytykują. Wszyscy wybitni opozycjoniści zostali zabici, uwięzieni lub wyemigrowali. Nasilenie i niebezpieczeństwo prześladowań wywołało eksplozję podziemnych ruchów antywojennych, które wielu Rosjan uznało za bezpieczniejszą alternatywę dla otwartego protestu. Ataki na wojskowe urzędy werbunkowe (tzw. komisariaty), które stanowią trzon rosyjskiej maszyny wojny, stały się regularną formą protestu.

W związku z tym, że znaczna większość opozycyjnych grup zbrojnych pojawiła się w drugiej połowie 2022 roku i na początku 2023 roku, dziś praktycznie nie ma jeszcze badań naukowych poświęconych ich działalności. Moja monografia jest próbą analizy charakteru i kluczowych elementów tworzenia i działalności opozycyjnych grup zbrojnych tak wewnątrz FR, jak i poza jej granicami, a mianowicie po stronie Sił Zbrojnych Ukrainy. Zaprezentowany problem badawczy jest aktualny i szeroki. Przystępując do napisania tej książki, podjęłam wielkie ryzyko badawcze, mianowicie zajęłam się analizą zjawisk i procesów odnoszących się do skomplikowanej współczesnej rzeczywistości, często nieznanych, niekiedy niezrozumiałych faktów i tendencji, starając się ująć je kompleksowo.

Partyzantka i sabotaż

W obliczu narastających strat Sił Zbrojnych Rosji i Gwardii Rosyjskiej na froncie ukraińskim, a także pogorszenia się stanu gospodarki rosyjskiej na skutek zachodnich sankcji ruch partyzancki w Rosji staje się coraz bardziej powszechny. Większość obywateli FR zajmuje pozycje bierne, ale niektórzy trafiają do ruchów zbrojnego oporu i partyzantki. Mimo stosunkowo niewielkiej ich liczby, asymetryczne metody działania

stosowane przez partyzantów mogą zmienić realny układ sił na ich korzyść. Partyzanci sabotują koleje, demontują odcinki torów kolejowych, aby zatrzymać napływ sprzętu wojskowego na Ukrainę, wykolejają wagony towarowe, palą urzędy rejestracji i poboru do wojska oraz jednostki wojskowe na terenie FR, palą samochody zwolenników terroru Putina, stosują hakerskie ataki na strony internetowe zawierające propagandowe treści prorosyjskie. Antywojenne protesty w Rosji zeszły do podziemia. Wszystko to jest dziełem partyzantów, którzy działają na terytorium Rosji od początku jej inwazji na Ukrainę.

Partyzanci działają w sposób zorganizowany, zgodnie z instrukcjami przekazywanymi poprzez portale społecznościowe. Nagrywają swoją udaną „pracę" na wideo i umieszczają ją w internecie. W poprzednich latach nic takiego się nie działo. „Istnieje coś, co nazywa się awangardą w postaci ruchu partyzanckiego, która dokonuje określonych działań, aby zastraszyć przedstawicieli władzy" – mówi Ihor Semiwołos, dyrektor Centrum Studiów Bliskowschodnich. Dziennikarze czasopisma „The Insider", uznanego w Rosji za zagranicznego agenta, przeprowadzili śledztwo i doszli do wniosku, że partyzanci to odrębne grupy, które łączą nastroje antyputinowskie.

W 2022 roku w Rosji pojawiły się nowe ugrupowania opozycyjne: Feministyczny Antywojenny Ruch Oporu, grupa „Zatrzymaj Wagony", Organizacja Bojowa Anarcho-komunistów, Rosyjski Legion Wolności. Pod względem politycznym wahają się od socjalistów i anarchistów po nacjonalistów czy nawet faszystów. Pomimo różnic grupy antywojenne są do siebie podobne pod względem stosowania anonimowości i sabotażu, odejścia od kultury przedwojennej rosyjskiej opozycji wobec Putina.

Do powstania w Rosji na pełną skalę jeszcze daleko, ale jest to możliwe i stanie się rzeczywistością w przypadku przegranej w wojnie z Ukrainą. Dowodem na to jest zwiększenie skali zbrojnych demonstracji rebeliantów przeciwko rządowi Putina, jak miało to miejsce w obwodzie biełgorodskim, oraz wzrost liczby akcji dywersyjnych na terytorium Rosji. Co więcej, stwarza się wrażenie koordynacji ich działań z jednego lub kilku ośrodków, co oznacza unifikację i systematyczne strukturyzowanie ruchów oporu wobec Kremla. Po rozpoczęciu wojny z Ukrainą w Rosji gwałtownie wzrosła liczba wypadków na kolei. Według samych doniesień medialnych od marca do czerwca 2022 r. w Rosji wykoleiły się 63 pociągi towarowe.

Od końca lutego 2022 roku w Rosji doszło do co najmniej 23 ataków na wojskowe biura rejestracji i poboru (o czym informowały media i kanały na Telegramie), z czego 20 było bezpośrednim podpaleniem. W 2021 roku nie było podobnych incydentów. Używano głównie koktajli Mołotowa. Instrukcje jak zrobić takie butelki krążyły w sieciach społecznościowych. Podpalenia te nie były pojedynczą skoordynowaną kampanią, ale były wspierane przez różne grupy, od lewicowych anarchistów i proukraińskich aktywistów po grupy skrajnie prawicowe.

Sabotaż na kolei jest prawdopodobnie jednym z głównych aktów i być może najbardziej znanym. Chociaż członkowie organizacji wzywają również do innych sposobów protestu, na przykład odmowy pracy, strajków, legalnych zwolnień lekarskiech, aby tylko zatrzymać część produkcji na potrzeby wojny. Zbrojna opozycja rosyjska uważa, że sabotaż na kolei zatrzymuje pociągi, które wiozą sprzęt wojskowy na zachód, amunicję, materiały wybuchowe itp.

Walczące mniejszości

Mniejszości etniczne w Rosji także są reprezentowane w ruchach oporu, np. w Baszkortostanie, gdzie pojawił się anonimowy kanał Telegramu „Komitet Baszkirskiego Ruchu Oporu", który nawołuje do brutalnych działań protestacyjnych, w tym podpalania wojskowych komisariatów i biur rosyjskich partii politycznych. Anonimowi administratorzy w swoim pierwszym poście napisali, że kanał „stworzono w celu organizowania narodowego oporu w Baszkortostanie przeciwko rządowi Putina" i uniezależnienia od Rosji.

Trzeba podkreślić, że Baszkortostan to jeden z najpotężniejszych regionów, który wchodzi w skład Federacji Rosyjskiej. Region ten jest swego rodzaju kluczem do uzyskania niepodległości przez cały Idel-Ural, gdyż po przywróceniu podmiotowości państwowej kraju z centrum w Ufie swoją nie-



Źródło: kresy.pl

Wysadzony przez ukraińskich partyzantów rosyjski pociąg z węglem .

podległość szybko odzyskają Tatarstan, Erzjanie i Mokszanie (grupy etniczne zamieszkujące Mordowię), Czuwaszja, Mari El i Udmurcja. Baszkirowie są narodem wojowniczym. Na terytorium współczesnej Federacji Rosyjskiej tylko Czeczeni i Baszkirowie nieustannie walczyli z Rosjanami. Baszkirowie prowadzili wojnę z Rosją przez około 200 lat. Te dwa narody zawierają też najmniej małżeństw z Rosjanami. Rosjanie od wieków eksterminują Baszkirów, a w wyniku rosyjskiej polityki rdzenni mieszkańcy stanowią obecnie zaledwie 23% populacji republiki.

Batalion Turan, na którego czele stoi obywatel Kirgistanu Almaz Kudabek, składa się częściowo z pochodzących z Rosji emigrantów pochodzenia tureckiego. Istnieją także organizacje radykalnie lewicowe i anarchistyczne, które przyłączyły się do zbrojnego oporu przeciwko Kremlowi. Grupy te stosują taktykę obejmującą niszczenie torów kolejowych, palenie transformatorów, podpalanie wojskowych komend uzupełnień, cyberataki oraz przeciwdziałanie rosyjskiej propagandzie w mediach społecznościowych. Grupa Anarchiczni Wojownicy została powołana w 2018 roku, choć bezpośrednie działania przeciwko władzom rosyjskim podjęła dopiero po rozpoczęciu wojny w Ukrainie. W maju 2022 roku grupa ta powołała Fundację Rewolucyjnego Anarchisty. Od tego czasu zajmuje się głównie sabotażem na rosyjskiej kolei.

Władzom było trudno przemilczeć fakty podpaleń, ponieważ partyzanci zamieszczają filmy na ten temat na portalach społecznościowych. Gdy nie da się ukryć podpaleń wojskowych komend uzupełnień, drugi front walki partyzanckiej – wojnę kolejową – zawsze można przypisać jakimś problemom technicznym. Tak działają rosyjskie władze. Oficjalne statystyki pokazują jednak, że liczba incydentów kolejowych gwałtownie wzrosła od początku wojny.

Według Kremla – terror

Za tajemnicze pożary, które zaczęły wybuchać w Rosji już na początku wojny rosyjsko-ukraińskiej, obwiniano ukraińskich sabotażystów, a nawet agentów zachodnich wywiadów. Jednak film dokumentalny brytyjskiego filmowca Jake'a Hanrahana pt. *Rosyjskie podziemie antyputinowskie*, który ukazał się na YouTube 3 stycznia 2023 roku, sugeruje, że „aktywny opór na dużą skalę wewnątrz Rosji" jest obecnie prowadzony przez obywateli Rosji, którzy mają dość rządów Putina i zamierzają coś z tym zrobić. W filmie dwóch rosyjskich partyzantów spotyka się z Hanrahanem w zaśnieżonym lesie w Europie Wschodniej, w pobliżu granicy z Rosją. Bojownicy z zamaskowanymi twarzami szczegółowo opisują akcje sabotażowe, w których podobno brali bezpośredni udział (m.in. niszczenie linii kolejowych i wieży telefonii komórkowej w pobliżu granicy z Ukrainą) lub pomagali je organizować innym grupom. Twierdzą, że około 30 oddziałów w całej Rosji jest aktualnie zjednoczonych w celu osłabienia Kremla. Mężczyźni powiedzieli filmowcowi, że ryzykują życiem, ponieważ „to nie jest kraj [Putina], to nasz kraj" i dodali: „jeśli nie teraz, to kiedy?". Według dziennikarza, sabotażyści reprezentują „anarchokomunistyczną" grupę znaną jako Bojowa Organizacja Anarcho-komunistów. Wiarygodność komórki została ustalona dzięki nagraniom z ataków, które nie pojawiły się w internecie.

Chociaż zdecydowana większość grup rosyjskiej opozycji zbrojnej działa na terytorium Ukrainy, w granicach własnej domeny prezydenta Putina wybuchł mroczny, ale coraz bardziej aktywny front. Kilka grup rzekomo składających się z Rosjan sprzeciwiających się Kremlowi i jego sposobowi prowadzenia konfliktu chwyciło za broń, zaczynając od aktów sabotażu infrastruktury, kończąc na zabójstwach wysoko postawionych osobistości. Chociaż stosunkowo niewiele wiadomo o tych rebelianckich grupach zamieszanych w działania uważane przez Moskwę za terrorystyczne, „Newsweek" rozmawiał z ekspertami, którzy przeprowadzili szeroko zakrojone badania nad grupami i przedstawicielami opozycji zbrojnej, aby uzyskać nowy wgląd w cele i taktykę czterech kluczowych organizacji rebelianckich: Bojowej Organizacji Anarcho-komunistów, Narodowej Armii Republikańskiej, Grupy Czarny Most (Black Bridge), Grupy „Zatrzymaj Wagony", a także w ich potencjalne powiązania z zagranicznymi rządami, w tym z Ukrainą. Moskwa ze swojej strony postrzega wszystkie te grupy jako część spuścizny terroryzmu we współczesnej Rosji, sięgającej wczesnego okresu postsowieckiego w latach 90., kiedy to Kreml rozpoczął pierwszą z dwóch wojen przeciwko separatystycznym bojownikom Czeczenii.

W niektórych przypadkach grupy krajowe są powiązane z Ukrainą, co bardzo utrudnia rosyjskim służbom wywiadowczym i służbom bezpieczeństwa zapobieganie i przechwytywanie ich działalności. Grupy te są bardzo zróżnicowane ideologicznie, od skrajnie lewicowych anarchokomunistów, po ultraprawicowych neofaszystów. Ich taktyka jest podobnie zróżnicowana, niektórzy koncentrują się na demontażu linii kolejowych, podczas gdy inni twierdzą, że trzeba zabijać zwolenników wojny. I ta działalność nie ogranicza się do Rosji, a rozciąga się również na Białoruś i okupowane terytoria ukraińskie.

Republiki kaukaskie mogą także zwrócić się ku bardziej aktywnym formom sabotażu i terroryzmu w ramach wojny partyzanckiej. Pod pewnymi warunkami, w szczególności osłabiania rosyjskiego rządu i jego struktur władzy, islamiści mogą także przejść do wojny partyzanckiej przeciwko władzom lokalnym i centralnym w celu stworzenia warunków do budowy własnego islamskiego państwa wobec wzrostu liczby zwolenników radykalnego islamizmu w Federacji Rosyjskiej.

Po pierwszym podpaleniu nastąpiła seria podobnych ataków w całej Rosji. Napastnikami byli studenci i dojrzali mężczyźni po 50. roku życia, kobiety w ciąży i starsi ludzie. Często powodowali nieznaczne szkody własnoręcznie zrobionymi koktajlami Mołotowa. Większość napastników zatrzymano i oskarżono o uszkodzenie mienia. Latem 2022 roku w sprawę zaangażowała się Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji, czyli wewnętrzna tajna służba, badając akty podpaleń. Według rosyjskiego obserwatora praw człowieka, w tym okresie szybko zmieniono klasyfikację zarzutów karnych postawionych podpalaczom: od szkód majątkowych (art. 167 ust. 2 Kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej) po terroryzm (art. 205 ust. 1 kk FR). Zwiększył się maksymalny wymiar kary pozbawienia wolności od 5 do 15 lat. Ta decyzja doprowadziła do chwilowego obniżenia fali ataków na komisariaty wojskowe, które w okresie letnim częściowo były zamknięte. Ogłoszona przez prezydenta Rosji we wrześniu 2022 roku mobilizacja wywołała nową falę ataków na komisariaty wojskowe – odnotowano około 77 aktów podpaleń od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Z ukraińskiej inspiracji

Oczywiście rosyjski rząd i media państwowe nie odnoszą się pozytywnie do podpalaczy. Jednak rosnąca liczba ataków nie nabrała rozgłosu, ponieważ główne kanały telewizyjne przestały podawać informacje o nich. Tymczasem państwowe media internetowe szczegółowo opisywały podpalenia, charakteryzując napastników i podpalaczy komisariatów wojskowych w odczłowieczający sposób. Według „Life Media" sprawcy podpaleń w Rosji to z reguły: narkomani, wyrzutki i nastolatki, których przyciągają łatwe pieniądze. Państwowa agencja informacyjna „Regnum" napisała artykuł o narkomanie-nastolatku, od którego diler narkotyków zażądał podpalenia komisariatu wojskowego w Niżnym Nowogrodzie. Natomiast „Argumenty i fakty" opublikowały tekst, w którym twierdziły, że udało się im stworzyć psychologiczny portret napastników

na rosyjskie komisariaty wojskowe. W artykule podkreśla się, że sprawcami tych ataków są głównie mężczyźni cierpiący na zaburzenia psychiczne.

Inną popularną narracją w mediach państwowych jest „ukraiński ślad". Państwowa agencja informacyjna RIA Nowosti opublikowała raport zatytułowany *Ukraińscy nacjonaliści werbowali Rosjan do ataków na rosyjskie wojskowe komendy uzupełnień*. W wyemitowanym filmie Rosjanin twierdzi, że skontaktował się z nim jakiś „ukraiński nacjonalista" na Telegramie i zaoferował mu około 2000 dolarów za podpalenie rosyjskiej wojskowej komendy uzupełnień. Opublikowano również wideo na stronie gazety „Izwiestia", gdzie anonimowy Rosjanin twierdził, że niektórzy Ukraińcy szantażowali go, aby podpalił posterunek wojskowy w Dagestanie, grożąc, że zabiją jego ojca mieszkającego na Ukrainie, gdyby tego nie zrobił. Niektóre media nazywają podpalaczy „najemnikami Służby Bezpieczeństwa Ukrainy". Powszechną praktyką stało się także publikowanie w rosyjskich mediach państwowych „zeznań" rzekomych podpalaczy, którzy po zatrzymaniu przyznają się do otrzymania wynagrodzenia z Ukrainy. Niektóre media państwowe przeprowadziły głębsze analizy, próbując odnaleźć źródła działalności podpalaczy.

Znaczna część ataków została odnotowana w regionach Rosji w większości zamieszkanych przez mniejszości narodowe, w których ludzie utożsamiają się z Rosjanami w niewielkim stopniu i mogą posługiwać się językiem ojczystym. W wywiadzie udzielonym niezależnemu rosyjskiemu portalowi Verstka szereg osób, rzekomo zamieszanych w podpalenia w Baszkortostanie, mówi wprost, że rosyjska inwazja na Ukrainę to „nie ich wojna" i twierdzi, że „nie byli gotowi umierać za rosyjskie wartości". „Dlaczego Baszkirowie mieliby umierać za «rosyjski świat» gdzieś w Ukrainie? Ukraińcy nie zrobili nam krzywdy, podczas gdy imperium rosyjskie zawsze nas uciskało" – argumentował Rusłan Gabbasow, założyciel Baszkirskiego Komitetu Oporu, który rzekomo stoi za podpaleniami w regionie.

Media społecznościowe

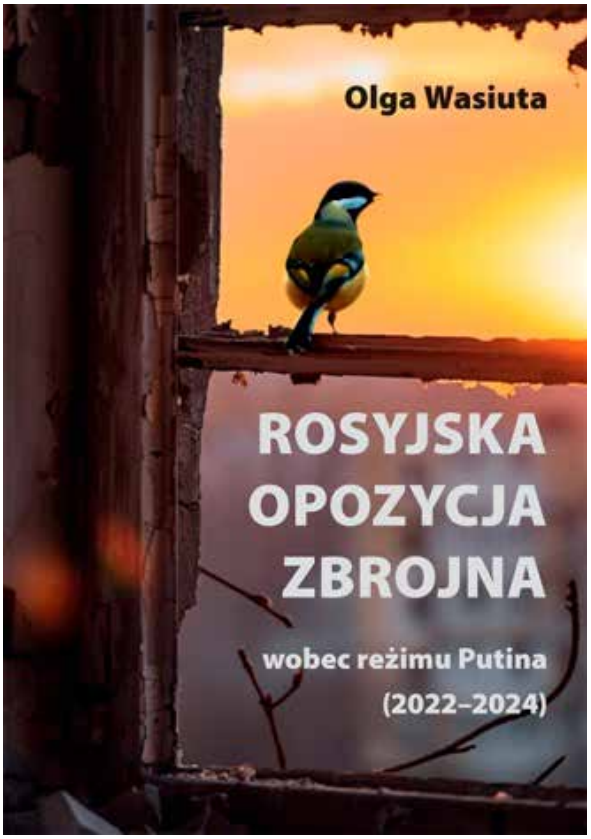
Partyzanci mają na Telegramie swój kanał Rospartizan poświęcony działaniom partyzanckiego ruchu oporu. Jego redaktorzy komunikują się z kilkoma komórkami aktywistów zaangażowanych w akcje dywersyjne. Zdaniem autorów kanału nowa taktyka partyzancka nie jest łatwa dla opozycji, gdyż od dziesięciu lat zamiast bronić protestujących i ich suwerennego prawa do powszechnego sprzeciwu, opozycja angażuje się w pokojowe działania – marsze i protesty. Ruch polityczny z roku na rok przyjmował postawę defensywną, działania sprowadzały się do wyjazdów na spotkania do innych działaczy. W lutym 2022 roku, gdy rozpoczęła się agresja na pełną skalę, opozycja znajdowała się w podziemiu, a wszelka samoorganizacja polityczna była skazana na zniszczenie lub infiltrację. Dlatego minęło kilka tygodni, zanim próby zatrzymania wojny za pomocą plakatów i pikiet, jak można było się spodziewać, zakończyły się fiaskiem. Potem wszystko zależało od partyzantów – powiedział jeden z redaktorów Rospartizana. Redaktor ten wyróżnia kilka etapów „działalności partyzanckiej":

– **spontaniczną**: na początku wojny wszelkie działania wynikały raczej z desperacji (np. drobne „chuligańskie" próby przeciwdziałania propagandzie);

– **symboliczną**: od kwietnia 2022 zaczęły się wykolejać pierwsze pociągi, odnotowano ataki na wojskowe komendy uzupełnień (chociaż takie działania nie mogą zatrzymać wojny, jednak są mocnym komunikatem dla społeczeństwa);

– **ukierunkowaną**: podpalenia majątków polityków i osób publicznych wspierających wojnę oraz wspólników reżimu.

Twórcy kanału wierzą, że politykę mierzy się czynami, więc ci, którzy wybiorą drogę wojny partyzanckiej, staną się skuteczną, jedyną opozycją wobec reżimu. Jednocześnie aktywiści zauważają, że ataki partyzanckie nie są jedyną istniejącą formą protestu: „Należy pamiętać, że najpowszechniejszą działalnością antywojenną jest sabotaż. Obejmuje on świadomą odmowę służby wojskowej, odmowę płacenia podatków, emigrację i masowe zwolnienia z agencji rządowych, prokremlowskich mediów i proputinowskich przedsiębiorstw. Często takie formy protestu są pomijane w rozmowach na temat oporu. Ale milczącej większości łatwiej wyrazić swój sprzeciw w taki właśnie sposób, tj. milczenie i sabotaż. Przecież nie mamy jeszcze tradycji aktywnego manifestowania powszechnego gniewu".



Większość grup partyzanckich prowadzących działania przeciwko infrastrukturze wojskowej i transportowej Rosji działa anonimowo i unika kontaktu z mediami, powołując się na bezpieczeństwo. Ale istnieją również znane organizacje partyzanckie. Przedstawiciele ruchu „Zatrzymaj Wagony" (posiadają stronę internetową i kanał na Telegramie liczący 15 tys. subskrybentów) promują działania bezpośrednie na kolei. Grupa wzięła na siebie odpowiedzialność za wykolejanie pociągów w obwodzie amurskim, w wyniku czego pod koniec czerwca 2022 roku wstrzymano ruch na głównej arterii kolejowej kraju – Kolei Transsyberyjskiej. Przypisują sobie także spowodowanie katastrof pociągów towarowych w obwodzie twerskim, krasnojarskim i Dagestanie.

Słabnący agresor?

Moskwa została zmuszona częściowo wycofać swoje wojska z frontu na Ukrainie i przenieść je do obwodów biełgorodzkiego, kurskiego i briańskiego. Wzrost liczby przeciwników reżimu Putina i ich przejście do walki zbrojnej przeciwko władzom rosyjskim ma dla Ukrainy pozytywne znaczenie. Przede wszystkim chodzi o odwrócenie uwagi i zasobów Rosji od Ukrainy. W rezultacie Rosja już zmniejszyła intensywność działań wojennych na niektórych kierunkach. A armia ukraińska otrzymała dodatkowe możliwości obrony swoich pozycji i przepro-

wadzenia kontrofensywy. Zbrojne bunty i sabotaż partyzancki mogą także katalizować kryzys wewnętrzny w Rosji, zmuszając ją do zakończenia wojny, tak jak musiał to zrobił Związek Radziecki w Afganistanie. Tak czy inaczej Ukraina skorzysta na osłabieniu agresora.

Spośród czterech największych grup, które twierdzą, że zajmują się działaniami partyzanckimi w Rosji, najmniej wiadomo o grupie Czarny Most. Pracując nad tym rozdziałem i analizując działalność zbrojnej opozycji w Rosji, spotkałam się z brakiem materiałów o działalności Narodowej Armii Republikańskiej (ros. Национальная республиканская армия, NRA), która, według ich przedstawiciela Ilji Ponomariowa, jest podziemną grupą partyzancką działającą na terenie Rosji, walczącą z reżimem Putina i wspierającą Ukrainę w wojnie z najeźdźcami. O innych grupach zbrojnych, od czasu ich powstania w 2022 roku, pojawiło się sporo informacji i publikacji w mediach. Najwięcej materiałów można znaleźć na temat Bojowej Organizacji Anarcho-komunistów, ruchu „Zatrzymaj Wagony" raz ruchu partyzanckiego Atesz.

Trzeba podkreślić, że większość publikacji to materiały zamieszczane na stronach internetowych, w większości po rosyjsku, ukraińsku, angielsku, rzadziej po polsku. Niestety, do dziś nie pojawiły się materiały analityczne czy naukowe, analizujące działalność rosyjskiej opozycji zbrojnej. Wśród jej przedstawicieli nie ma jednomyślności na temat sposobów walki. Każda z uzbrojonych grup ma własną wizję drogi i przyszłości Rosji.

Jak dotąd antyputinowskiej opozycji w Federacji Rosyjskiej nie udało się wywołać masowego oporu przeciwko wojnie. Jednak przeszła ona od przemówień antywojennych do propagowania sabotażu. Anonimowi działacze antywojenni coraz częściej podejmują działania bezpośrednie, instruując swoich odbiorców, aby robili to samo, popierają coraz bardziej radykalną taktykę. Potwierdzeniem tego są ostrzeżenia władz państwowych przed pojawieniem się antywojennych dywersantów na terytorium Rosji.

Należy stwierdzić, że w Rosji istnieje wiele ugrupowań antyputinowskich o różnorodnym rodowodzie ideologicznym we wszystkich regionach kraju. Ukraina czerpie korzyści z osłabienia kontroli Kremla nad krajem, brakuje jej jednak środków, aby stać za takimi działaniami, jak podpalanie wojskowych komend uzupełnień w głębi Rosji czy atakowanie linii kolejowych oddalonych od strefy działań wojennych.

Trudno jednak ocenić rzeczywistą skalę wewnętrznego oporu w Rosji. Tylko niewielka część działań wspomnianych ruchów znajduje wiarygodne potwierdzenie. Znaczna ich część nie może upublicznić lub udowodnić swojej działalności, a wiele informacji na temat ich przywódców, członków, powiązań zagranicznych wymaga potwierdzenia. Wielu bojowników ma krewnych na terytorium Rosji i dlatego posługują się wyłącznie imionami i/lub pseudonimami. Trudno też określić liczbę organizacji powstańczych w Rosji, a także liczbę osób zaangażowanych w tę działalność. Analizy wskazują, że prawdopodobnie jest to tylko kilka tysięcy ludzi. Z drugiej strony, wzrost niezadowolenia z warunków życia i zdegustowanie skorumpowaną kliką Putina prowadzą do rozchwiania systemu władzy. Jest prawdopodobne, że wyszkoleni i uzbrojeni mężczyźni z doświadczeniem bojowym, nielojalni wobec władzy Putina, mogą szybko zasilić istniejące grupy opozycyjne. Ataki RDK na obwód biełgorodzki pokazały już, że o wiele łatwiej przejąć kontrolę nad rosyjskimi miastami rządzonymi przez niekompetentną i skorumpowaną władzę, niż przetrwać ataki w Donbasie.

Dr hab. Olga Wasiuta, prof. UKEN, specjalistka w zakresie marketingów politycznych, międzynarodowych stosunków politycznych, dyrektor Instytutu Bezpieczeństwa i Informatyki Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

Kuźnia Młodych Talentów

Akademia Młodych Uczonych Polskiej Akademii Nauk już po raz ósmy organizuje warsztaty „Kuźnia Młodych Talentów (KMT)" skierowane do młodego pokolenia naukowców. KMT AMU to interdyscyplinarna szkoła letnia, która umożliwia integrację doktorantów ze wszystkich dziedzin nauki.

VIII edycja KTM AMU odbędzie się w Domu Zjazdów i Konferencji PAN w zespole pałacowym w Jabłonnie od 5 do 7 września 2025 r. Warsztaty rozpocznie prof. Adrian Jusupović wykładem na temat barier i wyzwań w komunikacji międzykulturowej. W pierwszym dniu warsztatów odbędzie się prowadzona przez dr Katarzyną Klonowską i dr hab. Agnieszkę Jędrzejewską interaktywna dyskusja panelowa na temat sukcesu w nauce dzięki efektywnej współpracy naukowej na poziomie lokalnym i międzynarodowym. Spotkanie z Societas Humboldtiana Polonorum będzie okazją do zapoznania się z programem stypendialnym niemieckiej Fundacji im. von Humboldta skierowanym do młodych badaczy. W drugim dniu uczestnicy warsztatów poznają strategie popularyzacji nauki (poprowadzący: dr Marcelina Jureczko, dr hab. Agnieszka Tubis, dr hab. Dagmara Stefańska) oraz dowiedzą się jak przełożyć wyniki badań na praktyczne zastosowania dzięki efektywnej współpracy z biznesem (prowadzący: dr Krzysztof Kaczorek, dr Tomasz Marciniszyn, mgr Paweł Żebrowski). Trzeciego dnia dr Olga Witkowska Pilaszewicz wygłosi wykład o badaniach prowadzonych na różnorodnych modelach naukowych. Szkolenie przybliżające strategie wizualizacji wyników naukowych, w tym w formie graficznego abstraktu, poprowadzą dr hab. Agnieszka Jędrzejewska, dr inż. Maja Kępniak oraz dr hab. Marta Rusnak.

Warsztaty odbędą się w trzech 10-osobowych grupach. Dobór uczestników będzie miał na celu utworzenie grupy interdyscyplinarnej, aby umożliwić wymianę doświadczeń i współpracę po zakończeniu warsztatów.

Aby wziąć udział w KMT AMU, należy wypełnić formularz aplikacyjny. Zgłoszenia przyjmowane są do 30 czerwca 2025, a 15 lipca 2025 zostanie ogłoszona lista osób zakwalifikowanych. W trakcie warsztatów uczestnicy będą proszeni o krótkie przedstawienie swoich badań w formie autoprezentacji (maksymalnie 3 slajdy, 5 minut).

Więcej informacji na stronie internetowej KMT AMU: https://amu.pan.pl/kmtamu/

Pytania prosimy kierować na adres: kuznia.amu@gmail.com

Prof. dr hab. inż. Łukasz Sadowski, przewodniczący Rady Programowej KMT AMU, Katedra Inżynierii Materiałów i Procesów Budowlanych, Wydział Budownictwa Lądowego i Wodnego, Politechnika Wrocławska

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Teodor Opęchowski (1853–1914)

Światowej klasy medyk, utalentowany dydaktyk, czołowy działacz Polonii Charkowa

Dla prof .Teodora Opęchowskiego Charków stał się miejscem działalności naukowej i dydaktycznej .W Charkowie zdobył wielkie uznanie i autorytet .Jako utalentowany lekarz i diagnosta cieszył się wdzięcznością pacjentów . Jako jeden z pierwszych zaczął dogłębnie badać układ nerwowy i włókna nerwowe związane z żołądkiem człowieka .O „punktach bólowych" Opęchowskiego nadal uczą się studenci uczelni medycznych .

Był jednym z najwybitniejszych internistów polskich na przełomie XIX i początku XX w., utalentowanym lekarzem diagnostą, profesorem medycyny na Uniwersytecie Charkowskim. Był znanym uczonym, jako jeden z pierwszych zaczął dogłębnie badać układ nerwowy i włókna nerwowe związane z żołądkiem człowieka. Genialny lekarz-naukowiec wniósł wielki wkład do światowej medycyny, stał się autorem terminu „objaw Opęchowskiego", wpisanego do podręczników podstaw medycyny wewnętrznej. Odegrał ważną rolę w życiu charkowskiej społeczności polskiej, był człowiekiem o wielkim sercu, ulubieńcem studentów, wolontariuszem i, jak na dzisiejsze standardy, filantropem.

Teodor Opęchowski urodził się 29 maja 1853 r. we wsi Charpaczce w powiecie hajsyńskim w guberni podolskiej, w rodzinie drobnego szlachcica Mieczysława i Julii Opęchowskich. Szkołę średnią ukończył w 1871 r. w Warszawie i w tym samym roku rozpoczął studia na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Po roku przeniósł się na Uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie. Było to spowodowane m.in. rusyfikatorską polityką władz uczelni.

W latach 1872–1880 Opęchowski mieszkał w Kijowie. W 1876 r. ukończył studia uniwersyteckie i został asystentem na Oddziale Lekarsko-Dermatologicznym Kijowskiego Wojskowego Szpitala Klinicznego. Brał też czynny udział w życiu naukowym Kijowa. Jednocześnie pracował jako asystent w szpitalnej klinice dermatologicznej prof. Ludwika Góreckiego, założyciela pierwszej kliniki dermatologicznej na terenie Imperium Rosyjskiego, który został mentorem utalentowanego młodego człowieka. W 1879 r. dzięki jego prośbie złożonej do Departamentu Medycznego Ministerstwa Spraw Wojskowych Teodor Opęchowski latem 1880 r. dostał skierowanie na dwuletni staż naukowy za granicą.

W kręgu nauki europejskiej

Teodor Opęchowski miał możliwość pracować w rozmaitych instytucjach medycznych i u boku wybitnych uczonych ówczesnej Europy, czerpiąc od nich wiedzę i doświadczenie. Pracował w klinikach Paryża, Londynu, Wiednia. W Berlinie był uczniem znanego pataloga Friedricha von Frerichsa. W Strasburgu przebywał w Instytucie Patologicznym, Instytucie Anatomicznym, Laboratorium Farmakologii Doświadczalnej Oswalda Schmiedeberga, Instytucie Fizjologicznym Friedricha Goltza i Klinice Adolfa Kussmaula. Wraz z czołowymi medykami niemieckimi prowadził badania naukowe zwłaszcza w dziedzinie zakończeń nerwowych serca. Badając fizjologię aktu połykania, wykrył skupienie zwojów na wielkich gałęziach nerwów błędnych pod błoną surowiczą w okolicy wpustu i na powierzchni żołądka (splot podsurowiczy Opęchowskiego). Wywnioskował, że w nerwie błędnym przebiegają włókna działające wielorako, wykrył anatomicznie oddzielny nerw (nervus dilatator cardiae) i wykazał istnienie osobnych nerwów (constrictores cardiae), uzyskując pierwszeństwo w rozwiązywaniu fizjologii aktu połykania.

Następnie prowadził badania naukowe w Instytucie Medycznym Uniwersytetu w Berlinie oraz w klinikach medycznych. 15 czerwca 1883 r. przedstawił wyniki badań na posiedzeniu berlińskiego Towarzystwa Fizjologów.

Kolejny rozdział życia – lata 1884–1889 – spędził w Dorpacie. Pracował na miejscowym uniwersytecie, gdzie w 1884 r. obronił rozprawę o zakończeniach nerwowych w sercu (*Ein Beitrag zur Lehre von den Herznervenendigungen*) i został mianowany

na stanowisko docenta patologii doświadczalnej. Opęchowski mocno zaangażował się w pracę dydaktyczną. W latach 1884–1888 prowadził 20 kursów, m.in. z zakresu zakaźnych chorób dziecięcych, eksperymentalnych badań w zakresie fizjologii, wewnętrznej patologii praktycznej, dermatologii. Na jego wykłady przychodziło wielu studentów, np. w 1888 r. było ich koło 130. W 1886 r. został kierownikiem uniwersyteckiego oddziału szpitalu okręgowego.

Przedmiotem jego zainteresowań naukowych w tym okresie były przede wszystkim fizjologia nerwów, farmakologia oraz patologia eksperymentalna, zwłaszcza patologia w terapii. Opublikowane prace zostały wysoko ocenione przez naukowców. Wyniki badań zaś zostały wprowadzone do ówczesnych podręczników. Pracę *O innerwacji żołądka* uhonorowano nagrodą Hamburgera. Rada Uniwersytetu w Dorpacie uznała ją za najlepsze badanie naukowe z zakresu fizjologii w okresie ostatniego dziesięciolecia.

25 grudnia 1884 r. Teodor Opęchowski zawarł związek małżeński z warszawianką Stefanią Karoliną Wolff (?–1945). Ceremonia odbyła się w Warszawie w kościele parafii Wszystkich Świętych. Małżeństwo miało dwóch synów: Jerzego (ur. w 1885) i Wiktora Wiaczesława (ur. w 1891).

W latach 1889–1891 Opęchowski został zaproszony do Sankt Petersburga, gdzie w Instytucie Klinicznym Wielkiej Księżnej Jeleny Pawłowny prowadził wykłady dla lekarzy w dziedzinie neurologopatologii.



Źródło: Wikimedia Commons

Portret Teodora Opęchowskiego .Fot .Aleksiej M .Iwanicki, „Харьковский Медицинский Журнал".

W Charkowie

Od listopada 1891 r. trwał charkowski okres jego biografii. W nim splotły się praca naukowa, dydaktyczna i społeczna na rzecz miasta oraz miejscowej Polonii. Najpierw rodzina Opęchowskich wynajmowała mieszkanie przy ulicy Mało-Sumskiej 1 (obecnie ul. Gogola). Dzięki prywatnej praktyce został zamożnym człowiekiem i nabył **własny budynek przy** ul. Sumskiej 84. Dom prof. Opęchowskiego był miejscem spotkań miejscowej polskiej inteligencji. Synowie uczyli się w Gimnazjum nr 3, w ośrodku kształcenia wielu Polaków. Jerzy ukończył kurs szkolny w 1903 r. ze złotym medalem, a Wiktor w 1909 r. ze srebrnym medalem. Zdobyli następnie wyższe wykształcenie.

„Profesor Opęchowski... człowiek Zachodu w każdym calu. Często odwiedzał kliniki i zakłady naukowe na Zachodzie, był tam swoim człowiekiem, miał wśród naukowców przyjaciół, z którymi dzielił się swymi spostrzeżeniami. Lubił muzykę i malarstwo. Grał na wiolonczeli, miał w domu prawdziwą galerię obrazów, przeważnie pędzla francuskich i rosyjskich mistrzów. Był elegancki, uprzejmy, obyty" – wspominał jego rodak Wincenty Tomaszewicz.

Na Uniwersytecie Charkowskim krok po kroku zdobywał reputację wybitnego klinicysty i błyskotliwego wykładowcy. Gruntowna wiedza połączyła się z wielkim uznaniem dla nauczyciela klinicznego i szerokim rozgłosem w całej południowej Rosji dla biegłego diagnosty i doskonałego lekarza praktykującego. Dzięki cechom charakteru stopniowo pokonał nieufność kolegów i z wielkim zapałem zaangażował się w pracę dydaktyczną. Przeszedł też kilka szczebli kariery zawodowej. W styczniu 1894 r. został mianowany na stanowisko nadetatowego profesora zwyczajnego, a w maju 1903 r. – profesora zwyczajnego na Katedrze Kliniki Terapeutycznej. 4 grudnia 1912 r. powierzono mu wykładanie kursów na Katedrze Diagnostyki Medycznej oraz kierownictwo założonej przy niej Kliniki Propedeutyki.

Opęchowski prowadził wykłady z różnych działów i specjalności medycyny: dermatologii, pediatrii, diagnostyki, patologii eksperymentalnej, fizjologii, otolaryngologii, wenerologii. To wszechstronne przygotowanie uczyniło z niego nie tylko doświadczonego i komunikatywnego klinicystę, który był w stanie poruszać się wśród najbardziej skomplikowanych przypadków, lecz także świetnego wykładowcę. Pomimo wykładów był zaangażowany w działalność komisji egzaminacyjnych Wydziału Medycznego.



Teodor Opęchowski na kartach Albumu studenckiego .Fot .A M .Iwanicki, 1898 .

Podejmował starania dla polepszenia warunków nauczania studentów prowadzone przy miejskim Szpitalu Aleksandrowskim. W maju 1897 r. skierował swoje inicjatywy do Dumy Miejskiej, gdy na jednej z sesji wygłosił odczyt na ten temat. Po trudnych negocjacjach udało się mu uzbierać niezbędne środki i za zgodą władz miasta przerobić największą salę szpitalną na salę wykładową. Ponadto udało się też przebudować pomieszczenie apteki szpitalnej na laboratorium, w którym pracowali wybitni lekarze, wśród nich był profesor Charkowskiego Instytutu Weterynaryjnego Jerzy Poluta. Na zakup sprzętu Opęchowski wydał własnych 500 rubli, a na kamienną przybudowę do kliniki ofiarował anonimowo 1000 rubli. Wspierał też edukację kobiet, wykładał diagnostykę medyczną w Charkowskim Instytucie Medycznym dla Kobiet.

Jego student Stanisław Nowak, lekarz, działacz samorządowy w międzywojennej Polsce, wspominał: „Na wydziale lekarskim jednym z profesorów był Polak Teodor Opęchowski; prowadził klinikę chorób wewnętrznych na 5 kursie; wykładał dobrze... Opęchowski, demonstrując chorych, miał dar szerokiego i nieco filozoficznego ujmowania przypadków chorobowych, czem imponował swoim słuchaczom; ujmował ich również pewnemi wielkopańskiemi manierami i europejskiem obejściem się z chorymi; wysławiał się językiem potoczystym, gładkim, tak że wykład jego był zawsze bardzo zajmujący i gromadził dużą ilość studentów, studenci lubili bardzo prof. Opęchowskiego i mieli dla niego duży respekt i sentyment".

Za swoją pracę zawodową został odznaczony szeregiem nagród państwowych: Orderem św. Stanisława II st., św. Anny II st., św. Włodzimierza III i IV st. Nosił zaszczytny tytuł rzeczywistego radcy stanu.

Wybitny uczony na skalę europejską

Interesował się Opęchowski m.in. fizjologią nerwów, farmakologią, patologią eksperymentalną, patologią w terapii. Jako pierwszy zaczął dogłębnie badać układ nerwowy i włókna nerwowe związane z żołądkiem człowieka, poznając wszystkie komponenty tego zjawiska. Wyniki badań znalazły się w ówczesnych podręcznikach. Opublikował 27 prac (przeważnie po niemiecku), szczególnie o chorobach serca i żołądka, dzięki którym właśnie zyskał uznanie.

Był członkiem szeregu towarzystw medycznych, m.in. Towarzystwa Lekarzy Internistów w Berlinie. Podtrzymywał kontakty z polskimi kolegami, był członkiem Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego (od 1890). Brał czynny udział w działalności Charkowskiego Towarzystwa Medycznego, na którego posiedzeniach wygłaszał różne odczyty. Przedstawiał wyniki swoich badań naukowych na Międzynarodowych kongresach medycznych w Kopenhadze (1884), Wiesbaden (1889), Moskwie (1897). W 1900 r. był delegowany jako członek grupy profesorów Charkowskiego Uniwersytetu na XIII Międzynarodowy kongres medyczny w Paryżu w ramach Powszechnej Wystawy Światowej.

W 1909 r. na zjeździe rosyjskich terapeutów w Moskwie wygłosił błyskotliwy referat na temat diagnostyki lokalizacji wrzodu żołądka, gdzie dowiódł, że istnieje ścisły związek między lokalizacją punktów uciskowych w pobliżu kręgosłupa z umiejscowieniem wrzodów żołądka. Przedstawił też przejrzysty schemat tych związków. Po tym wystąpieniu w literaturze światowej zaczęto punkty uciskowe mające znaczenie w diagnostyce lokalizacji wrzodów określać jako „objaw Opęchowskiego".

Działalność dobroczynna i polonijna

Teodor Opęchowski brał czynny udział w życiu dobroczynnym Charkowa. Regularnie współorganizował „wieczory" dla niezamożnych studentów, na których zbierano środki na ich edukację i utrzymanie. Działał w Lidze Zwalczania Gruźlicy, nieraz przekazywał środki na rzecz Towarzystwa Czerwonego



Fot. Lubow Żwanko.

Budynek przy ulicy Sumska 84 w Charkowie, w którym mieszkała rodzina Opęchowskich (2021) .

Krzyża, uczniów 3. Gimnazjum Miejskiego, biednych studentów Polaków. Od października 1910 r. uczestniczył w dobroczynnej akcji inicjowanej przez Komitet Towarzystwa Pomocy Chorym Uczniom Uczelni Miasta Charkowa, przekazawszy bezpłatnie do ich wykorzystania łóżko dla studenta, na którego leczenie łożył.

Wraz ze swoim kolegą, prof. Julianem Pęskim, był jednym z filarów charkowskiej Polonii, pomysłodawcą założenia i pierwszym prezesem Polskiego Towarzystwa Charytatywnego Pomocy Biednym Osobom Wyznania Rzymskokatolickiego (1896). Jego działalność była skierowana na zbiórkę pieniędzy, organizację wypłat comiesięcznych zapomóg, poszukiwanie i oferowanie pracy bezrobotnym, otwarcie i organizację pracy szkoły dla dzieci z biednych rodzin, prowadzenie dla nich różnych innych form pomocy, nauczania rzemiosł itp. W pierwszym roku kierowania Towarzystwem Opęchowskiemu udało się zachęcić do współpracy 214 osób, a dochód Towarzystwa w 1903 r. osiągnął znaczne rozmiary – 10 tys. rubli. Przy wsparciu Opęchowskiego były organizowane imprezy, na których odbywały się zbi**órki** pieniędzy dla biednych rodak**ów**.

Pamięć o profesorze i człowieku

Teodor Opęchowski zmarł 1 stycznia 1914 r. w Berlinie w klinice chirurgicznej po operacji nowotworu żołądka. Zgodnie z własną wolą został pochowany w majątku Fajsławice w **ówczesnej** guberni lubelskiej należącym do jego przyjaciela, profesora medycyny Józefa Florkowskiego. „(…) jego zwłoki, nie bez trudu, sprowadzono z Niemiec, jadąc przez całą Polskę, do Fajsławic. Była ostra zima, śnieg wysoki i mróz. Pociąg z trumną dojeżdżał tylko do Trawnik. Żeby trumna dotarła na cmentarz, trzeba było wykopać tunele w śniegu. W ten sposób została spełniona ostatnia wola profesora, który pokochał Fajsławice i tu pragnął spocząć po śmierci" (Adam Polski). O jego śmierci pisały gazety Warszawy, Lwowa, Charkowa.

Do Charkowa wiadomość o śmierci profesora dotarła 2 stycznia i została porównana do gromu z jasnego nieba. W kościele miejscowym odbyło się nabożeństwo żałobne w obecności licznych kolegów, studentów, przyjaciół, byłych pacjentów. Podczas ceremonii zabrzmiały utwory Fryderyka Chopina w wykonaniu orkiestry i skrzypka Konstantego Górskiego. W ormiańskiej cerkwi 8 stycznia 1914 r. dla uczczenia pamięci profesora, który przyczynił się do jej powstania, odbyła się uroczystoś**ć. Uczestniczyli w niej** dziekan Wydziału Medycznego Uniwersytetu Charkowskiego Julian Pęski, lekarze, studenci i kursanci ormiańskiego pochodzenia.

4 stycznia 1914 r. odbyło się uroczyste publiczne posiedzenie Charkowskiego Towarzystwa Medycznego poświęcone pamięci Opęchowskiego. Na posiedzeniu wygłaszano przemówienia upamiętniające zasłużonego i powszechnie lubianego profesora, a także wspomnienia o nim. Uczeń profesora, wybitny charkowski terapeuta Piotr Szatiłow, powiedział: „W jego obliczu każdy mógł wiele wyczytać: nauka – pierwszorzędny uczony, Uniwersytet – świetny opiekun dobrych tradycji uniwersyteckich, Wydział Medyczny – wybitny klinicysta, lekarze – doświadczony konsultant, chorzy – humanitarny lekarz, my, uczniowie – ukochany nauczyciel, bliscy i rodzina – po prostu dobry człowiek".

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomierski

Prof. dr hab. Lubow Żwanko, kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało, prof. Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie

Artur Krajewski

Mem ignorancji

„Mem ignorancji" staje się uproszczonym sensem: nie zachęca do poszukiwania głębszego znaczenia, lecz pełni rolę nośnika zamkniętej informacji .„MI" można postrzegać jako psychologiczne ujęcie manipulacji, terminu pochodzącego z łaciny, oznaczającego „podstęp" .Mówiąc najprościej, jest to próba wywierania wpływu na innych, aby nieświadomie działali zgodnie z intencjami „manipulatora" .

Współczesna przestrzeń kulturowa, to już nie tylko materialny obszar publiczny naszpikowany wartościami dziedzictwa lub szeroko pojętych dóbr kultury, ale przede wszystkim „świat wirtualny", który nas otacza i wciąga, uzależniając od funkcjonalnego dostępu do „wszystkiego". Teraźniejszość w sposób rewolucyjny przenosi się w obszar cyfrowej globalizacji życia, podając nam na postępowej złotej tacy potencjały twórcze, w których zawarte są możliwości odkrywania na nowo kreacji i odnajdywania alternatywnych użyteczności kulturotwórczych.

Proces ten przyspiesza, redefiniując wszystko w odniesieniu do wszystkiego. Komunikacja staje się błyskawiczna, oparta na krótkich przekazach oddziałujących na wszystkie zmysły. Jednak ta szybkość niesie za sobą nadmiar informacji, który równocześnie spłyca treść. W tym kontekście wymyślone przeze mnie pojęcie „Mem ignorancji" to symptom tego, co czeka nas w najbliższej przyszłości. Można go zdefiniować jako zjawisko, w którym brak wiedzy, uproszczone rozumienie – lub wręcz fałsz – stają się nośnikami treści symbolicznej, wpływającymi na percepcję rzeczywistości.

Wszystkie dotychczasowe teorie poznawcze, które budowały pojęcie kultury oraz formułowały podstawy humanizmu, zaczynają w nowy sposób oddziaływać na relacje między jednostką a rzeczywistością. Epistemologia, która towarzyszyła rozwojowi myśli ludzkiej i pozwalała oceniać, co jest prawdą, a co fałszem, staje obecnie na skraju paraliżu poznawczego. Cyfrowy świat, pełen uproszczeń i manipulacji, wyznacza nowe wyzwania dla naszego sposobu rozumienia i wartościowania rzeczywistości. Tym samym powstaje pytanie o to, czy współczesna kultura zdoła utrzymać równowagę między potencjałem twórczym a ryzykiem płynącym z redukcji wiedzy do powierzchownych symboli.

Historia gatunku ludzkiego to seria przyspieszonych ewolucji w rozwoju duchowym i materialnym. Od XVIII wieku, wraz z tak zwaną „rewolucją przemysłową", tempo tych przemian gwałtownie rosło, prowadząc nas do współczesnej ery fantomatycznego współistnienia, opartej na sztucznych więziach w wizualizacyjnym, cyfrowym świecie. Te więzi niekoniecznie muszą łączyć nas z „drugą jednostką" – człowiekiem osadzonym w rzeczywistości – lecz coraz częściej są nawiązywane ze sztuczną inteligencją, którą adaptujemy do własnych potrzeb i oczekiwań.

Współczesne rewolucje społeczne na całym świecie pokazują, że ludzkość stanęła w obliczu zupełnie nowych zagrożeń, różniących się od tych, które wcześniej kształtowały historię. Temat ten został sugestywnie przedstawiony w filmie Matrix (1999), bestsellerze science fiction w reżyserii braci Wachowskich. W tej wizji ludzkość została sprowadzona do roli „baterii" zasilającej system, pozbawiona dostępu do alternatywnych źródeł energii i możliwości autonomicznego istnienia. Czy taki scenariusz mógłby się urzeczywistnić?

To pytanie nabiera znaczenia w kontekście rosnącej integracji człowieka z technologią. Współczesne społeczeństwa muszą zmierzyć się z dylematem: jak daleko możemy się posunąć w tej symbiozie, aby nie zatracić swojej tożsamości i niezależności? To nie tylko pytanie o przyszłość, ale również o kierunek, w jakim rozwija się nasze pojmowanie wolności, relacji i sensu istnienia.

Temat ten jest różnie pojmowany w różnych środowiskach, mimo że nałożony na niego „filtr" globalizacyjny sprawia, że świat wirtualny i rozwój sztucznej inteligencji docierają do nas w czasie rzeczywistym niemal wszędzie. Zrozumienie tych zagrożeń jest jednak analizowane w różny sposób w zależności od regionu, kultury i poziomu rozwoju technologicznego. Kultura, będąca nośnikiem wielu odmian i interpretacji, wciąż ewoluuje – jej pojęcie staje się coraz bardziej pojemne, robiąc miejsce na nowe formy i znaczenia.

Współczesne społeczeństwa, zwłaszcza te określane jako „stary świat", wydają się coraz mniej przygotowane do życia, nauki i pracy w zmieniających się warunkach. Styl życia oraz osiągnięte bogactwo prowadzą do ich postępującego rozleniwienia. Uzależnione od łatwych i szybkich rozwiązań technologicznych cywilizacje te stopniowo tracą zdolność głębszego rozumienia otaczającej rzeczywistości. W efekcie zanika umiejętność analizy nawet najprostszych elementów świata, jakimi są na przykład dokonania technologiczne i zrozumienia, jak są one zbudowane.

Relacje międzyludzkie tracą na znaczeniu, a język ciała oraz naturalna komunikacja, wspierane technologiami translacyjnymi, zostają zredukowane do jednego uniwersalnego języka – języka wirtualnego tłumacza.

Również nauka zmienia swoje znaczenie. Jako system edukacji kolejnych pokoleń coraz mniej skupia się na refleksji nad istniejącym dorobkiem, a bardziej na powierzchownym reagowa-

niu na to, co aktualne. To, co jest „tu i teraz", pochłania uwagę bez głębszej analizy czy długofalowego spojrzenia. Dopóki nie uświadomimy sobie skutków tej tendencji, proces ten będzie postępował.

Nie dziwi zatem wizja, że dialog jako forma wymiany myśli i doświadczeń może zostać zastąpiony wielomową płynącą z jednego, centralnego źródła, jakiegoś kwantowego jądra lub serwera przechowującego wszechdane, oplatającego świat trylionami informacji. Końcem takiego stanu rzeczy może być dosłowna i symboliczna ciemność – wyłączenie prądu.

Czym jest „Mem ignorancji"?

„Mem ignorancji" („MI") to idea, informacja lub obraz, który zdobywa popularność dzięki swojej prostocie, atrakcyjności wizualnej i emocjonalnemu ładunkowi, pomimo, a często właśnie z powodu braku głębszego związku z faktami czy wiedzą.

Jednostką ewolucji biologicznej jest gen, to dzięki niemu człowiek jest tym, kim jest. Słowo „gen" wywodzi się z greki i oznacza „pochodzenie". Wielokrotnie wskazywałem w swoich rozważaniach, że człowiek, naznaczony demiurgicznym palcem, potrafi przekazywać w swoistym „genotypie" impuls do stawania się, a raczej do dziedziczenia zdolności i predyspozycji. Ten symboliczny impuls uruchamia procesy lub – poprzez specyficzne uwrażliwienia – pozwala przeobrazić się w artystę, który zdołał zapracować na swój „talent".

Takie myślenie prowadzi nas do definicji pojęcia „mem", które również pochodzi z greckiego słowa oznaczającego „naśladownictwo". Mem jest najmniejszą jednostką informacji kulturowej zdolną do wywoływania następstw dzięki szybkiemu powielaniu w napotkanych umysłach. Ten mechanizm ewolucji kulturowej odpowiada za atawistyczną potrzebę replikowania sposobów na przetrwanie lub poprawę jakości życia.

Postrzeganie memu jako impulsu do działania – w sztuce do tworzenia i kreowania – otwiera nowe perspektywy. Wytworzenie i uruchomienie takiego impulsu może nastąpić w wyniku zetknięcia się z czymś i zainicjuje proces; w przypadku sztuki proces kreacji.

W podobny sposób każdy z nas oddziałuje na innych, przekazując im, często niewerbalnie, system wytworzonych memów. Te memy, rozpowszechniane w kreatywnym procesie analizy i interpretacji przez nasz mózg, stają się katalizatorem rozwoju oraz współtworzenia nowych form kulturowych. Jest to również część procesu ewolucji.

A czym jest „Mem ignorancji" („MI")? To nowa, wyewoluowana forma najmniejszego systemu informacji kulturowej, definiowana przez połączenie pojęcia memu z ignorancją rozumianą jako niewiedza. Współczesny, popularny mem internetowy to zazwyczaj forma krótkiej humoreski, publikowanej i wykorzystywanej w różnych celach. Często jednak memy te wpisują się w nurt tzw. hejterskiego kontestowania rzeczywi-



Fot. Artur Krajewski

stości, gdzie przekaz staje się narzędziem emocjonalnego napięcia lub manipulacji.

„Mem ignorancji" idzie o krok dalej. To koncepcja, w której idea jest sterowana w sposób bezrefleksyjny, dając jedynie pozory wiedzy lub świadomości. W istocie staje się labiryntem niedomówień i błędnych interpretacji, które prowadzą odbiorcę do pogłębiania niewiedzy lub podejmowania decyzji ukrytych w manipulacyjnych schematach przekazu.

„MI" to również zjawisko replikacji i „zawirusowywania" ludzkich umysłów, skierowanych na wybory, które okazują się nieskuteczne lub wręcz szkodliwe w kontekście realnego życia. Odbiorcy takich memów często nieświadomie uczestniczą w rozpowszechnianiu treści, które nie tylko nie edukują, ale również deformują postrzeganie rzeczywistości. Na podobnej zasadzie funkcjonuje tzw. starożytna plotka. To ludzki wymysł, który zazwyczaj nie ma żadnego oparcia w faktach i stanowi formę kłamliwego oczerniania osoby, której dotyczy. Plotki nie należy mylić z pojęciem plotkowania, które oznacza raczej czerpanie przyjemności z samego gadania, choć również ma wydźwięk pejoratywny. Jest równie szkodliwy, ale z tą różnicą, że „Mem ignorancji" charakteryzuje się zdolnością do szybkiego oddziaływania oraz wielokrotnym mnożnikiem infekowanych, co prowadzi do potencjalnie nieskończonego zasięgu.

Ten tragiczny fenomen odzwierciedla współczesne problemy z przepływem informacji: w erze cyfrowej szybkość i atrakcyjność przekazu często zastępują jego rzetelność. W efekcie „MI" staje się nie tylko symbolem braku refleksji, ale i narzędziem, które może kształtować masowe postawy i decyzje, prowadząc społeczeństwa ku powierzchowności zamiast głębszej świadomości.

„MI" to jednostka rozprzestrzeniania się za pośrednictwem mass mediów, a szczególnie platform społecznościowych, gdzie w jednym momencie mogą zostać zainfekowane tysiące użytkowników, a w przypadku platform gigantów nawet dziesiątki milionów. Wytwarzane „memy ignorancji" są ukierunkowane na określoną grupę odbiorców, a ich celem jest wzbudzenie zainteresowania, które w danej grupie stanowi podatny grunt do rozwoju. W efekcie memy te oddziałują na strukturalne wzrastanie i rozbudowywanie się poprzez napływ nowych informacji. Te informacje, oparte na początkowym błędzie logicznym, stają się sofizmatami, których dalsze namnażanie prowadzi do tworzenia paralogizmów. „MI" to także amfibolia – pojęcie pochodzące z greki, oznaczające atak z dwóch stron – które w uproszczeniu odnosi się do błędu wieloznaczności.

Szeroki dostęp do wiedzy nie rozwiązuje problemu ochrony przed niewiedzą. To odwieczny problem związany z weryfikacją pojęciową i interpretacją faktów, z którymi się spotykamy. W poszukiwaniu informacji nie zawsze pomaga nam samodzielna weryfikacja i ocena realiów, które potrafimy lub których nie potrafimy udowodnić jako prawdziwe. Rozleniwienie wynika z założenia, że dostępne informacje są wiarygodne, weryfikację zastępują programy i platformy, które dzięki wysokiej pozycji w globalnych strukturach mechanizmów społecznościowych zyskują zaufanie odbiorców.

Wyspecjalizowane mechanizmy, coraz częściej oparte na sztucznej inteligencji, wypierają ludzki czynnik, który wielokrotnie opierał się na weryfikacji moralnej. „Mem ignorancji" staje się takim uproszczonym sensem: nie zachęca do poszukiwania głębszego znaczenia, lecz pełni rolę nośnika zamkniętej informacji. „MI" można postrzegać jako psychologiczne ujęcie manipulacji, terminu pochodzącego z łaciny, oznaczającego „podstęp". Mówiąc najprościej, jest to próba wywierania wpływu na innych, aby nieświadomie działali zgodnie z intencjami „manipulatora".

Przykładami mogą być chwytliwe hasła polityczne, fake newsy czy popularne internetowe memy, które opierają się na stereotypach, uproszczeniach i silnym oddziaływaniu emocjonalnym. Interesującym przypadkiem są hasła polityczne, które właśnie ze względu na swoje pochodzenie od organizacji politycznych nabierają specyficznego, antynomicznego charakteru. Przykładem może być hasło „Polska w ruinie", nacechowane wyłącznie emocjonalnie, przesadzone w swoim przekazie, czy też „z dala od polityki" – mające na celu odcięcie się od negatywnych stereotypów związanych z polityką, często postrzeganą jako coś pejoratywnego. Wyrażenia takie jak „mężczyźni są problemem" czy „baby są jakieś inne" upraszczają i antagonizują relacje między płciami, ignorując ich złożoność społeczną. Hasło „miłość to miłość" z kolei, choć pozornie inkluzywne, upraszcza kontekst społeczny i prawny, pomijając kwestie, które nie mieszczą się w granicach społecznej akceptacji. Określenie „płaskoziemcy" kwestionuje podstawową wiedzę naukową, odwołując się do emocji i nieufności wobec autorytetów. Z kolei wyrażenia takie jak „typowi Janusz i Grażyna" czy „moherowe berety" utrwalają stereotypy dotyczące Polaków, jednocześnie upraszczając i wyśmiewając zachowania osób należących do określonych grup społecznych. Takie formy komunikacji, które można nazwać „memami ignorancji", działają głównie dzięki swojej sugestywności, zastępując krytyczną analizę silnymi emocjami. Ich popularność wynika z wpisywania się w trendy, nowomowę czy modę na ironię, a także z potrzeby bycia „fajnym". Sztuczny ekwiwalent języka, trywializujący komunikację, został świetnie przedstawiony w książce George'a Orwella *1984* z 1949 roku, gdzie nowomowa zmieniała znaczenia pojęć. Fetyszyzacja takich haseł narzuca odbiorcom określony przekaz lub zmienia sens innych wyrażeń, co jest charakterystyczne dla zjawiska neosemantyzacji.

„Mem ignorancji" wpisuje się w system paradygmatów i stanowi jedną z kategorii pojęcia „mem". Nie do końca jednak może być poddany klasycznym, naukowym mechanizmom memetyki. Choć jego aspekty poznawcze można teoretycznie przełożyć na kategorię memu jako najmniejszej jednostki informacji kulturowej, to jednak specyfika „Memu ignorancji" wykracza poza ramy tradycyjnej analizy memetycznej.

Wykrywanie „Memu ignorancji" jest trudne, a czasem wręcz niemożliwe, ponieważ jego przekaz często działa subtelnie i nie narusza prawa ani dóbr innych osób. Jego oddziaływanie bywa tym silniejsze, że trudno jest reagować na stan świadomości „zainfekowanych", podobnie jak w realnym życiu nie można wyciągać konsekwencji z powodu niskiego poziomu inteligencji czy wiedzy.

W rzeczywistości problem słabo wykształconego człowieka był weryfikowany poprzez proces podejmowania pracy oraz zdobywania umiejętności i wiedzy. Socjalizacja ludzkości często opierała się na zależnościach wynikających najpierw ze sprawności fizycznej, a później ze sprawności intelektualnej. Powstawanie struktur społecznych prowadziło do klasyfikacji populacji na „kasty", które łączyły styl życia, poglądy oraz wynikającą z nich pozycję w społeczeństwie. Obecnie, w kontekście świata wirtualnego, człowiek stopniowo redukuje swoje umiejętności, a zależności między warstwami społecznymi, opartymi na intelekcie, wiedzy czy umiejętnościach, zaczynają się zacierać. Często sami uczestnicy tego procesu kształtują swoją tożsamość na podstawie schematów, które są im narzucane przez ogólnodostępne i łatwo pozyskiwane dane. To prowadzi do powstawania nowej formy inżynierii społecznej, która sprzyja uzależnieniu i podporządkowaniu jednostki.

Przestrzeń kulturowa

Generalnie, człowiek symbolicznie schodząc z drzewa lub wychodząc z jaskini z pochodnią w dłoni, rozpoczął tworzenie cywilizacji, a wraz z nią wytworzył kulturę. To właśnie kultura



Fot. Artur Krajewski

czyni nas ludźmi, osadzając w „humanistycznej" bańce, która nieustannie się rozszerza, pochłaniając coraz to nowe elementy będące efektem ludzkiej działalności. Mówiąc krótko, kultura to duchowy i materialny dorobek społeczeństwa.

Jak jednak ma się to do nowego, wirtualnego świata? Jak to zjawisko nazwać? Czy świat, którego tworzenie i rozwój w coraz większym stopniu zależy od sztucznej inteligencji, można w ogóle określić mianem kultury? Istnieje przecież pojęcie „żywych kultur bakterii", probiotyków sztucznie wytwarzanych dzięki ingerencji ludzkiego rozumu i technologii. Czy więc wirtualny świat, podobnie jak te „kultury bakterii", można uznać za rodzaj kultury? Jeśli tak, to czy jest to nowa forma kultury, będąca owocem symbiozy ludzkiego intelektu i sztucznej inteligencji?

Wirtualny świat, tworzony przez człowieka, ale coraz częściej kształtowany przez autonomiczne algorytmy, wywołuje pytania o granice pojęcia kultury. Czy to, co powstaje w wyniku działania maszyn i sztucznej inteligencji, jest jedynie narzędziem czy może już niezależnym bytem kulturowym? Może powinniśmy spojrzeć na ten fenomen jako na kolejne stadium ewolucji kultury – od materialnej i duchowej do cyfrowej, stanowiącej nową przestrzeń dla ludzkiej twórczości i interakcji społecznych?

Ostatecznie, być może kultura wirtualna, podobnie jak probiotyczne kultury bakterii, jest efektem twórczego połączenia naturalnego i sztucznego, przestrzenią, w której rodzi się nowa forma człowieczeństwa.

Teraz wyobraźmy sobie, że coś, co nazywam „Memem ignorancji", może również rozprzestrzeniać się po świecie, lecz w sposób trudny do określenia w kategoriach czasu. Rozprzestrzenianie się takiego „wirusa" odbywa się z prędkością ograniczoną jedynie możliwościami globalnej sieci oraz zdolnością odbiorców do przeczytania, usłyszenia czy zobaczenia informacji, czyli w praktyce niemal natychmiastowo, w czasie rzeczywistym.

„Mem ignorancji" to jednak wirus inny niż te biologiczne. Nie zniknie po siedmiu dniach i nie istnieje szczepionka, która mogłaby nas z niego wyleczyć. Antidotum stanowi długotrwały proces edukacji, rozwijanie umiejętności krytycznego myślenia oraz świadome wykorzystywanie naturalnych ludzkich zdolności: inteligencji, umiejętności adaptacyjnych oraz wypracowanej mądrości.

Znaczenie w kontekście kulturowym

Emocje są jak drabina, po której człowiek wspina się, by dosięgnąć czegoś, co stanowi upragniony cel. Tym celem, paradoksalnie, jest kres życia, nie jako coś, do czego świadomie dążymy, ale jako nieunikniony i naturalny finał naszej egzystencji.

Cyfrowa drabina wyimaginowanego avatara Jakuba prowadzi nas jednak do świata, który w rzeczywistości nie jest dla nas dostępny i może być wieczny. To błyskawiczny i niezwykle przepustowy pomost informacji, zalewający nas trylionami bitów, mających na celu dotarcie do wyznaczonego miejsca. Miejsca, które miało symbolizować niebo, gdzie na początku lub na końcu zasiadać miał sam Bóg. W tej nowej rzeczywistości jego miejsce zajmuje Demiurgiczna Centralna Sztuczna Inteligencja obiecująca nam życie wieczne.

To ona, za pomocą owej drabiny, wysyła do wirtualnego świata technologiczne osobliwości, które w przyszłości mają opanować całą rzeczywistość. Co więcej, znajdą one drogę przez kolejną drabinę, by przeniknąć i zawładnąć także światem realnym.

To właśnie dzięki emocjonalnemu impulsowi uruchamiana jest reakcja, a potem wszystko zaczyna się dziać. „Mem ignorancji" ma za zadanie wzbudzać emocje i wciągać nas w określone stany psychiczne, które – mimo że wywołują somatyczne odczucia – prowadzą do zamierzonych efektów, wymuszając określone zachowania. Coś dzieje się również w sferze „afektu", zwłaszcza wśród młodych osób. Coraz częściej reakcje te kończą się destrukcyjnymi zachowaniami, jak symboliczne „niszczenie klawiatury", będące odpowiedzią na narastające napięcie emocjonalne.

„Mem ignorancji" często przyjmuje formę ironii, co sprawia, że jego odbiorcy mogą poczuć się „ponad" prostym przekazem, jednocześnie go powielając. Kultura parodii i ironii jest znana od starożytności. Z greki „ironia" oznacza „pozorowanie" lub „przestawienie", czyli niezgodność z faktem, która ma na celu wywołanie złośliwości. „MI" wykorzystuje funkcje ironii, często zmierzając w stronę satyry, co ułatwia dotarcie do użytkowników.

Posługiwanie się kłamstwem stało się powszechną normą. Statystyki i badania dotyczące tego zjawiska pokazują, że człowiek codziennie wielokrotnie wypowiada zdania niezgodne z faktami, mając na celu wprowadzenie kogoś w błąd. Intencja kłamstwa pozostaje niezmienna: chodzi o zatajenie prawdy lub jej manipulacyjne wykorzystanie w celu osiągnięcia zamierzonego efektu. Jednak nasze ciało często zdradza dyskomfort związany z kłamaniem. Dlatego kłamca ma trudności z opanowaniem mikroekspresji, co czyni kamuflaż mniej skutecznym.

Wyobraźmy sobie, że postęp ludzkości staje się zagrożeniem dla jej istnienia. Od dziesiątek lat, po ostatniej wojnie światowej, człowiek stoi w rozkroku przed problemem nieuniknioności kolejnej wojny, która niesie ze sobą ryzyko zniszczenia całej planety. Historia pokazuje, że takie zagrożenia naprawdę istnieją. Jeśli „Mem ignorancji" może stać się nośnikiem zagłady, prowadząc do roztrwonienia ludzkiego potencjału, to czym stanie się sztuczna inteligencja, jeśli uzależnienie ludzkości od technologii stanie się całkowite i wszechobecne, a AI będzie jedynym źródłem podtrzymywania życia człowieka?

Artykuł powstał na podstawie wykładu wygłoszonego na ASP w Warszawie pt. *„Mem ignorancji", czyli rewolucja znaku w przestrzeni kulturowej.*

Prof. dr hab. Artur Krajewski – malarz, rysownik, artysta multimedialny, pedagog, Wydział Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

Biurko pośrodku świata



Wielu odwiedzających dawną siedzibę redakcji miesięcznika „Kultura" (obecnie mieszczącą jego archiwum) jest zdziwionych rozmiarami budynku, zaskakująco niewielkimi w stosunku do znaczenia, które miał w czasach PRL. Dziś, gdy w willi w Maisons-Laffitte nikt nie mieszka na stałe, wnętrza mogą się wydawać przestronne, ale w czasach, gdy mieszkali tam Jerzy Giedroyc, Józef i Maria Czapscy, a okresowo także inni emigranci, którym udzielali gościny, biurko Giedroycia – na którym od jego śmierci nic się nie zmienia z wyjątkiem układu cieni – było jednym z nielicznych miejsc w tym domu, gdzie mógł pracować w skupieniu.

Fetysze i fikcje to antologia tekstów poświęconych emigracji polskiej (i nie tylko) po 1945 roku, które ukazały się na łamach „Kultury", nie po prostu zbiór podzielony na grupy tematyczne, ale okno na wewnętrzny świat środowisk polskich w różnych krajach od lat czterdziestych po dziewięćdziesiąte. Emigranci piszą tu bowiem przede wszystkim sami o sobie. Teksty dzieli nie tylko tematyka, ale przede wszystkim nastawienie autorów i nastrój. Książka rozpoczyna się od tekstów programowych, stonowanych i świadczących o trzeźwym oglądzie sytuacji, a jednocześnie imponujących dalekowzrocznymi planami podtrzymania i rozwoju polskości na obczyźnie oraz wpływu na kraj (a warto pamiętać, że powstawały w okresie, gdy komunizm wydawał się wieczny). Dalej jednak coraz więcej jest głosów „osobnych", których autorzy zwracają uwagę na zamykanie się zwłaszcza środowiska skupionego wokół rządu londyńskiego nie tyle nawet w zachowywaniu, co liturgii polskości – pięknej, ale statycznej, skazanej na wymarcie wraz z jej koryfeuszami. Na myśl przychodzi tu inne wnętrze, londyński gabinet Edwarda Raczyńskiego, prezydenta RP na uchodźstwie w latach 1979–1986 (wnętrza rezydencji przy Lennox Gardens wyglądają dziś inaczej, ale rekonstrukcję gabinetu można oglądać w pałacu w Rogalinie). Z jednej strony było to miejsce, dzięki któremu zachowywano ciągłość legalnego państwa polskiego; z drugiej – miało w sobie coś z muzeum lub nawet kaplicy.

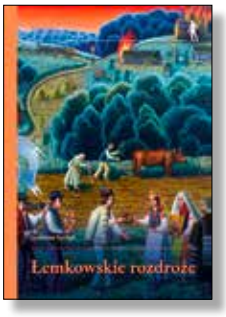
Antologia pokazuje, jak biurko Giedroycia stawało się jednym z centrów polskiego świata poza granicami Polski. Spływały na nie artykuły z całego globu. Układanie zawartości miesięcznika i wymiana listów stawały się też sposobem na nawiązywanie kontaktów między środowiskami emigracyjnymi różnych nacji, przezwyciężanie urazów, szukanie porozumienia. Przygnębiająco aktualny jest dziś zarówno tekst *Deklaracji w sprawie ukraińskiej*, jak i odpowiedź przedstawicieli ukraińskiej diaspory – wyważona, prostująca niedomówienia, ale podkreślająca przede wszystkim wspólnotę losu. Dziś, gdy znów neguje się sens ukraińskiej państwowości, a wielu ludzi wykazuje się dumną wręcz niewiedzą na temat tego narodu, można odnieść wrażenie, że historia to powracająca fala niosąca wciąż tę samą mętną pianę.

Największą zaletą tej publikacji jest jednocześnie przekrojowy i nieoczywisty dobór tekstów. Przekrojowy, gdyż po prostu dają one szeroki, uporządkowany obraz powojennej polskiej emigracji. Nieoczywisty, bo znajdziemy tu np. odpowiedzi na ankietę na temat posługiwania się przez emigracyjnych pisarzy i publicystów obcymi językami. Potwierdzają one, że również obca mowa może stać się formą terapii, dawać schronienie, uspokajać, ale też pozwalać choć w pewnym stopniu wypowiedzieć coś, co w ojczystym języku zatrzymuje się właśnie na końcu języka. Biurko w Maisons-Laffitte pozwalało prawdziwie włączyć polską myśl, polską kulturę (nie tylko emigracyjną) w światowy obieg, a następnie wrócić z owocami tego do rozsianych po świecie Polaków (i do tych w kraju, którzy mieli dostęp do tego pisma). Giedroyc, siedząc przy biurku, miał za plecami wielkie okno. Czytelnik tej antologii może mieć wrażenie, jakby zaglądał przez nie do środka i patrzył Redaktorowi przez ramię.

Marek Misiak

Fetysze i fikcje. Antologia tekstów poświęconych emigracji polskiej po 1945 r. opublikowanych na łamach „Kultury", red .Rafał STOBIECKI, Aleksandra SYLBURSKA, Jędrzej BOŃCZAK, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024, seria: Jerzy Giedroyć i ...Reedycje .

Trudna tożsamość



Wyjątkowość kwestii łemkowskiej polega na tym, że jest ona endemiczną, czyli niezwykle rzadką pozostałością świata unicestwionego w połowie XX wieku. Łemkowie zostali przymusowo wywiezieni w roku 1944 do Związku Radzieckiego, a później w 1947 na tzw. Ziemie Odzyskane, głównie na Dolny Śląsk, w mniejszych grupach zaś na Pomorze Zachodnie i Mazury. Komunistyczne władze nakazywały, by w miejscu przesiedlenia nie grupować Łemków, ulegli zatem rozproszeniu. W świadomości łemkowskiej wytworzyły się dwa mity: mit utraconego raju dotyczy utraconej ojczyzny, a mit niewinnej ofiary wyjaśnia cierpienie przesiedlenia jako niezasłużoną karę za niepopełnione zło.

Praca Jarosława Syrnyka, profesora historii, pracownika Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego, wybitnego znawcy stosunków polsko-ukraińskich, składa się z czterech rozdziałów. Trzy pierwsze są analizą historyczną kwestii łemkowskiej, ostatni prezentuje wykorzystywanie przeszłości do tworzenia mitów i różnorodnych projektów ideologicznych. W rozdziale pierwszym autor przedstawia zagadnienia związane z etnogenezą Łemków, procesem upolitycznienia kwestii łemkowskiej zapoczątkowanym na przełomie XIX i XX wieku, sytuacji Łemków w czasie I wojny światowej oraz w okresie II Rzeczypospolitej. Zaprezentowane zostały działania władz państwowych wobec Łemków, ścieranie się konkurujących nurtów politycznych w środowiskach łemkowskich i pogłębiające się rozbicie religijne tej mniejszości. Sporo miejsca poświęcił autor analizie wydarzeń na Łemkowszczyźnie w czasie okupacji niemieckiej, zwłaszcza uformowaniu się struktur konspiracyjnych, w których zaangażowana była dość licznie ludność łemkowska.

Drugi rozdział opisuje proces unicestwienia łemkowskiej arkadii, zapoczątkowany w latach 1939-1944, a przyspieszający wraz z końcem wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Interesującą konkluzją autora jest stwierdzenie, iż taka sekwencja zdarzeń świadczy, że „o porozumieniu o tzw. wymianie ludności" z września 1944 roku nie mogła decydować kwestia działalności ukraińskiego podziemia. Przeprowadzoną w 1947 roku akcję „Wisła" traktuje autor jako integralną część procesu wysiedleńczego. W dziejach wspólnoty łemkowskiej wysiedlenie stało się najistotniejszym wydarzeniem rozdzielającym dzieje mniejszości na dwie epoki: przed i po tym wydarzeniu. Trzeci rozdział w zasadniczej części poświęcony został postawom Łemków wobec tego, co się stało, opisom przeszłości, z latami coraz bardziej idealizowanej, czasom tworzenia mitu i jego narastaniu. Wnikliwa analiza zagadnienia wykorzystywania przeszłości do tworzenia różnorodnych ideologii, elementu pamięci zbiorowej i komunikacji wspólnotowej zawarta została w czwartym rozdziale.

Łemkowszczyzna nie jest dziś świadomościowo tożsama. Nie była zresztą taka od początku przebudzenia etnicznego. Wobec braku silnych elit intelektualnych Łemkowie często od połowy XIX wieku traktowani byli jako gentes kształtującego się narodu ukraińskiego. Wielką pracę nad przebudzeniem świadomościowym Łemków wykonali księża, potem nauczyciele. Zasadnicza faza kształtowania się ich wspólnotowości nastąpiła krótko przed wybuchem II wojny światowej. Mogła ona wyewoluować tak, by stać się częścią wspólnoty ukraińskiej, ale też i innej, choć niekoniecznie musiała oznaczać ich potencjalną rosyjskość, nieokreśloną do końca łemkowskość, nie mówiąc o późniejszej koncepcji karpatoruskiej. Część przesiedlonego młodego pokolenia w nowych warunkach odrzuciła nie tylko tożsamość kulturową, ale też religijną. Bycie Łemkiem dziś może oznaczać bycie tylko Łemkiem, Łemkiem Ukraińcem, Łemkiem Karpatorusinem i nader rzadko Łemkiem Polakiem. W każdym razie świadome pozostanie Łemkiem to ciężka praca.

Bogdan Bernat

Jarosław SYRNYK, **Łemkowskie rozdroże**, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2024 .

Pisanie z prześwitu



Mirosław Dzień w *Kwaśnych prowincjach* opowiada się za uprawianiem humanistyki wynikającej z odpowiedzialności intelektualnej za aksjologiczne podstawy kultury. Ma ona sprzyjać człowieczeństwu w duchu platońskim. Rozmyślania autora zasługują nawet na uwagę czytelników, którzy nie w pełni podzielają głoszone przez niego poglądy. Różnokierunkowa analiza współczesności to zadanie nauk humanistycznych i społecznych. Autor w eseistycznych narracjach przyjął chrześcijański punkt widzenia. Posługując się „religijną pamięcią i filozoficznym namysłem", odwołuje się do Biblii jako autorytetu, który umożliwia realistyczne, odważne i przenikliwe widzenie rudymentów istnienia ludzkości. Krytyczne refleksje o człowieku „nowoczesnym" wspierają się na wrażliwości literaturoznawczej i tradycji hermeneutycznej – mają charakter interdyscyplinarny i holistyczny.

Dzień we wstępie informuje, że to jego „bardzo osobista książka". W dyskurs włączył elementy dziennika, uzyskując formę, którą nazwałbym spowiedzią myślącej duszy. Humanistę trwoży amputacja tego, co stworzyło człowieka jako istotę powołaną do świętości i życia w wiecznej perspektywie. Upominając się o uwagę w kwestiach duchowych, przestrzega „przed lekkomyślnym pozbyciem się kwestii Boga z przestrzeni twórczości literackiej, dyskursu humanistycznego, a nade wszystko z naszej osobistej egzystencji". Podjęte problemy omawia w wymiarze partykularnym i globalnym. Pisze o teraźniejszości, mając na uwadze przyszłość. Wchodzi w spór z epoką, która wdrażając idee postmodernizmu i post-humanizmu, służy regresowi człowieczeństwa.

Rozmyślania prowadzą do przypomnienia podstawowych przesłanek, aby rozumnie być w świecie. Uznanie sensu opartego na religijnej duchowości jest zasadniczą tezą tej eseistyki. Zdaniem Dzienia ludzie są udręczeni poczuciem bezsensu egzystencji własnej oraz procesów zachodzących w rzeczywistości.

Książka reprezentuje sztukę eseju wysokiej próby, nawiązując do chlubnych tradycji pisarstwa spod znaku Michela de Montaigne'a. Samoświadomość gatunku autora jest wyjątkowa, o czym świadczy np. ten fragment: „Forma eseju, którą wybieram posiada tę trudną do zastąpienia cechę, iż jest zawsze otwarta. Nie rości pretensji do posługiwania się trafnym aparatem metodologicznym z premedytacją niekiedy stroniąc od jasności i przejrzystości rozprawy naukowej. Jest raczej jak nagłe pociągnięcie pędzlem po czystym płótnie rozpiętym na sztalugach; jak wydobyty akord w sekwencji dobrze ułożonych dźwięków; jak błysk metafory, która nas samych zaskakuje i czasem nawet zawstydza. Esej jest pisaniem z prześwitu; z nadziei brzasku, z nocy, która jeszcze w definitywny sposób się nie skończyła, ale nie może zarazem cofnąć się w gęstszy mrok. Esej niesie w sobie pewnego rodzaju niedomaganie, organiczną skazę skrótu. Dlatego często jest na granicy zrozumiałości (i zarozumiałości jego Autora); pełen spiętrzeń, niedopowiedzeń i wieloznaczności. Niekiedy wydaje się nielogiczny i rozwlekły; czasem zbyt skrótowy, raniący czytelnika brakiem koniecznych konkretów i dowodów; jakby zawieszony między ucieczką z fałszu a Prawdą, która majaczy dopiero na wciąż oddalającym się horyzoncie".

Eseje odzwierciedlają tok zaangażowanego myślenia, ale też budują intelektualne napięcia. Autor szczęśliwie unika zbędnego formalizmu „akademickiego", który więzi wolną i nieuprzedzoną myśl. W książce znajdują się ciągi godnych zapamiętania aforyzmów, sentencji, maksym, pytań. W rozważaniach-opowieściach stawiane są diagnozy świata od strony ducha i formułowane – stanowcze, ale nie arbitralne – przestrogi. Dzień nierzadko posługuje się kasandrycznym tonem, bo jest wierny przekonaniu, że powołanie humanisty to również troska o zachowanie na naszej planecie człowieczeństwa i jego statusu. *Kwaśne prowincje* są zaproszeniem do dyskusji nad zagrożeniami, których sprawcami są sami ludzie.

Zbigniew Chojnowski

Mirosław DZIEŃ, ***Kwaśne prowincje. Eseje paschalne i literackie***, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Bielsko-Bialskiego, Bielsko-Biała 2024 .

Świat pokawałkowany



Wydanie tego nie tylko istotnego, ale także przepięknego eseju o sztuce jest ważnym wydarzeniem na polskim rynku wydawniczym. Elegancko wydana, bogato ilustrowana miniatura jest wspaniałą prezentacją interesującego zagadnienia sztuki, nie tylko XIX wieku, ale także tego, co w myśli Lindy Nochlin najwspanialsze.

Autorka proponuje czytelnikom specyficzną perspektywę. Zaczyna od grafiki Johanna Füsslego *Artysta przytłoczony wielkością starożytnych ruin*. Jaka jest relacja pomiędzy zamyślonym (zasmuconym?) twórcą a ogromnymi złomami antycznego pomnika? Dlaczego akurat ponadnaturalnych rozmiarów stopa i dłoń są symbolami minionej wielkości? Odpowiedzią jest diagnoza, że utrata całości jest zjawiskiem, które konstytuuje nowoczesność. Od Rewolucji Francuskiej, czyli wydarzenia kreującego tę epokę, fragment stał się czymś pozytywnym, nie tyle wspomnieniem po minionym, co świadomą destrukcją przeszłości.

Najbardziej drastycznym świadectwem owego „ścierania na proch poprzez kawałkowanie" jest jeden z symboli rewolucyjnych – gilotyna. Ta machina dekapitacyjna była znakiem nowoczesności: natychmiastowość działania, naukowe podstawy jej wynalezienia czy wreszcie standaryzacja postępowania ze skazańcami były w rzeczy samej rewolucyjne, absolutnie nowe, a zarazem skuteczne przy rozprawianiu się z tym, co dawne, minione. Jakże wspaniale z tą machiną śmierci współgrał wandalizm rewolucyjny, demontujący i niszczący dawne budynki, pomniki czy obrazy. Ze złomków symboli minionej świetności budowano pomniki nowego, rewolucyjnego czasu.

Ale to nie wystarczało, rozczłonkowane ciała stawały się tematem dzieł sztuki, nie tylko zapisem wydarzeń, nie tylko symbolem heroizmu i poświęcenia, ale właśnie przedmiotem studium artystycznego, jak u Théodore'a Géricault.

W miarę rozwoju świata i kultury nowoczesnej owa fragmentyzacja świata stawał się coraz istotniejsza i coraz bardziej znacząca w sztuce. Autorka odwołuje się do sztuki impresjonistów, a przede wszystkim do malarstwa Moneta, który wszak do impresjonistów się nie zaliczał. Sposób kadrowania ucinający postacie w połowie lub pozwalający na ukazanie ich znikomej części szybko stał się czymś równie oczywistym, jak kiedyś dokładnie ustawione malarskie kompozycje grupowe. Kadry Maneta, Degasa czy innych artystów drugiej połowy XIX wieku są nie tylko zabiegiem czysto malarskim. Są one – wedle Lindy Nochlin – artystyczną odpowiedzią na poczucie fragmentyzacji społecznej, psychicznej czy nawet metafizycznej. Zerwanie więzi społecznych nie było już jedynie pozytywnym rezultatem rewolucyjnego buntu. Było skutkiem procesów społecznych i technologicznych, które postrzegano (i nadal są postrzegane) jako integralna część nowoczesności. Zatem i fakt powszechnego odczucia, że modernistyczny świat niesie ze sobą także negatywne skutki.

Autorka wskazuje też na fakt, że owej (na wpół symbolicznej, na wpół realnej) destrukcji ulegają również przedstawiane na obrazach dzieła sztuki. Prezentowane jedynie w części lub jako destrukty są nowoczesnym sposobem ukazywania tego, jak świat traktuje rzekomo nieśmiertelne dzieła sztuki. Także autodestrukcyjny akt Vincenta van Gogha znajduje swoje miejsce w tym łańcuchu rozumowania.

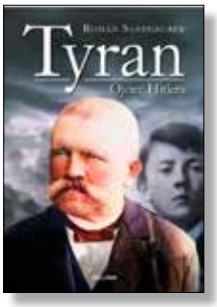
Fragmenty pełnią w sztuce nowoczesnej wieloraką rolę, co pozwala licznym interpretatorom na odmienne, czasami wręcz skrajnie różne odczytania. Mogą być obrazowaniem bądź to przypadkowości, bądź – wręcz odwrotnie – absolutnego determinizmu. Mogą być swoistym symbolem pewnej całości (lub przynajmniej większej części) albo swoiście rozumianą całością, nie potrzebującą uzupełnień i dopełnień.

Celem autorki nie była erudycyjna żonglerka cytatami literackimi i wizualnymi, lecz propozycja nowego, niewątpliwie frapującego odczytania zjawiska nowoczesności. Cel niewątpliwie osiągnęła, potwierdzając tym krótkim tekstem swoje mistrzostwo i znawstwo sztuki.

Juliusz Gałkowski

Linda NOCHLIN, ***O ciele***, tłum .Agnieszka Nowak-Młynikowska, Wydawnictwo Smak Słowa, Sopot 2024 .

Rzetelność i niejasności



Książka emerytowanego profesora historii gospodarczej i społecznej Uniwersytetu Johannesa Keplera w Linzu (Austria), członka Austriackiej Akademii Nauk stanowi cenne i wszechstronne kompendium wiedzy na temat ojca wodza III Rzeszy, środowiska, w jakim dorastał, meandrów jego życia oraz wpływu podejmowanych przezeń decyzji i działań na kształtowanie się osobowości jego syna.

Znajdujemy w publikacji szczegółową charakterystykę miejsc, społeczności i instytucji miejscowości, w których mieszkał i pracował Alois, w tym rzut oka na struktury mieszkańców, ich organizacje oraz różnorodność postaw i poglądów. Dowiedzieć się można nie tylko o służbie celno-podatkowej, organach samorządowych czy warunkach naturalnych, ale także o kultywowanych tam zwyczajach pracy w gospodarstwach rolnych, a nawet o lokalnej kuchni.

Książka jest przykładem wyjątkowo rzetelnego i wartościowego krytycyzmu w ocenie rozmaitych źródeł wiedzy historycznej. Jednak można w niej znaleźć pewne niejasności, niepełne lub sprzeczne informacje. Autor nie ustrzegł się np. subiektywizmu. Uważa bowiem, że obszerność listów Aloisa do Josefa Radleggera jest „na zewnątrz uprzejma wobec adresata, w istocie zaś świadcząca o braku szacunku dla innych osób". Jednak w treści prezentowanej w książce korespondencji ów brak szacunku nie jest widoczny. Raczej daje się zauważyć dbałość o precyzję. W niektórych przypadkach widać też pewną natarczywość wymuszoną okolicznościami, ale na pewno nie brak uszanowania wobec adresata.

Trudno też znaleźć tam wyraźną pogardę dla służby i podwładnych. Autor listów żył w czasach wyraźnej hierarchii społecznej, w której wymienione grupy lokowały się bardzo nisko. Zatem nic dziwnego, że miał on naturalnie ukształtowane realiami poczucie wyższości. Jednak zamieszczona korespondencja ukazuje wyraźnie, że ostra – to przyznajmy – krytyka pod adresem parobków i służących dotyczyła ich postępowania: oszustw, nielojalności, lenistwa i niedbalstwa, a nie ich samych jako ludzi. Z pism i innych informacji wynika, że Alois miał wielki szacunek do uczciwej i rzetelnej pracy, bez względu na to, kto ją wykonywał.

Przypisuje się Aloisowi autorstwo listu potępiającego radę gminną Lambach za krytykę rozporządzeń pozwalających na dwujęzyczność w urzędach (czyli stosowanie tam obok języka niemieckiego także czeskiego), podczas gdy kilka zdań dalej autor utrzymuje, że „dla urzędnika państwowego Aloisa nie do pomyślenia był inny język urzędowy niż niemiecki". Wygląda na to, że Hitler senior w tej kwestii wyłączności był za a nawet przeciw.

Brakuje w książce szczegółowych wyjaśnień dotyczących jednostek miar pojawiających się na kartach książki. W zakresie jednostek monetarnych wymienia się tutaj bowiem: floreny, grajcary, guldeny i korony (z halerzami). Nie ma natomiast żadnej informacji o relacjach między nimi, o tym kto je stosował oraz jaką miały siłę nabywczą. Nie bardzo wiadomo też, jakiej dokładnie definicji morgi jako miary powierzchni tu użyto. W samej monarchii austro-węgierskiej stosowano co najmniej cztery warianty. Z myślą o polskim czytelniku warto również wspomnieć, że w niemieckich i austriackich szkołach jedynka oznacza ocenę najlepszą, szóstka – najgorszą.

Wskazane niedociągnięcia nie umniejszają wartości omawianej książki i wkładu, jaki wnosi ona do wiedzy historycznej. Stanowią jedynie sugestie ewentualnych kierunków dalszej dyskusji lub elementów do uwzględnienia w kolejnych wydaniach, jeżeli są przewidywane.

Na zakończenie pozwolę sobie na pewnego rodzaju refleksję będącą wyrazem ironii historii. Jeśli celnikowi z Górnej Austrii rzeczywiście zależało na tym, aby jego syn został funkcjonariuszem państwowym (czemu ten ostatni stanowczo się sprzeciwiał), to można powiedzieć, że marzenie ojca się spełniło w sposób, który jemu samemu zapewne nawet w najczarniejszych snach nigdy nie przyszedł do głowy.

Andrzej Młodak

Roman SANDGRUBER, ***Tyran. Ojciec Hitlera***, tłum .Maria Janssen-Czaja, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2024 .

Książki nadesłane

Romantyzm w dyskursach pedagogiki kultury, praca zbiorowa, Difin, Warszawa 2024.

Krzysztof POMIAN, ***Muzeum. Historia Światowa, t. 3: Na podbój świata 1850–2020***, Wyd. słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2024.

Katarzyna DĄBKOWSKA, Dagmara BOŻEK, ***Henryk Arctowski. W świecie myśli***, Wyd. BoSz, Warszawa 2024.

Marcin WALKOWIAK, ***In hoc signo… O roli malowideł graeco opere w strategii wizerunkowej króla Władysława Jagiełły***, Wyd. Exemplum, Poznań 2024.

Anna MATYSEK, ***Model systemu zarządzania indywidualną wiedzą naukową w humanistyce***, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Zygmunt JASIŃSKI, ***Raz na wodzie, raz pod wodą. Wspomnienia (1930-1961)***, IPN, Warszawa 2024.

Jan KOPCEWICZ, Andrzej SADURSKI, Andrzej STROBEL, ***Ziemia. Planeta życia***, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2024.

Waldemar RAPIOR, ***Moralność milcząca. Odsłanianie interakcyjnych mechanizmów moralności poprzez post-teatr***, TAiWPN Universitas, Kraków 2024.

Polska Macierz Szkolna w roku 70-lecia, praca zbiorowa, zespół red.: Dorota CHMIELEWSKA, Katarzyna KOWALCZYK, Małgorzata LASOCKA, Aleksandra PODHORODECKA, Polska Macierz Szkolna w Wielkiej Brytanii, Londyn 2023.

Agata RAINER, ***Teologia sztuki w myśli Romano Guardiniego***, Wyd. WAM, Kraków 2024.

Wojciech KRUSZEWSKI, ***Anna Kamieńska. Wiara***, Wyd. UŁ, Łódź 2024, seria: Projekt: egzystencja i literatura.

Agnieszka DEFUS, ***Dlaczego koty boją się ogórków? Czyli czego nie widać gołym okiem, a widzą to naukowcy***, Wyd. Mando, Kraków 2024.

Dr Asia PODGÓRSKA, ***Tak działa mózg. Jak mądrze dbać o jego funkcjonowanie***, Wyd. W.A.B., Warszawa 2023.

Jerzy BAŃBURA, ***Ewolucja***, Wyd. UŁ, Łódź 2024, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Violetta WIERNICKA, ***Polacy w Ukrainie. Czasy carskie***, Wyd. Bellona, Warszawa 2024.

Ekopsychiatria. Jak bliskość natury wspiera nasza psychikę, red. Katarzyna SIMONIENKO, Sławomir Murawiec, Piotr Tryjanowski, Helion, Gliwice 2024.

Krystyna MATUSZEWSKA, ***Droga. Rozmowy z artystą-malarzem prof. Andrzejem Maciejem Łubowskim***, Bogucki Wyd. Nauk., Poznań 2024.

Wojciech ROSZKOWSKI, ***Orzeł, lew i krzyż. Historia i kultura krajów Trójmorza. Tom 2***, Biały Kruk, Kraków 2023.

Fetysze i fikcje. Antologia tekstów poświęconych emigracji polskiej po 1945 roku opublikowanych na łamach „Kultury", pod red. Rafała STOBIECKIEGO i Aleksandry SYLBURSKIEJ, przy współpracy Jędrzeja Bończaka, Wyd. UŁ, Łódź Paryż 2024. Seria: Jerzy Giedroyć i... Reedycje.

Piotr GÓRSKI, ***Między nauką a polityką. Środowisko nauk o zarządzaniu i jego refleksja teoretyczna w Polsce lat 1945-2000***, Wyd. AGH, Kraków 2024.

Jerzy ŁUKASZEWICZ, ***Estetyka obrazu filmowego. Szkice badawcze***, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Patryk OCZKO, ***Nie tylko dla dzieci. Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej 1947-2021***, Wyd. UŚ, Książnica Beskidzka, Katowice 2024.

Akylai ABYLKADYR KYZY, ***Czy Kirgiz zszedł z konia? Obyczaje, język i kultura Kirgistanu oczami kirgiskiej polonistki***, red. i oprac. Jolanta Tambor, Agnieszka Tambor, Tomasz Gęsina, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Michał Norbert FASZCZA, ***Hans Delbrückbi narodziny nowoczesnej historii wojskowości. Twórczość – koncepcje – recepcja***, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Maciej BERNASIEWICZ, Marek ŁUKASIEWICZ, Monika NOSZCZYK-BERNASIEWICZ, ***(Nie)skuteczność resocjalizacji nieletnich sprawców czynów karalnych***, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

The House of Vasa and The House of Austria. Correspondence from the Years 1587 to 1668. Part I. The Times of Sigismund III, 1587-1632. Volume 2, ed. By Ryszard SKOWRON, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Marek KWAŚNY, ***Johann Jacob Eybelwieser młodszy. Wrocławski malarz doby baroku***, Wyd. UWr, Wrocław 2024.

Magdalena BĄK, ***Romantyczni wojażerowie. Mickiewicza i Słowackiego listy z/o podróży***, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

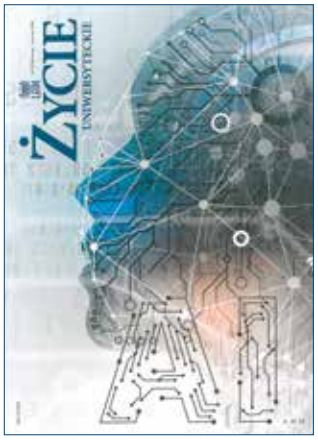
Witold KULESZA, Jan KULESZA, ***Koszałki-Opałki, czyli prawo karne w bajkach. Repetytorium dla studiujących, sądowników i podsądnych***, Wyd. UŁ, Łódź 2024.

Wojciech SITEK, ***Żegnaj Ameryko. Mitologia późnego kapitalizmu w filmach Michaela Manna***, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Czytelnia czasopism

To już koniec ery człowieka?

Temat sztucznej inteligencji stanowi od dłuższego już czasu przyczynę wielu dyskusji. Wizja świata opanowanego przez AI jest przez sporą grupę osób traktowana jako istotne zagrożenie dla przyszłości człowieka. Czy to jedyna perspektywa? O tym, jak widzą tę sprawę przedstawiciele różnych dziedzin życia – nauki, pedagogiki, dziennikarstwa, fotografii czy literatury – pisze „Życie Uniwersyteckie" (nr 2/2025). Na łamach czasopisma Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu znajdziemy wypowiedzi ekspertów, którzy patrzą na sprawę z odrębnych punktów widzenia. Jedni uważają, że sztuczna inteligencja wymusi na ludziach większą kreatywność. A to w praktyce oznaczać będzie na przykład potrzebę wymagania od studentów znacznie bardziej przemyślanej pomysłowości. W końcu zwykłą kompilację źródeł już dziś zrobi za nich ChatGPT. Nauczyciele będą musieli dostosować metody oceniania do rzeczywistości, w której AI odgrywa zasadniczą rolę. Dziennikarze, którzy dziś zajmują się wyłącznie „przetwarzaniem" internetu, w przyszłości nie znajdą dla siebie miejsca. Lepiej i szybciej, a przede wszystkim taniej, zrobi to za nich sztuczna inteligencja. Ona nie będzie chodziła na urlop czy brała L4.



Jesteśmy obecnie, jak twierdzą niektórzy, na takim etapie rozwoju, że musimy zmieniać rzeczywistość, a nie ją odtwarzać. To, co z pewnością może być groźne, to bezkrytyczne zachłyśnięcie się możliwościami nowej technologii. AI miała na przykład służyć do podniesienia naszej własnej produktywności. Miało wystarczyć, że skorzystamy z takich narzędzi, jak ChatGPT. Niestety rzeczywistość, zdaniem niektórych, okazała się bardziej skomplikowana, a samo narzędzie nie tak doskonałe. Tworzenie treści zużywa np. ogromne ilości energii, przyczyniając się w ten sposób do pogłębienia kryzysu klimatycznego. A sam wzrost produktywności nie oznacza, że będziemy pracować mniej, po prostu szybciej wykonamy zlecone nam zadania i zaraz potem dostaniemy kolejne.

Czy powinniśmy więc już zacząć się martwić? Wygląda na to, że nadal wiele zależy od nas. To nie AI bowiem jest zagrożeniem, ale ten, kto jest jej dysponentem, czyli człowiek. Badacze podkreślają, że nowa technologia i kreatywność ludzka mogą współistnieć i uzupełniać się wzajemnie.



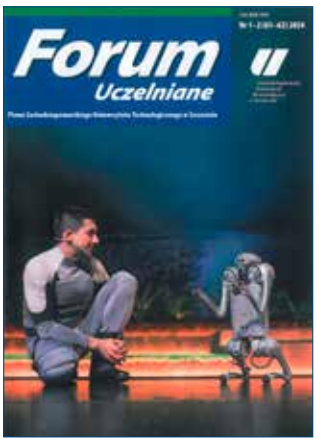
To nie bariera, a zabezpieczenie

Większość z nas na pytanie, czy powinno się upraszczać istniejące procedury i minimalizować biurokrację, pewnie odpowiedziałaby twierdząco. Nadmiar formularzy koniecznych do wypełnienia działa odstręczająco i powoduje niepotrzebny stres. Nie można jednak zapominać, że bez przestrzegania określonych procedur nie da się sprawnie funkcjonować w żadnym sektorze. Weźmy przykład szkół wyższych. One, podobnie jak inne instytucje publiczne, działają w określonym reżimie prawnym. Finansowane ze środków publicznych, zobligowane są zarówno do zapewnienia przejrzystości swoich działań, dbania o ich zgodność z procedurami, jak również przestrzegania zasad uczciwej konkurencji. Dlatego, choć przez niektórych formalizm akademicki bywa postrzegany jako bariera utrudniająca elastyczne działanie, dla samych uczelni jest niezbędnym elementem pozwalającym zapewnić prawidłowe funkcjonowanie, transparentność oraz stabilność finansową, informuje miesięcznik Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego „Gazeta GUMed" (nr 3/2025).

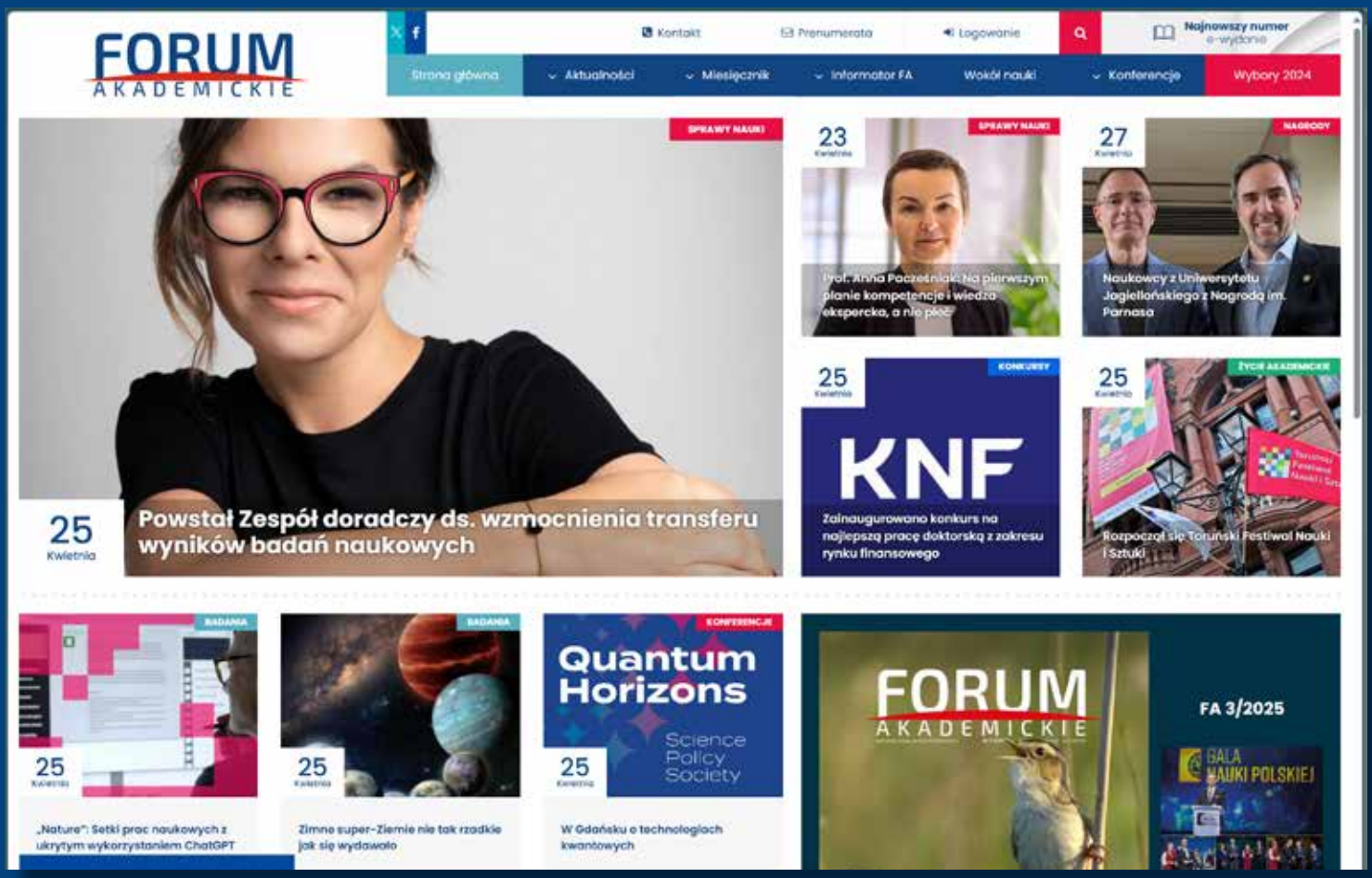
W praktycznym wdrażaniu tego niezbędnego z punktu widzenia każdej szkoły wyższej formalizmu pomaga istniejące w uczelni z Grodu Neptuna Centrum Transferu Technologii. CTT „wspiera naukowców i partnerów biznesowych w efektywnym i zgodnym z przepisami zawieraniu umów. Świadomość tych mechanizmów jest istotna nie tylko dla pracowników akademickich, ale również dla zewnętrznych podmiotów zainteresowanych współpracą z uczelniami", czytamy.

Niezły aktor

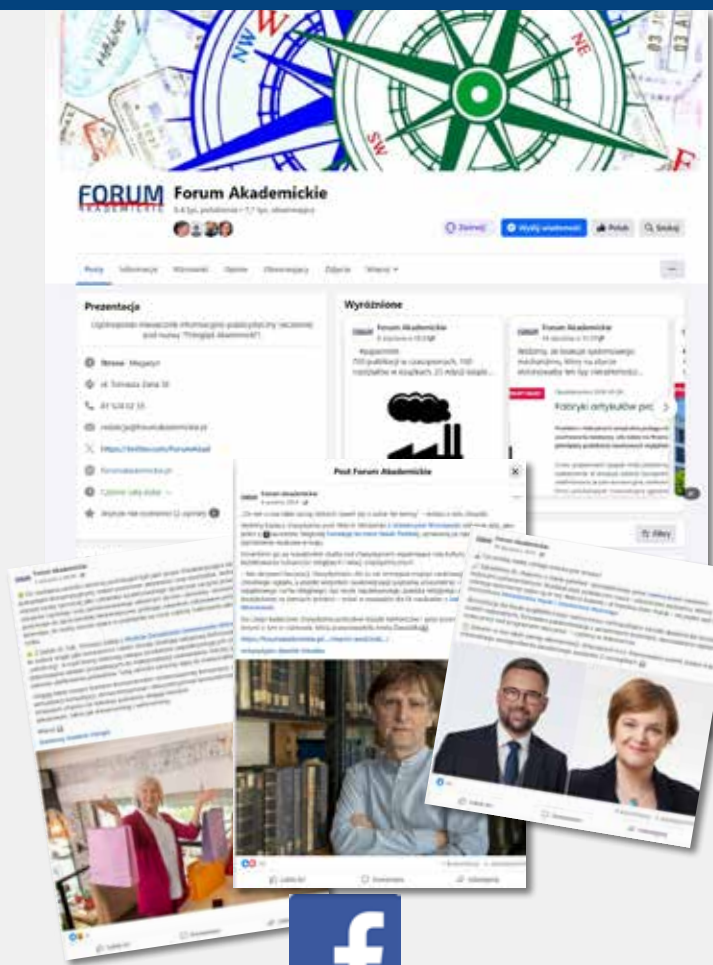
To był spektakl ważny nie tylko dla wszystkich miłośników psów, choć dla nich pewnie miał wyjątkowe znaczenie. Widzowie, którzy przybyli, by obejrzeć przedstawienie na deskach Teatru Współczesnego w Szczecinie, mogli się przekonać, że mają do czynienia z nietypowym wydarzeniem. W sztuce pod tytułem *Dobry piesek* wystąpił bowiem robot-pies. Wimuś, bo tak brzmi jego imię, wypożyczony został z Wydziału Inżynierii Mechanicznej i Mechatroniki Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. Jego rola w spektaklu opowiadającym o więzi, jaka od tysięcy lat łączy ludzi i czworonogów, polegała początkowo na występowaniu na scenie z prawdziwymi psami. Te ostatnie jednak na obecność robota zareagowały stresem. Wystraszyło je zwłaszcza głośne tupanie Wimusia i jego gwałtowne ruchy. W trosce o komfort czworonożnych aktorów zdecydowano więc, że robot pojawi się w kulminującej scenie, „w której przedstawiona jest relacja człowieka z urządzeniem sterowanym za pomocą sztucznej inteligencji. Zwinność i możliwości robopsa robią na publiczności duże wrażenie, a monolog aktora skłania do refleksji nad tym, jaką rolę w życiu człowieka odgrywają psy", donosi pismo Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie „Forum Uczelniane" (nr 1-2/2024).



Aneta Zawadzka



www.forumakademickie.pl



@ForumAkad











@ForumAkademickie

PERSPEKTYWY

WOMEN IN TECH SUMMIT

JOIN THE 10,000 TALENTED WOMEN in TECHNOLOGY!



WARSAW • POLAND

4-5 JUNE 2025

WARSAW OFFLINE + ONLINE GLOBALLY

APPLY FOR YOUR FREE TICKET NOW!

STUDENTS

FACULTY MEMBERS

womenintechsummit.pl